

# Wyprawa Kon-tiki

Heyerdahl Thor



calibre 0.9.27

# Thor Heyerdahl

## Wyprawa Kon-Tiki

### SPIS TREŚCI

Od tłumacza

I.

Teoria

II.

Narodziny wyprawy

II.

Do Ameryki Południowej

III.

Przez Ocean Spokojny (1)

IV.

W połowie drogi

V.

Przez Ocean Spokojny (2)

VI.

Do wysp Oceanii

VII.

Wśród Polinezyjczyków

Przypisy

OD TŁUMACZA

Tytuł oryginału: KON-TIKI EKSPEDISJONEN

Reportaż z podróży Thora Heyerdahla "Wyprawa Kon-Tiki" stał się w ciągu ostatnich lat jedną z

najpoczytniejszych książek na świecie. Przetłumaczono ją na kilkanaście języków i wydano w 2 500 000 egzemplarzy. W samej tylko Wielkiej Brytanii ilość wydań doszła do 20, a nakład przekroczył 800 000. Wszystkie większe ilustrowane pisma świata, poświęciły wiele miejsca reprodukcjom i wyjątkom z książki Heyerdahla. Uczestnicy wyprawy opublikowali mniej lub więcej udane wersje reportażu, a kapitan tratwy wydał kilka tomów rozważań etnograficznych, zmierzających do rozwiązania zagadki pochodzenia plemion polinezyjskich.

Ostatnie z tych opracowań pt. "Amerykańscy Indianie na Pacyfiku" wywołało wiele namiętnych dyskusji wśród etnografów, antropologów i uczonych pokrewnych specjalności.

Heyerdahl nie jest jedynym ani pierwszym mistrzem wspaniałego sportu żeglarstwa oceanicznego. Przed nim wielu nieustraszonych żeglarzy przebyło oceany na małych, wątych stateczkach używanych zwykle do spacerowych rejsów na osłoniętych zatokach.

Pierwszym takim śmiałkiem, zanotowanym przez kroniki żeglarstwa, był Kanadyjczyk kapitan Slocum, który w roku 1895 opłynął samotnie kulę ziemską na 12-tonowym słupie /

"Spray", bijąc za jednym zamachem dwa rekordy światowe: najmniejszego statku i najmniej licznej załogi w jachtingu dalekomorskim. Podobnych wyczynów dokonali później Mulhauser, Stock, Pidgeon, Drake, Voss i wreszcie najślawniejszy z nich przed Heyerdahlem, Alain Gerbault.

W czasie ostatniej wojny Polinezyjczyk Nabetari uciekł ze swojej wysepki, okupowanej przez Japończyków, na krajowym *canoe*<sup>2</sup>, błąkał się przez siedem miesięcy po Pacyfiku, żywiąc się rybami i pijąc deszczową wodę, aż wreszcie wylądował na opanowanej przez aliantów wyspie Ninigo, odległej od miejsca startu o 1 000 mil morskich. Korzystając z doświadczeń Nabetari oraz kilku rozbitków, francuski lekarz i biolog dr A. Bombard wystąpił

w cyklu artykułów z tezą, że najważniejsze dla rozbitka są nie zapasy konserw i słodkiej wody, lecz zachowanie zimnej krwi i znajomość morza, które dostarcza człowiekowi podstawowych środków do życia w postaci ryb, planktonu i wody.

Niewątpliwie jednak Heyerdahl, uczonec i sportowiec, żeglarz i niezrównany 1 Słup — mały, jednomasztowy żaglowiec ze skośnym ożaglowaniem. zbliżony do kutra, lecz o szerszym kadłubie i mniejszym zagłębieniu.

2 Canoe — długa i wąska łódź z ostro zakończonym dziobem i rufą, zbudowana zazwyczaj z jednego pnia. Wioślarz w canoe wiosłuje w pozycji klęczącej lub w przykłęku specjalnym, krótkim wiosłem.

obserwator tajemnic morskich, przerasta o głowę swoich poprzedników na tym polu. Pierwsi żeglarze dalekomorscy byli nieokrzesanymi wilkami morskimi, których całkowicie pochłaniała walka z żywiołem i dzikimi mieszkańcami Afryki czy Ziemi Ognistej. Przeplływając południowy Pacyfik — gdzie Heyerdahl na każdej mili morskiej obserwuje nieznanne ryby, zwierzęta i rośliny morskie — kapitan Slocum notuje, że jest to jedna wielka pustynia wodna.

Oprócz wieloryba i kilku rekinów Slocum nie zdołał zauważyć wokół siebie nic interesującego.

Nielepiej przedstawiały się wiedza i zmysł obserwacyjny kapitana J. Vossa, Kanadyjczyka duńskiego pochodzenia, który przebył przeszło 40 000 mil morskich czółnem

“Tillikum” wydrążonym z pnia czerwonego cedru przez Indian w Brytyjskiej Kolumbii. Voss opowiada w swojej książce pt. “Łodzią żaglową przez oceany”, jak to kiedyś, wątpiąc w zdolności rybackie swego towarzysza podróży, ofiarował się zjeść na surowo pierwszą złowioną przez niego rybę. Niebaczny żart zemścił się wkrótce; rybak złowił 300-kilowego żółwia morskiego i zażądał, żeby Voss go zjadł. Na szczęście Voss udowodnił, że żółw nie wchodzi w rachubę, bo choć żyje w wodzie, jest ssakiem.

Autor “Kon-Tiki” nie nudzi się na morzu ani przez chwilę. W ciągu jednego dnia podróży na tratwie potrafi dokonać więcej obserwacji niż inni w ciągu wielu lat. Wiatry i prądy, potwory morskie i mikroskopijne żyjątka — wszystko to znajduje w nim baczego obserwatora i inteligentnego sprawozdawcę. Dlatego wartość poznawcza jego reportażu, zarówno w dziedzinie nauk przyrodniczych, jak i żeglarstwa jest niemała.

Rezultaty jego doświadczeń nawigacyjnych zaważą niewątpliwie na konstrukcji i wyposażeniu szalup ratunkowych. Dotychczas budowano

wodoszczelne łodzie ratunkowe o zamkniętej konstrukcji kadłuba. Heyerdahl przekazuje nam wielowiekowe doświadczenia żeglarzy indiańskich, używających lekkich stateczków, których niezatapialność wynikała ze swobodnego odpływu wody, z otwartej konstrukcji kadłuba.

“Kon-Tiki” zbudowano dokładnie według wzorów Inków z pni drzewa balsa, bez użycia śrub czy gwoździ. Szalony pomysł żeglowania na tratwie przez ocean okazał się słusznym nawrotem do wypróbowanych tradycji morskich indiańskich ludów Ameryki Południowej. Natomiast wyprawa dwudziestu młodych studentów szwedzkich ze Szwecji do Ameryki na łodzi skonstruowanej według wzorów Wikingów zakończyła się tragicznie. Łódź

zbudowana we współczesnej stoczni, podobnie jak zwykle szalupy ratunkowe, z elementów połączonych nitami i śrubami, rozpadła się w kawałki na sztormowej fali. Cała załoga spoczęła w głębinach Morza Północnego.

Żądza wiedzy, wiara w słuszność swoich wywodów naukowych i gotowość poświęcenia życia dla wydarcia tajemnic przyrodzie, stawiają młodego uczonego norweskiego w pierwszych szeregach najdzielniejszych żeglarzy, w rzędzie odkrywców i podróżników, którzy szukali nowych lądów i dróg morskich, badając życie nie znanych ludów i usuwając białe plamy z map obu półkul.

Jednakże bystry wzrok autora staje się przyćmiony, a zdolność obserwacji słabnie, gdy zaczyna on opisywać życie krajowców na wyspach Polinezji. Czujny obserwator, dostrzegający poruszenia ryb na sześciometrowej głębini, nie dostrzega degeneracji ludu polinezyjskiego, ginącego pod żelazną stopą systemu kolonialnego. Piękne zielone wysepki tropikalne — Fatuhiva, Angatau i Raroia — są przedstawione, niczym na amerykańskim filmie, jako oazy szczęśliwości, gdzie beztroscy tubylcy spędzają czas na tańcach i ucztach. A przecież są to te same wyspy, o których Alain Gerbault pisał:

“Gdzież podziały się wdzięczne chaty wyspiarzy, kryte listowiem, o ścianach z kunsztownie

plecionej trzciny bambusowej? Prawie całkowity brak ludności tubylczej świadczy tu o spustoszeniach, jakich dokonała tak zwana cywilizacja białych. Niecałe sto lat okupacji wystarczyło, aby wyludnić te wyspy. Ludność Nukahiva, obliczana przez rosyjskiego podróżnika Kruzenszterna na 16000 osób, w czasie mojego pobytu nie przekraczała 600 ludzi".

W książce swej Gerbault nie opisuje szczegółowo metod używanych dla wyniszczenia ludności, wspomina tylko nawiasem o straszliwych spustoszeniach dokonywanych przez gruźlicę, alkoholizm i nieludzki ucisk ze strony kolonizatorów. Na pięknej wysepce Fatuhiva, gdzie Heyerdahlowi po raz pierwszy przyszła do głowy koncepcja, że wyspy Oceanii zostały zaludnione przez przybyszów z Ameryki Południowej, Gerbault jest witany po wylądowaniu przez "...część miejscowej ludności, lecz cóż to były za nędzne okazy! Doprawdy nie przy-puszczam, żeby w całej dolinie znalazł się chociaż jeden zdrowy człowiek".

Pisząc o swoim przyjacielu, wodzu wyspiarzy na Tahiti, Heyerdahl nie wspomina ani słowem o tym, co zanotował Gerbault, że ten ostatni potomek sławnych królów i wodzów, jest wodzem bez plemienia, lud jego wyginął prawie zupełnie.

Wielka wyprawa sportowa czy naukowa wymaga pewnych funduszków na zakup sprzętu i zaopatrzenia. W dziewiętnastym stuleciu kapitan Slocum nie miał z tym wiele kłopotu. W każdym większym porcie funty i szylingi sypały mu się hojnie do nastawionego kapelusza. Niezgorzej wiodło się też jego naśladowcom; ofiarność publiczna w owym czasie nie zawodziła, gdy chodziło o ciekawe, egzotyczne wyprawy i niezwykle rekordy.

Heyerdahl przebywając w New Yorku, jednym z najbogatszych miast świata, na próżno stara się o uzyskanie stosunkowo niewielkich sum na zakup tratwy i wyposażenia. Zawodzą plany akcji prasowej, która pomogłaby sfinansować wyprawę. Zamierzenia naukowe, dalekie od wszelkich kalkulacji handlowych czy reklamowych, nie znajdują większego oddźwięku.

Pozostaje jedynie zwrócić się o pomoc do armii amerykańskiej — faworyta budżetu Stanów Zjednoczonych. Militaryści amerykańscy, traktowani przez autora z niewątpliwą ironią, nie wykazują zainteresowania dla istotnych celów wyprawy, rzucają jednak garść wyposażenia i racji polowych w zamian za cenne komunikaty radiowe o wiatrach i prądach panujących na Oceanie Spokojnym oraz sprawozdanie o przydatności prowiantu szalupowego, wypróbowanego na żołądkach załogi "Kon-Tiki". Zamiast finansowania kosztownych wypraw hydrograficznych marynarka amerykańska wykorzystwała odwagę i przedsiębiorczość młodych naukowców.

Stosunkowo wiele miejsca w książce zajmują ciekawe wywody autora o źródłach kultury polinezyjskiej i etnograficznym składzie ludności. Dr G. Gjessing, profesor etnografii na uniwersytecie w Oslo, przyznaje, że wyprawa i prace Heyerdahla znacznie posunęły badania naukowe w zakresie historii ludów Oceanu Spokojnego, zastrzega się jednak przed przywiązywaniem do nich decydującego znaczenia. W szczególności wątpi on w słuszność teorii głoszącej, że prekursorzy kultury Azteków, Inków i Mayów przybyli z Europy.

Większość uczonych wskazuje na dowody związków kulturalnych Indian i Polinezyjczyków z ludami Azji. Nie zaprzeczają oni możliwości przybycia grup ludności z Ameryki, nie wykluczają jednak podróży oceanicznych z zachodu na wschód, co również wyjaśniłoby podobieństwa zabytków

kulturalnych Ameryki i Polinezji.

Jeśli chodzi o przeniesienie palni kokosowych i słodkich kartofli (batatów) z Ameryki do Polinezji, jako dowód amerykańskiego pochodzenia Polinezyjczyków, to zdaniem krytyków nie należy zapominać o tym, że zwykle kartofle również przybyły do Irlandii z Ameryki, co wcale nie dowodzi amerykańskiego pochodzenia ludności Irlandii. .

Teoria Heyerdahla jest obecnie przedmiotem dyskusji naukowej, jakkolwiek będzie jednak jej rezultat, niewątpliwym owocem wyprawy pozostanie dobra książka, opis podróży ciekawej i awanturniczej jak przygody bohaterów Jules Verne'a.

Jerzy

Pański

I.

## TEORIA

Rzut oka w przeszłość \* Starzec z Fatuhivy \* Wiatr i prąd \* W poszukiwaniu Tiki \* Kto zaludnił Polinezję? \* Zagadka mórz południowych \* Teorie i fakty \* Legenda o Kon-Tiki i białej rasie \* Idzie wojna \*

Bywa czasem, że człowiek znajdzie się w zupełnie niecodziennej sytuacji, ale tak do niej przy wyka, że zaczyna ją uważać za zupełnie normalną. Dopiero gdy już daleko zabrnje, ogarnia go naraz zdziwienie i pyta samego siebie, jakim cudem to wszystko się stało.

Jeżeli, dajmy na to, wraz z papugą i pięcioma towarzyszami wyruszysz tratwą na dalekomorską wyprawę, to wcześniej czy później, zbudziwszy się rankiem na morzu, zaczniesz rozmyślać nad sytuacją.

Pewnego takiego poranka siedziałem wpisując do wilgotnego od rosy dziennika okrętowego:

“17 maja. Norweskie Święto Narodowe. Wzburzone morze. Pomyślny wiatr. Jestem dzisiaj kucharzem i znalazłem na pokładzie siedem latających ryb, na dachu szalasu ośmiornicę oraz jedną nie znaną mi z nazwy rybę w śpiworze Torsteina...”

Tutaj mój ołówek zatrzymał się i oto, co przyszło mi do głowy:

“Rzeczywiście niezwykły dzień siedemnasty maja. W gruncie rzeczy żyjemy teraz jakoś bardzo niezwykle — tylko niebo i morze. Jak się to wszystko zaczęło?”

Gdy zwróciłem się w lewo, miałem przed sobą niczym nie zmacony widok na bezmiar błękitnego oceanu z szumiącymi falami, które toczyły się tuż przede mną w wiecznej pogoni za uciekającym nieustannie horyzontem. Kiedy zaś spojrzałem w prawo, widziałem wewnątrz cienistego szalasu, w którym brodaty osobnik leżał na wznak i czytał Goethego, wczepiwszy palce nóg w szczeliny niskiego bambusowego daszka tej śmiechu wartej chatynki, która była naszym wspólnym domem.

— Bengt — rzekłem odsuwając zieloną papugę, która chciała usadowić się na dzienniku okrętowym.  
— Czy możesz mi powiedzieć, jakie licho nas tu przyniosło?

Goethe znikł pod złotofudą brodą:

— Do diabła, tyś to powinien najlepiej wiedzieć, to przecież twój zwariowany pomysł.

Mnie on się zresztą ogromnie podoba.

Na zewnątrz chaty trzech mężczyzn pracowało smażyć się w słońcu na bambusowym pokładzie. Byli półnaczy, opaleni na brązowo, brodaci, ze smugami soli morskiej na grzbietach. Wyglądali, jakby przez całe życie nie robili nic innego, tylko spławiali tratwy po Pacyfiku, ze wschodu na zachód. Erik wpłynął przez otwór do szałasów z sekstansami i plikiem papierów w rękę:

— Dziewięćdziesiąt osiem stopni, czterdzieści sześć minut długości zachodniej i osiem stopni, dwie minuty szerokości południowej. Kawał drogi zrobiliśmy ostatniej doby, chłopcy!

Wziął mój ołówek i narysował kółeczko na mapie morskiej, wiszącej na bambusowej ścianie; kończyło ono łańcuch dziewiętnastu kółeczek, biegnący wygiętą linią przez ocean z portu Cal-lao na peruwiańskim wybrzeżu. Herman, Knut i Torstein także podszli żwawo, żeby spojrzeć na ostatnie kółeczko, oznaczające naszą pozycję na mapie o dobrych czterdzieści mil morskich bliżej wysp Oceanii niż poprzednie.

— Spójrzcie, chłopcy — powiedział z dumą Herman. — To znaczy, że jesteśmy już 1 570 kilometrów od wybrzeża Peru.

— I mamy tylko 6 430 kilometrów do najbliższej wyspy — dodał ostrożnie Knut.

— A żeby być zupełnie ścisłym — rzekł Torstein — jesteśmy 5 000 metrów ponad dnem morskim i parę ładnych wiorst poniżej księżyca.

Wiedzieliśmy więc dokładnie, gdzie jesteśmy, i wobec tego znów mogłem oddać się rozmyślaniom, skądęśmy się tu wzięli. Papuga była równie wesoła jak przedtem, tylko że chciała dziobać dziennik okrętowy. A ocean był wciąż tak samo kolisty, obrzeżony niebem i nasycony błękitem.

Może zaczęło się to wszystko poprzedniej zimy, w biurze nowojorskiego muzeum, a może dziesięć lat wcześniej, na małej wysepce Archipelagu Markizów, pośrodku Oceanu Spokojnego. Moglibyśmy i teraz wylądować na tej samej wysepce, gdyby nas północno-wschodni wiatr nie zniósł dalej na południe, w kierunku wysp Tahiti i Tuamotu.

Przed oczyma mej wyobraźni zjawily się poszarpane brzegi, rdzawe góry, zielona dżungla spływająca do morza i smukłe palmy, które powiewają wzdłuż wybrzeża. Wyspa nazywała się Fatuhiva i mimo że dzieliły nas od niej tysiące mil morskich, nie było lądu między nią a nami.

Ujrzałem przed sobą wąską dolinę Ouia, otwierającą się ku morzu, i przypomniałem sobie dokładnie, jak co wieczór siedzieliśmy tam samotnie na plaży i patrzyliśmy na to samo bezbrzeżne morze. Znajdowałem się wówczas w podróży poślubnej i nie było wokół mnie brodatych piratów, jak teraz.

Zajmowaliśmy się kolekcjonowaniem wszelkiego rodzaju stworzeń, pogańskich bożków i innych szczątków prastarej kultury. Szczególnie dobrze pamiętam pewien wieczór. Cywilizowany świat wydawał się nam wtedy bardzo odległy i nierealny. Żyliśmy na tej wyspie blisko rok jako jedyni biali ludzie i wyrzekliśmy się z własnej woli wszystkich dobrodziejstw cywilizacji. Mieszkaliśmy w domku na palach, który zbudowaliśmy sobie na brzegu pod palmami, i jedliśmy to, co nam mogły ofiarować wody Pacyfiku i tropikalny las.

W twardej, praktycznej szkole wniknęliśmy w wiele ciekawych spraw Oceanu Spokojnego. Wydaje mi się, że zarówno fizycznie, jak i duchowo szliśmy w ślady pierwotnych ludzi, którzy przybyli na te wyspy z nieznanego kraju i których poline-zyjscy potomkowie rządzą bez przeszkód wyspiarskim królestwem, zanim nie przyszedli ludzie naszej rasy z biblią w jednej ręce, a prochem i wódką w drugiej.

Tego wieczora siedzieliśmy jak zwykle w księżycowym świetle na plaży, zwróceniem twarzą ku morzu. Baczni na wszystko, czujni i pełni otaczającej nas przyrody łowiliśmy chciwie wrażenia. Nasze nozdrza wypełniał zapach bujnej dżungli i słonego morza, słyszeliśmy szum wiatru w listowiu i koronach palm. W regularnych odstępach czasu wielkie bałwany toczyły się prosto z morza, pieniały >u brzegu i darły na strzępy wśród obłych głazów wybrzeża głuszac wszystkie dźwięki. Miliony błyszczących kamyków toczyły się z chrzęstem i chrobotem, gdy woda morska cofała się z brzegu, zbierając siły do nowego ataku na niezwy-

żony ląd.

— To dziwne — powiedziała żona — ale nigdy nie widziałam podobnego przyboju po drugiej stronie wyspy.

— Tak — odparłem — bo to jest nawietrzna, fale zawsze nadbiegają z tej strony.

Siedzieliśmy i podziwialiśmy morze, które bijąc o brzeg nieustannie L uporczywie oznajmiało nam, że toczy swe fale ze wschodu, 'ze wschodu, ze wschodu. Był to odwieczny wschodni wiatr, pasat<sup>3</sup> marszczący powierzchnię morza, falujący ją i pędzący naprzód na zachód, poprzez horyzont, aż do tych wysp. Tutaj nieprzerwany pochód morza rozbijał się w końcu o skały i rafy, podczas gdy wschodni wiatr wznosił się ponad wybrzeżem, ponad górami i lasami, i bez przeszkód pędził od wyspy do wyspy, w kierunku zachodu słońca.

W ten sposób od zarania dziejów napływały od wschodniego horyzontu fale i obłoki.

Pierwsi ludzie, którzy dotarli do tych wysp, dobrze wiedzieli, że tak właśnie było. Ptaki i owady wiedziały o tym również, a roślinność wysp była całkowicie zależna od tych warunków. My zaś wiedzieliśmy, że hen, daleko za horyzontem, na wschodzie, skąd płynęły obłoki, leżało otwarte 3 Pasaty — wiatry o niezmiennym kierunku, wiejące prawie stale w strefie podzwrotnikowej. Na półkuli północnej wieją z północnego wschodu, a na półkuli południowej — z południowego wschodu. Oddziela je pas ciszy równikowej.

wybrzeże Ameryki Południowej. Osiem tysięcy kilometrów dzieliło nas pd lądu i nic prócz morza nie było między wybrzeżem a nami.



Patrzyliśmy na pędzące obłoki, rozkołysane morze zalane światłem księżyca i słuchaliśmy półnagiego starca, który przykucnął przed nami, wpatrując się w zamierający żar małego ogniska.

— Tiki — mówił cicho starzec — był i bogiem, i wodzem. To Tiki przywiódł moich przodków na te wyspy, na których dzisiaj żyjemy. Przedtem mieszkaliśmy w wielkim kraju daleko za morzem.

Poruszył kijem węgle, aby nie zgasły. Siedział zamyślony. Żył przeszłością i był z nią mocno związany. Ubóstwiał swoich przodków i ich czyny z odległych czasów, kiedy żyli bogowie. Oczekiwał też chwili, gdy się z nimi znowu połączy. Stary Tei Tetua był ostatnim potomkiem wymarłych szczepów na wschodnim wybrzeżu Fatuhivy. Sam nie wiedział, jak długo już żyje, ale jego pomarszczona skóra, brązowa niby kora, wyglądała, jakby ją suszono na słońcu i wietrze przez sto lat. Był z pewnością jednym i niewielu wyspiarzy pamiętających i wierzących w legendy swoich ojców i dziadów o wielkim polinezyjskim wodzu-bogu Tiki, synu słońca. Kiedy wsunęliśmy się tej nocy do łóżka w domku na palach, opowieści starego Tei Tetua o Tiki i zamorskiej praojczyźnie wyspiarzy nie dawały mi spokoju. Myślom tym towarzyszył stłumiony huk przyboju, brzmiący jak głos z zamierzchłej przeszłości, który w nocy chce się z czegoś zwierzyć. Sen nie przychodził. Czas jakby przestał istnieć i Tiki wraz ze swoimi żeglarzami znów po raz pierwszy lądował na brzegu wyspy wśród kipieli wodnej. Nagle uderzyła mnie pewna myśl:

— Słuchaj — rzekłem do żony. — Czy zauważyłaś, że olbrzymie, kamienne posągi Tiki tam w dżungli są zadziwiająco podobne do wielkich figur, które pozostały po starych kulturach Ameryki Południowej?

Wyraźnie zdawało mi się, że dobiega mnie potwierdzający huk przyboju. A później huk się zmniejszał — usypiałem.

Może w ten sposób zaczęło się to wszystko. Taki przynajmniej był początek serii wydarzeń, dzięki którym znaleźliśmy się w sześciu wraz z zieloną papugą na pokładzie tratwy dryfującej od wybrzeży Ameryki Południowej.

Pamiętam, jak przeraziłem ojca, a zdumiałem matkę i przyjaciół, kiedy po powrocie do Norwegii oddałem Muzeum Zoologicznemu Uniwersytetu w Oslo moje zbiory ryb i owadów z Fa-tuhivy. Chciałem wtedy porzucić studia zoologiczne i poświęcić się badaniom prymitywnych ludów. Urzekły mnie nie zbadane tajemnice Oceanii. Musiały one mieć jakieś rozwiązanie. Postanowiłem więc dociec, kim był legendarny Tiki.

W następnych latach szum przyboju i posągi w dżungli stały się jakby dalekim nierealnym snem, który towarzyszył moim studiom nad ludami Oceanu Spokojnego. Badanie myśli i czynów ludów pierwotnych jedynie na podstawie książek i eksponatów muzealnych nic może być wystarczające. Dzieła naukowe, dzienniki najwcześniejszych wypraw i niezliczone zbiory muzeów w Europie; i Ameryce zawierały bogaty materiał dla rozwiązania interesującej mnie łamigłówki. Od czasu odkrycia Ameryki, kiedy biali dotarli po raz pierwszy do wysp Oceanii, badac/e wszystkich gałęzi nauki zebrali olbrzymie zasoby wiadomości o mieszkańcach Polinezji i przyległych regionów. Nie doszli jednak nigdy do zgody na temat pochodzenia tego odosobnionego ludu wyspiarzy, ani co do przyczyny faktu, że jedno plemię zaludniło wszystkie samotne wyspy we wschodniej części Oceanu Spokojnego.

Kiedy pierwsi Europejczycy odważyli się wreszcie wyruszyć na „ten największy z oceanów, odkryli ku swojemu zdumieniu w samym jego środku cały archipelag małych, górzystych wysepek i płaskich raf koralowych, oddzielonych od siebie i reszty świata olbrzymimi przestrzeniami morza. Każda z tych wysepek była już zamieszkała. Piękne rosło plemię witało przybyszów, wychodząc na brzeg wraz z psami, prosiętami i kurami. Skąd przywędrowali ci ludzie? Mówili językiem niezrozumiałym dla Europejczyków. A ludzie naszej rasy, zwąwszy się dumnie odkrywcami wysp, zastali na każdej zamieszkałej wyspie uprawne pola i wioski z chatami i świątyniami. Na niektórych z nich znaleziono nawet stare piramidy, brukowane drogi i wyciosane z kamienia posągi o wysokości czteropiętrowych kamienic w Europie. Ale nie wyjaśniono, kim byli ci ludzie i skąd przywędrowali?

Można stanowczo stwierdzić, że odpowiedzi na tę zagadkę było równie wiele, jak prac naukowych na ten temat. Specjaliści różnych dziedzin nauki wysuwali dziesiątki hipotez, lecz zawsze ich twierdzenia były zbijane przez logiczne argumenty znawców innej gałęzi wiedzy.

Półwysep Malajski, Indie, Chiny, Japonia, Arabia, Egipt, Kaukaz, Atlantyda, a nawet Niemcy i Norwegia były po kolei uważane za przypuszczalną ojczyznę Polinezyjczyków. Lecz zawsze jakiś decydujący „haczyk” obalał każdą taką teorię.

Gdzie zaś kończyła się nauka, tam zaczynała działać fantazja. Tajemnicze monolity Wyspy Wielkanocnej i wszystkie inne zabytki kulturalne nieznanego pochodzenia znalezione na tej małej otwartej wysepce — leżącej w zupełnym odosobnieniu, w pół drogi między najbliższą wyspą Oceanu a wybrzeżem Ameryki Południowej — zachęcały do na jej do wolniej szych dociekań. Wielu badaczy zauważyło, że znaleziska na Wyspie Wielkanocnej pod wieloma względami przypominają zabytki przedhistorycznych cywilizacji Ameryki Południowej. Może kiedyś istniał pomost lądowy, który później został zatopiony przez ocean?

A może Wyspa Wielkanocna i inne wyspy Oceanii są sterczącymi z morza resztkami zatopionego kontynentu?

Ta popularna teoria dawała wyjaśnienie laikom, lecz geologowie i inni uczeni nie mogli się nią zadowolić. Na dobitkę zoologowie dowodzili jasno na podstawie studiów nad owadami i ślimakami wysp Polinezji, że jak długo ludzkość istnieje, wyspy te były oddzielone od siebie i od okolicznych kontynentów tak właśnie, jak to jest dzisiaj.

Dlatego jesteśmy pewni, że pierwotni mieszkańcy Polinezji przybyli dryfując lub żeglując do tych odległych wysp, dobrowolnie lub wbrew swojej chęci. Bliższe spojrzenie na mieszkańców Oceanii wskazuje, że niewiele stuleci minęło od ich przybycia. Nu poszczególnych wyspach nie znajdujemy różnic językowych, minio że Polinezyjczycy żyją rozproszeni na obszarze morskim czterokrotnie większym od Europy. Tysiące mil morskich dzieli Hawaje, położone na północnym krańcu Oceanii, od Nowej Ze-landii na południowym oraz od Samoa na zachodzie i Wyspy Wielkanocnej na wschodzie. Ale wszystkie te odosobnione ple-miona, zamieszkujące Wyspy Oceanii, mówią dialektami wspólnego języka zwanego przez nas polinezyjskimi. Pismo było nie znane na tych wyspach, jeśli nie liczyć drewnianych tablic przechowywanych przez, tubylców na Wyspie Wielkanocnej. Tablic tych, pokrytych niezrozumiałymi hieroglifami, nie umieli odcyfrować ani tubylcy, ani też nikt inny.

Na wyspach istniały jednak szkoły, a nauka upoetyzowanej historii, w Polinezji jednoznaczna z religią, była najważniejszym przedmiotem. Polinezyjczycy mieli kult dla przodków i czcili swoich zmarłych wodzów począwszy od Tiki, o którym mówiono, że był synem słońca.

Na każdej prawie wysepce miejscowi mędracy mogli wyliczyć z pamięci imiona wodzów aż do czasu pierwszego ich przybycia na wyspę. Dla utrwalenia ich w pamięci, używali — podobnie jak Inkowie w Peru — skomplikowanego systemu węzłków wiązanych na rozgałęzionych sznurkach. Współcześni badacze porównali drzewa genealogiczne, przedstawione pismem węzłowym na poszczególnych wyspach, i ustalili, że zachodzi zadziwiająca zgodność między nimi co do imion i ilości pokoleń. Licząc przeciętnie po dwadzieścia pięć lat na każde polinezyjskie pokolenie, można przypuszczać, że Oceania została zaludniona dopiero około roku 500 naszej ery. Nowa fala kultury, wraz z nowymi imionami wodzów, wskazuje na innych, późniejszych przybyszów, którzy zdobyli wyspy około 1100 roku.

Skąd przywędrowały te plemiona? Niewielu tylko uczonych uwzględnia decydujący fakt, że ludzie, którzy przybyli na wyspy stosunkowo późno, byli rdzennym ludem epoki kamiennej. Mimo swej inteligencji i pod każdym względem zadziwiająco wysokiej kultury, żeglarze ci przynieśli ze sobą i rozpowszechnili na wyspach kamienne topory i inne narzędzia właściwe epoce kamiennej.

Nie zapominajmy, że prócz pojedynczych, odosobnionych ludów puszczy i pewnych innych prymitywnych plemion w latach 500—1100 naszej ery nie było żadnych zdolnych do rozkrzewienia kultur epoki kamiennej z wyjątkiem Nowego Świata, gdzie nawet najwyższe kultury indiańskie zupełnie nie znały zastosowania żelaza i używały kamiennych toporów i narzędzi.

Te liczne kultury indiańskie były najbliższymi sąsiadami wyspiarzy na wschodzie. Na zachodzie żyły jedynie czarnoskóre, pierwotne szczepy Australii i Melanezji, dalecy krewni Murzynów. A dalej, za Australią i Melanezją, leżała Indonezja i wybrzeże azjatyckie; epoka kamienna zakończyła się tam prawdopodobnie wcześniej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Uwaga moja odwracała się zatem coraz bardziej od Starego Świata, gdzie mimo licznych poszukiwań dotychczas nic nie znaleziono, kierowała się natomiast w stronę nie znanych indiańskich cywilizacji Ameryki Południowej, nie branych dotąd w rachubę. Nie brakło przecież śladów na najbliższym od wschodu wybrzeżu, na obszarach, gdzie od oceanu aż do gór rozpościera się teraz republika Peru. Żył tam kiedyś nie znany lud, który stworzył jedną z najciekawszych kultur świata, zanim został jakby zmieciony nagle z powierzchni ziemi przez nie znane nam wydarzenia. Pozostawił on po sobie olbrzymie kamienne posągi wyobrażające postacie ludzkie, podobne do monolitów znajdujących się na wyspach I'itcairn, Markizach i Wyspie Wielkanocnej oraz potężne, tarasowo budowane piramidy zbliżone do tych na Tahiti i Samoa. Lud ten wyciosywał kamiennymi toporami bloki skalne wielkości wagonów kolejowych. Przeciągano je całymi kilometrami, wznoszono pionowo lub umieszczano jedne na drugich formując portale, ogromne mury i tarasy, podobne do budowli, jakie można ujrzyć również na niektórych wyspach Oceanu Spokojnego.

W czasach, kiedy pierwsi Hiszpanie dotarli do Peru, w tym górzystym kraju istniało potężne państwo Inków. Indianie opowiadali przybyszom, że olbrzymie, opuszczone, monumentalne budowle zostały

wzniesione przez plemię białych bogów żyjących w kraju przed opanowaniem go przez Inków. Opisywali oni zaginionych budowniczych jako mądrych, miłujących pokój nauczycieli ludu, którzy w zamierzonych czasach przybyli z północy i nauczyli prymitywnie żyjących przodków Inków budownictwa i uprawy roli, a także rozpowszechnili różne zwyczaje. Różnili się oni od Indian białą skórą, wyższym wzrostem i długimi brodami. Opuścili Peru równie nagle, jak przybyli. Inkowie objęli władzę w kraju, a biali nauczyciele zniknęli na zawsze z wybrzeży Ameryki Południowej, oddalając się na zachód przez Ocean Spokojny.

Europejczycy, przybyli do Oceanii, spostrzegli ku swemu zdumieniu, że wielu tubylców ma prawie białą skórę i długie brody. Na niektórych wyspach całe rodziny wyróżniały się jasną cerą, rudawymi włosami, szaroniebieskimi oczami, orlimi nosami i niemal semickim wyglądem. Inni zaś Polinezyjczycy mieli złotawo-brązową skórę, krucze włosy i płaskie, mięsiste nosy. Rudowłosi tubylcy zwali siebie *urukehu* i twierdzili, że pochodzą w prostej linii od pierwszych wodzów wysp — białych bogów Tangaroa, Kano i Tiki. Po Oceanii krążyło wiele legend o tajemniczych białych ludziach, przodkach polinezyjskich wyspiarzy.

Roggeween, który w roku 1772 odkrył Wyspę Wielkanocną, pośród tubylców na brzegu zauważył ze zdziwieniem "białych ludzi". Mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej potrafili dokładnie wyliczyć swoich białych przodków wstecz aż do czasów Tiki i Hotu Matua, którzy pierwsi przybyli przez morza z górzystego kraju na wschodzie, wysuszonego przez słońce.

W miarę poszukiwań w Peru natrafiłem na nieoczekiwane ślady w kulturze, mitologii i języku tubylców, które skłoniły mnie do pogłębienia badań nad odnalezieniem miejsca pochodzenia polinezyjskiego bożka plemiennego Tiki.

I wkrótce znalazłem to, czego szukałem. Legenda Inków o królu słońca, Virakocha, który był najważniejszym wodzem zaginionego szczepu białych ludzi w Peru, głosiła:

"Virakocha jest to imię w języku Inków, pochodzi więc widocznie z późniejszego okresu. Prawdziwe imię tego boga-słońca, które było w Peru często używane w dawnych czasach, brzmiało Kon-Tiki albo Illa-Tiki, co znaczy — Słońce-Tiki albo Ogień-Tiki. Kon-Tiki był arcykapłanem i królem-słońcem legendarnych białych ludzi, którzy pozostawili olbrzymie ruiny na brzegu jeziora Titicaca. Legenda głosi, że Kon-Tiki został napadnięty przez wodza imieniem Cari, który przybył z doliny Coquimbo. W bitwie na wyspie, na jeziorze Titicaca, rozgromiono tajemniczych, brodatych białych ludzi, lecz sam Kon-Tiki wraz z najbliższym otoczeniem ratował się ucieczką i znalazł się nad wybrzeżem Pacyfiku, skąd następnie znikł

udając się morzem na zachód".

Nie miałem już teraz wątpliwości, że biały wódz — bóg Kon-Tiki, którego przodkowie Inków wygnali z Peru na Ocean Spokojny, był właśnie białym wodzem — bogiem Tiki, synem słońca, czczonym przez wyspiarzy polinezyjskich, założycielem ich plemienia. Szczegóły życia Słońca-Tiki w Peru, wraz z antycznymi nazwami miejscowości położonych wokół

Titicaca, wypływały znowu z historycznych legend wyspiarzy. Jednakże wszędzie w Polinezji można było *znaleźć* przyczynki wskazujące na fakt, iż pokojowe plemię Kon-Tiki nie mogło utrzymać przez

dłuższy czas panowania nad wyspami. Przyczynki te wskazywały, że indiańskie morskie łodzie wojenne, powiązane parami i niemniejsze od okrętów Wikingów, niosły północno-zachodnich Indian przez morze do Wysp Hawajskich i dalej jeszcze na południe, na wyspy Oceanii. Zmieszali oni swoją krew z plemieniem Kon-Tiki i przynieśli nową cywilizację do wyspiarskiego królestwa. Był to drugi z kolei lud epoki kamiennej, przybywający do Polinezji w roku 1100, nie znający metali, sztuki garncarskiej, koła, wrzeciona i uprawy zbóż.

Zajmowałem się właśnie starymi rysunkami jaskiniowymi, wykonanymi w polinezyjskim .stylu przez północno-zachodnich Indian w Brytyjskiej Kolumbii, gdy do Norwegu wtargnęli Niemcy.

- W lewo zwrot! W prawo zwrot! W tył zwrot! — Mycie schodów w koszarach, czyszczenie butów, szkoła radiotelegrafistów, .spadochroniarzy i wreszcie murmański konwój do północnej Norwegii, gdzie wojenny bóg techniki panował w czasie nieobecności boga-słońca przez długą, ciemną zimę.

Nastał pokój. Pewnego dnia moja teoria była gotowa. Teraz można już jechać do Ameryki i przedłożyć ją światu.

## II. NARODZINY WYPRAWY

U znawców \* Punkt zwrotny \* W Domu Marynarza \* Ostatnie wyjście \* Klub Odkrywców \* Nowe wyposażenie \* Znajduję towarzysza wyprawy \* Triumwirat \* Malarz i dwaj sabotażyści \* Do Waszyngtonu \* Spotkanie w Ministerstwie Wojny \* Z listą życzeń u Generalnego Kwatermistrza \* Problemy pieniężne \* U dyplomatów w ONZ \* Lecimy do Ekwadoru \*

Zacząło się to więc przy ognisku na tropikalnej wyspie, gdzie stary krajowiec opowiadał legendy swojego szczepu. Wiele lat później siedziałem z innym starcem, tym razem w ciemnym biurze, na górnym piętrze wielkiego muzeum w Nowym Jorku.

Dokoła nas, w porządku ustawionych szklanych gablotach leżały znaleziska z zamierzchłych czasów gubiących się we mgle starożytności. Ściany były zastawione książkami. Niektóre z nich miały nie więcej niż dziesięciu czytelników, nie licząc autora.

Siwowłosa i dobroduszny starzec, który przeczytał te wszystkie książki i napisał niektóre z nich, siedział przy swoim biurku.

Dotknąłem widocznie jego czulej struny, gdyż złapał się za poręcz fotela z takim wyrazem twarzy, jak gdybym mu przerwał ulubionego pasjansa.

— Nie! — powiedział. — Nigdy!

Tak mógłby wyglądać święty Mikołaj, gdyby ktokolwiek śmiał twierdzić, że w przyszłym roku Gwiazdka wypadnie na świętego Jana.

— Pan się myli! Pan jest w błędzie! — powtarzał i potrząsał z oburzeniem głową, jak gdyby strząsając z siebie mój pomysł.

— Przecież nie przeczytał pan jeszcze moich argumentów — powiedziałem, wskazując na plik

rękopisów leżący na biurku.

— Argumenty! — zawołał. — Nie może pan przecie traktować zagadnień etnograficznych jako pewnego rodzaju kryminalnej zagadki.

— Czemu nie? — odparłem. — Swoje wnioski oparłem zarówno na własnych spostrzeżeniach, jak i na faktach znanych nauce.

— Zadaniem nauki jest tylko badanie — powiedział spokojnie starszy pan — a nie dowodzenie takich czy innych hipotez.

Przesunął ostrożnie nie otwarty rękopis na drugą stronę biurka i pochylił się nad nim.

— Prawdą jest, że w Ameryce Południowej powstały najoryginalniejsze cywilizacje starożytności. Prawdą jest również, że nie wiemy, skąd się one wzięły ani co się z nimi stało, kiedy Inkowie doszli do władzy. Jedną rzeczą jest w każdym razie zupełnie pewną: żaden z południowo-amerykańskich ludów nie mógł dostać się na wyspy Oceanii.

Spojrzał na mnie badawczo i ciągnął dalej:

— A wie pan czemu? Odpowiedź jest prosta. Nie mieli oni możliwości przedostania się tam. Nie mieli żadnych łodzi!

— Mieli za to tratwy — odparłem niepewnie — tratwy z drzewa balsa<sup>4</sup>.

Starszy pan uśmiechnął się i rzekł spokojnie:

— Doskonale, proszę spróbować odbyć kiedyś podróż z Peru na wyspy Oceanu Spokojnego na tratwie z balsy!

Trudno było na to znaleźć odpowiedź. Zrobiło się późno. Podnieśliśmy się obaj.

Towarzysząc mi do drzwi stary uczonek poklepał mnie po ramieniu i powiedział, że gdybym tylko potrzebował pomocy, zawsze gotów mi jest jej udzielić. Dodał także, że na przyszłość winienem raczej specjalizować się w badaniach albo Polinezji albo Ameryki, a nie mieszać tych dwu spraw. Pochylił się nad biurkiem:

— Zapomniał pan rękopis — rzekł wręczając mi moją rozprawę "Polinezja i Ameryka.

Problem przenikania kultur". Wetknąłem to pod pachę i ruszyłem po schodach w dół; zmieszałem się z ulicznym tłumem.

Tego wieczora zastukałem do drzwi starej rudery w zapomnianym zaułku Greenwich Village<sup>5</sup>. Lubiałem przychodzić tam z moimi problemami, kiedy nie znajdowałem wyjścia z sytuacji.

Chudy, mały człowieczek z długim nosem uchylił ostrożnie drzwi, obejrzał mnie przez szparę, a następnie otworzył je na

oścież z szerokim uśmiechem i wciągnął mnie do środka. Wprowadził mnie do małej kuchenki i zapędził do nakrywania stołu, sam zaś począł rozbełtywać nieokreśloną, lecz mile pachnącą mieszaninę, którą podgrzewał na gazie.

— Ładnie, żeś przyszedł — powiedział. — Jakże ci idzie?

— Paskudnie — odparłem. — Nikt nie chce czytać mojego rękopisu.

Napełnił talerze i zajęliśmy się gorliwie ich zawartością.

4 Balsa — drzewo tropikalne, porowate i lekkie jak korek.

5 Greenwich Village — dzielnica cyganerii artystycznej Nowego Jorku.

— Rzecz w tym — oznajmił gospodarz — że ludzie, z którymi rozmawiałeś, uważają to po prostu za twoją *idee fixe*. Wiesz sam, że w Ameryce pojawiają się ludzie z mnóstwem dziwnych pomysłów.

— Jest jeszcze jedna rzecz — zauważyłem.

— Wiem — powiedział. — Twoje podejście do zagadnienia. Wszyscy oni są specjalistami i nie wierzą w taką metodę pracy, która posługuje się wszelkimi gałęziami wiedzy

— od botaniki do archeologii. Ludzie ci ograniczają swój zakres pracy, żeby móc dokładniej zająć się szczegółami. Nowoczesne metody badań wymagają, aby każda gałąź wiedzy grzebała we własnym dołku. Nie są przyzwyczajeni do składania całości z tego, co wydobywają z różnych dziur.

Carl wstał i sięgnął po gruby manuskrypt.

— Patrz — rzekł — oto moja ostatnia praca o ubarwieniu ptaków w chińskich haftach ludowych. Kosztowało mnie to siedem lat pracy, lecz za to książkę od razu wydano. Nasza epoka wymaga wąskiej specjalizacji.

Carl miał rację, łatwiej jednak byłoby ułożyć wzorzystą mozaikę z jednokolorowych kamyczków, niż rozwiązać zagadkę Oceanu Spokojnego, naświetlając ją tylko z jednej strony.

Sprzątnęliśmy ze stołu i zmyliśmy naczynia.

— Żadnych nowin z uniwersytetu w Chicago? — spytał gospodarz.

— Żadnych.

— A co ci powiedział dzisiaj twój stary przyjaciel w muzeum?

— Jego to również nie zainteresowało. Powiedział mi, że z uwagi na to, iż Indianie mieli tylko otwarte tratwy, nie ma co liczyć się z możliwością odkrycia przez nich wysp Polinezji.

Mały człowieczek zaczął energicznie wycierać swój talerz.

— Tak — rzekł w końcu — mówiąc prawdę, mnie się to też wydaje praktyczną przeszkodą dla uznania twojej teorii.

Spojrzałem ponuro na chudego etnologa, którego dotychczas uważałem za wiernego sprzymierzeńca.

— Nie chciałbym być źle zrozumiany — dodał pośpiesznie. — Z jednej strony wydaje mi się, że masz rację, z drugiej zaś — są tu pewne niejasności. Zresztą moja praca o ubarwieniu piór ptasich popiera twoją teorię.

— Carl — powiedziałem — jestem tak pewien tego, że Indianie przebyli Ocean Spokojny na tratwach, że gotów jestem zbudować taką tratwę i przebyć na niej ocean po to tylko, aby udowodnić, że jest to możliwe.

— Czyś ty oszalał?

Mój przyjaciel uważał to za dobry żart, lecz uśmiechał się trochę niepewnie.

— Jesteś szalony! Na tratwie?

Nie wiedział, co ma powiedzieć, więc tylko patrzył na mnie dziwnie, jakby wyczekując uśmiechu przeczącego szalonemu pomysłowi. Nie znalazł go jednak.

Widziałem teraz, że wobec nieskończonej przestrzeni wodnej, dzielącej Polinezję od Peru, w praktyce nikt nie uznałby mojej teorii. Trudno było przerzucić przez tę przestrzeń most w postaci przedhistorycznej tratwy.

Carl patrzył na mnie niepewnie.

— Słuchaj, chodźmy na jednego — powiedział.

Skończyło się na czterech kieliszkach.

W tym tygodniu upłynął termin opłaty komornego. Jednocześnie pismo z Banku Norweskiego zawiadomiło mnie, że nie otrzymam więcej dolarów. Ograniczenia dewizowe.

Wziąłem swój kufer i pojechałem metrem do Brooklynu. Tu udało mi się zakwaterować w Norweskim Domu Marynarza, gdzie jedzenie było smaczne i pożywne, a ceny w lepszej zgodzie z portfelem. Dostałem mały pokój na piętrze, lecz jadałem posiłki razem z marynarzami w wielkiej jadalni na parterze. Marynarze przyjeżdżali i odjeżdżali. Różnili się od siebie typem, -wzrostem i stopniem trzeźwości, lecz mieli jedną wspólną cechę: jeśli mówili o morzu, to wiedzieli dobrze, o czym mówią. Dowiedziałem się od nich, że falowanie na morzu nie wzrasta wraz z głębokością wód ani z odległością od brzegu. Przeciwnie, szkwały w pobliżu lądu bywają często bardziej zdradzieckie niż na oceanie. Mielizny, przyboje i prądy wokół brzegów mogą powodować falowanie znacznie większe niż to, jakiego można by oczekiwać na pełnym morzu. Statek, który dałby sobie radę płynąć wzdłuż otwartego wybrze-

ża, z pewnością poradziłby sobie także na oceanie. Dowiedziałem się również, że w czasie burzy



duże statki wrzynają się dziobem albo; rufą w zwały wód tak, że tony wody przelewają się przez pokład, skręcając jak piórka stalowe rury. Natomiast małe łodzie w sztormową pogodę były często w o wiele lepszej sytuacji, gdyż znajdując się pomiędzy grzbietami zwalistych bałwanów tańczyły na wodzie swobodnie jak mewy. Byli tacy, którzy uratowali się w łodziach ratunkowych, kiedy fale morskie rozbiły i zatopiły ich statek. Marynarze, z którymi rozmawiałem, mało się jednak znali na tratwach. Tratwa nie była statkiem; nie miała przecież stępki ani burt. Była tylko czymś pływającym, na czym mógł ktoś przetrwać, zanim nie zabrał

go ten czy inny statek. Jeden z marynarzy żywił jednak duży respekt dla tratw na wzburzonym morzu. Podczas wojny, gdy niemiecka torpeda zatopiła jego statek na środku Atlantyku, dryfował przez trzy tygodnie na otwartej tratwie.

— Ale żeglować na tratwie się nie da — powiedział. — Płynie raz bokiem, raz tyłem; w zależności od wiatru.

W bibliotece wygrzebałem opisy podróży pierwszych Europejczyków, którzy dosięgli zachodniego wybrzeża Ameryki Południowej. Nie brakowało w nich ani szkiców, ani opisów wielkich tratw indiańskich, budowanych z drzewa balsa. Miały one rejowy żagiel, wysuwany miecz i długie wiosło sterowe na rufie. Można było więc nimi manewrować.

Tygodnie mijały w Domu Marynarza. Żadnej odpowiedzi z Chicago ni innych miast, do których posłałem kopie mojej pracy. Nikt ich widocznie nie czytał.

Pewnej soboty wzięłem się w garść i pomaszerowałem do *ship-chandlera 6* na Water-Street. Kupiec zaczął tytułować mnie uprzejmie "panem kapitanem", kiedy kupiłem mapę morską Oceanu Spokojnego. Z rulonem pod pachą udałem się na podmiejską kolejkę do Ossining; od dłuższego już czasu spędzałem *weekend* u młodego norweskiego małżeństwa, które miało za miastem czarującą willę. Mąż był niegdyś kapitanem okrętu, a obecnie pracował jako kierownik biura firmy żeglugowej *Fred Olsen Linę* w New Yorku.

Wzięliśmy odświeżającą kąpiel w basenie pływackim, zapomnieliśmy w mig o miejskim życiu i kiedy Ambjorg przyniósł tacę z cocktailami, usiedliśmy na trawniku pod palącymi promieniami słońca. Nie mogąc już dłużej powstrzymać się, rozwinąłem mapę Pacyfiku i zapytałem Wilhelma, czy jego zdaniem da się przebyć na tratwie ocean z Peru do Polinezji.

Ambjorg, nieco zdziwiony, spojrział raczej na mnie niż na mapę, lecz odrzekł

potwierdzająco. Poczułem się tak lekko, jakbym miał balon pod koszulą, gdyż wiedziałem, że Wilhelm lubił i rozumiał wszystko, co było związane z żeglarstwem i nawigacją. Zwierzyłem mu się więc z moich planów. Ku memu zdziwieniu uznał je za czyste szaleństwo.

— Dopiero co powiedziałeś przecież, że jest to całkiem możliwe — przerwałem.

— Zupełnie słusznie — przyznał — ale równie dobrze może ci się to nie udać. Nigdy nie byłeś na żadnej tratwie, a zamierzasz nagle przepłynąć na niej Ocean Spokojny. Może da się to zrobić, a może nie. Indiańscy żeglarze z Peru opierali się na doświadczeniu pokoleń. Kto wie, ile dziesiątków i

setek tratw poszło na dno w ciągu stuleci, zanim zdobyto niezbędne doświadczenie żeglarskie. Jak mówisz, Inkowie wychodzili na pełne morze całymi flotyllami takich tratw. A więc kiedy jedna uległa awarii, inne ratowały rozbitków. Ale kto uratuje cię, jeżeli ci się coś stanie na środku oceanu? Nawet gdybyś miał stację radiową dla przywołania 6 Ship-chandler — przedsiębiorca zaopatrujący statki w żywność, napoje, artykuły codziennego użytku, farby, liny itp.

pomocy, to nie myśl, że łatwo jest znaleźć małą tratwę o tysiące mil od lądu. W czasie sztormu fale mogą cię zmyć i utoniesz dziesięć razy, zanim nadejdzie pomoc. Lepiej poczekać cierpliwie, aż ktoś będzie miał czas i przeczyta twój rękopis. Napisz do nich znowu, nie daj im zapomnieć o sobie.

— Nie mogę dłużej czekać — powiedziałem. — Wkrótce nie będę już miał ani centa.

— To zamieszkać z nami. Jak zresztą zorganizujesz wyprawę z Ameryki Południowej, jeśli nie masz pieniędzy?

— Łatwiej zainteresować ludzi wyprawą, niż nie czytany rękopisem.

— Ale co przez to osiągniesz?

— Obalę jeden z najważniejszych argumentów skierowanych przeciwko mojej teorii, a poza tym nauka zainteresuje się całą sprawą.

— No, a jeśli ci się nie uda?

— Tak, wtedy nie udowodnię niczego.

— W oczach wszystkich obalisz własną teorię, czyż nie tak?

—• Być może, mam jednak jedną szansę na dziesięć, jak sam powiedziałeś, aby przebyć ocean w ten właśnie sposób.

Dzieci przyszły grać w krokieta i w tym dniu nie poruszaliśmy więcej tego tematu.

W końcu następnego tygodnia znowu przyjechałem do Ossi-ning z mapą, a kiedy wyjeżdżałem, widniała na niej długa, narysowana ołówkiem linia łącząca wybrzeże Peru z wyspami Tuamo-tu na Pacyfiku. Mój przyjaciel, kapitan, porzucił nadzieję wyperswadowania mi mojej idei. Siedzieliśmy godzinami, razem wyliczając przypuszczalny dryf tratwy.

— Dziewięćdziesiąt siedem dni — powiedział Wilhelm — lecz pamiętaj, że to tylko w idealnych warunkach, przy stale sprzyjającym wietrze i przy założeniu, że tratwa rzeczywiście będzie żeglowała tak, jak to sobie wyobrażasz. Powinieneś zdecydowanie liczyć się co najmniej z czterema miesiącami rejsu, a musisz być przygotowany na znacznie więcej.

— Doskonale — odparłem zadowolony — liczymy się z czterema miesiącami podróży, a zrobimy go w dziewięćdziesiąt siedem dni!

Kiedy wróciłem do domu i usiadłem z mapą na brzegu łóżka, mały pokój w Domu Marynarza

wydawał rni się tego wieczora w dwójnasób przytulny. Przemierzałem go wzdłuż i wszerz o tyle, o ile łóżko i szafa pozwalały na to. O tak, tratwa byłaby znacznie większa od pokoju. Wychyliłem się przez okno, żeby spojrzeć na zapomniane, wygwieżdżone niebo wielkowiejskie, które było widoczne jedynie wprost nad głową, pomiędzy murami podwórza.

— Jeżeli nawet na tratwie będzie ciasno, będziemy przynajmniej mieć gwiazdzone niebo nad sobą!

Przy 72 ulicy West, koło Central Parku, leży jeden z najbardziej ekskluzywnych klubów New Yorku. Tylko mała, połyskująca, mosiężna tabliczka z napisem *Explorers Club* zdradza przechodniowi niezwykłość wnętrza. Po wejściu do środka można odnieść wrażenie, że wylądowało się na spadochronie w obcym świecie oddalonym o tysiące mil od nowojorskich samochodów i drapaczy chmur. Kiedy zamykają się za nami drzwi odcinające New York, pochłania nas atmosfera polowań na lwy, wspinaczki wysokogórskiej i życia polarnego, a jednocześnie mamy uczucie, że siedzimy w salonie luksusowego jachtu podczas rejsu dokoła świata. Trofea z polowań na hipopotamy i jelenie, strzelby na grubego zwierza, kły, tam-tamy i włócznie, idiańskie derki, bożki i modele statków, flagi, fotografie i mapy tworzyły tło dla uczestników klubu zbierających się na przyjęcia lub odczyty o dalekich krajach.

Po mojej podróży na Wyspy Markizy zostałem rzeczywistym członkiem klubu, a jako nowicjusz rzadko opuszczałem posiedzenia w czasie pobytu w New Yorku. Przyszedszy zatem pewnego dzdżystego listopadowego wieczoru do klubu, spostrzegłem ze zdziwieniem, że dzieje się tam coś niezwykłego. Na środku pokoju leżała nadęta powietrzem gumowa tratwa wraz z racjami szalupowymi i przyborami ratunkowymi, podczas gdy spadochrony, gumowe kombinezony, kamizelki ratunkowe i wyposażenie polarne pokrywały ściany i stoły, na których stały balony do destylacji wody i inne zadziwiające wynalazki. Nowoobranym członkiem klubu, pułkownik Haskin z Szefostwa Zaopatrzenia Lotnictwa, miał wygłosić odczyt i zademonstrować nowe wynalazki, którymi, jak przypuszczał, mogłyby się w przyszłości posłużyć wyprawy naukowe zarówno polarne, jak i tropikalne.

Po odczycie rozwinęła się ożywiona i gorąca dyskusja. Znany duński odkrywca polarny Peter Freuchen podniósł się, wysoki i potężny, potrzęsając z powątpiewaniem olbrzymią brodą.

Nie , miał on zaufania do tych nowomodnych wynalazków. W czasie jednej ze swoich wypraw do Grenlandii użył kiedyś gumowej łodzi i składanego namiotu zamiast eskimoskiego kajaka i lodowego domku i omal nie przyplącił tego życiem. Najpierw zamarzył prawie na śmierć w czasie burzy śnieżnej, kiedy obmarznięty błyskawiczny zamek nie pozwolił mu schronić się do namiotu. A potem, w czasie połowu ryb, haczyk przebił powłokę pneumatycznej gumowej łodzi, która zatoneła pod nim jak mokra szmata. Freuchen wraz z przyjacielem, Eskimosem, dopłynęli do lądu kajakiem, który przyszedł im na ratunek.

Był więc zdania, że żaden mądry ndwoczesny wynalazca, siedząc w swoim laboratorium, nie wymyśli nic lepszego niż to, czego tysiącletnie doświadczenie nauczyło Eskimosów we własnym kraju.

Dyskusja zakończyła się nieoczekiwaną propozycją ze strony pułkownika Haskina.

Członkowie klubu mogą w czasie swoich najbliższych wypraw posłużyć się którymś z nowozademonstrowanych przez niego wynalazków — pod warunkiem, że po powrocie poinformują laboratorium o ich przydatności.

Niczego więcej nie pragnąłem. Tego wieczora wyszedłem z klubu ostatni — zbadałem każdy najmniejszy szczegół nowiutkiego ekwipunku, który tak nieoczekiwanie oddano 'do mojej dyspozycji. Potrzebowałem właśnie przyrządów ratunkowych, przecież tratwa — wbrew moim przypuszczeniom — mogła rozbić się na pełnym morzu z dala od ludzi.

Następnego ranka przy śniadaniu w Domu Marynarza wciąż jeszcze myślałem o tym ekwipunku, kiedy dobrze ubrany, młody człowiek o budowie atlety podszedł ze swoją tacą śniadaniową i usiadł przy moim stole. Zaczęliśmy pogawędkę i okazało się, że —• podobnie jak i ja — nie był marynarzem. Ukończył politechnikę w Trondheim i przebywał w Ameryce dla zakupu różnych części maszyn. Odbywał praktykę inżynierską w zakresie techniki chłodniczej.

Mieszkał w pobliżu i wstępował często na posiłki do Domu Marynarza, który słynął z dobrej 'norweskiej kuchni. Zapytał mnie, co porabiam, więc opowiedziałem mu pokrótce o moich planach. Mianowicie, gdybym nie dostał w ciągu tygodnia pozytywnej odpowiedzi w sprawie wysłanego rękopisu, puszcę w ruch przygotowania do wyprawy tratwę. Mój współbiednik milczał i przysłuchiwał się z wielkim zaciekawieniem.

W cztery dni później natknęliśmy się na siebie w tej samej j. ulalni.

— Zdecydował się pan na tę jazdę, czy nie? — zapytał mnie nowy znajomy.

— Tak — odparłem — jadę.

— Kiedy?

— Jak najprędzej. Jeżeli będę zwlekał zbyt długo, nadejdą sztormy znad Południowego Oceanu Lodowatego i na wyspach również rozpocznie się sezon orkanów. Muszę wyjechać w podróż z Peru w przeciągu najbliższych miesięcy, ale przede wszystkim potrzebuję pieniędzy dla zorganizowania całego tego interesu.

— Ilu ludzi będzie liczyć wyprawa?

— Myślę, że nie więcej niż sześciu; pozwoli to na dostateczne urozmaicenie współzycia na tratwie i wystarczy też dla czterogodzinnej wachty przy sterze przez całą dobę.

Młodzian stał przez chwilę, jakby przeżuując własne myśli, i nagle zawołał żywo:

— Do diabła, jakże chętnie wziąłbym udział w tej wyprawie! Mógłbym przeprowadzać techniczne pomiary i próby. Musicie przecież poprzeć wasze doświadczenia dokładnymi pomiarami wiatrów, prądów i fal. Pamiętajcie, że macie przed sobą przebycie olbrzymich przestrzeni morskich, prawie nieznanymi, leżących daleko od szlaków żeglugi. Taka właśnie wyprawa może prowadzić interesujące badania hydrograficzne i meteorologiczne; mógłbym znakomicie wykorzystać moje

umiejętności w zakresie termodynamiki.

Nie wiedziałem nic o tym człowieku, lecz jego szczerą, ujmującą twarz przemawiała za nim.

— *Ali right* — powiedziałem. — Jedziemy razem.

Nazywał się Herman Watzinger i tak jak ja był szczurem lądowym.

W kilka dni później wprowadziłem Hermana jako mojego gościa do Klubu Odkrywców. Natrafiliśmy tam od razu na polarnego badacza, Petera Freuchena. Freuchen ma tę błogosławioną właściwość, że w największej ciżbie nie traci się go z oczu. Wielki jak wieże je stodoły, potrzęsający olbrzymią brodą, przypominą wysłańca z dalekiej tundry. Nie zdziwiłbym się, gdybym go zobaczył z szarym niedźwiedziem na smyczy.

Podeszliśmy z nim do dużej mapy ściennej i opowiedzieliśmy o naszych planach przebycia Pacyfiku na indiańskiej tratwie. Jego niebieskie, chłopięce oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Przez chwilę tarmosił brodę i nagle tupnął w podłogę swoją drewnianą nogą, ściągając pas o kilka dziurek.

— Do pioruna, chłopcy! Chciałbym być z wami!

Stary grenlandzki podróżnik napełnił nasze kufle piwem i zaczął opowiadać o swoim zaufaniu do statków używanych przez dzikie ludy. On sam podróżował na tratwie po wielkich rzekach syberyjskich i holował tratwy krajowców za swoim statkiem wokół wybrzeży Arktyki.

Opowiadając o tym skubał swoją długą brodę. Przepowiadał nam wspaniałą podróż.

Gorące poparcie naszych planów przez Freuchena nadało całej sprawie ostre tempo.

Wypadki rozwijały się teraz z zadziwiającą szybkością i zetknęły nas ze skandynawską prasą.

Już następnego ranka ktoś gwałtownie zapukał do drzwi w Domu Marynarza i wywołano mnie na dół do telefonu. W wyniku tej rozmowy Herman i ja dzwoniłszy tego samego wieczora do pewnego mieszkania w eleganckiej dzielnicy miasta. Przyjął nas wytworny młody człowiek w lakierkach i jedwabnym szlafroku okrywającym niebieskie ubranie. Sprawiał początkowo wrażenie słabeusza i skarżył się na zaziębienie, zasłaniając nos perfumowaną chusteczką.

Wiedzieliśmy jednak, że facet zasłynął w Ameryce jako lotnik dzięki swym wyczynom w czasie wojny. Oprócz naszego zblazowanego gospodarza byli tam jeszcze dwaj młodzi i energiczni dziennikarze tryskający żądzą działania i pomysłami. Jeden z nich cieszył się opinią zdolnego korespondenta.

Przy butelce dobrej *whisky* gospodarz wyjaśnił, że jest zainteresowany naszą wyprawą.

Zaproponował, iż uzyska potrzebne nam fundusze, jeśli zobowiązemy się dawać artykuły do dzienników i odbyć *tournee* z odczytami po powrocie z naszej podróży. Ostatecznie doszliśmy do porozumienia i wypiliśmy za dobrą współpracę między finansującymi wyprawę a jej uczestnikami. Od tej chwili wszystkie problemy pieniężne miały być rozwiązane, przejęli je bowiem opiekunowie

uwalniający nas od zmartwień. Mogliśmy z Hermanem natychmiast zająć się zebraniem załogi i ekwipunku oraz zbudowaniem tratwy, by wyruszyć w drogę, nim zacznie się okres huraganów.

Następnego dnia Herman wymówił posadę i wzięliśmy się poważnie do roboty.

Laboratorium badawcze Szefostwa Zaopatrzenia lotnictwa udzieliło nam obietnicy, że cały potrzebny ekwipunek zostanie przysłany do Klubu Odkrywców; powiedziano mi, że wyprawa będzie doskonałą okazją wypróbowania wyposażenia. Był to dobry początek. Teraz z kolei stało przed nami trudne zadanie wyszukania czterech odpowiednich ludzi, którzy mieliby ochotę wziąć udział w wyprawie na tratwie i pomóc w zdobywaniu ekwipunku.

Grupa ludzi, która wybrałaby się w rejs na pokładzie tratwy, wymagała starannego doboru. Miesiące odosobnienia na morzu mogły spowodować przykrości, kwasy, a nawet wzniecić bunt załogi. Nie chciałem obsadzać tratwy marynarzami, gdyż na manewrowaniu tratwą znali się nielepiej od nas, poza tym nie chciałem po skończonej wyprawie usłyszeć zarzutu, że podróż udała się, gdyż byliśmy lepszymi marynarzami od dawnych peruwiańskich budowniczych tratw. Należało jednakże mieć na pokładzie człowieka, który umiałby obchodzić się z sekstansem i wyznaczać na mapie nasz kurs jako podstawę wszelkich sprawozdań naukowych.

— Znam pewnego malarza — powiedziałem Hermanowi. —

Jest to niezły kawał chłopca, umie grać na gitarze i ma zawsze dobry humor. Skończył szkołę morską i parę razy okrążył świat, zanim wziął się do pędzla i palety. Znam go od chłopięcych lat; często towarzyszył mi w Norwegii podczas wycieczek górskich.

Napiszę do niego i jestem pewien, że przyjedzie.

— Będzie z niego pożytek — przyznał Herman — ale musimy jeszcze mieć kogoś, kto potrafi obchodzić się z radiostacją.

— Radiostacją? — spytałem zgorszony. — Co, do diabła, będziemy robić z radiostacją?

Nie ma dla niej miejsca na przedhistorycznej tratwie.

— Czemu nie? Jest to po prostu środek ostrożności, który nie będzie miał żadnego wpływu na twoją historię tak długo, póki nie wyślesz sygnału SOS żądając pomocy.

Radiostacja przyda się

nam do nadawania raportów meteorologicznych i innych meldunków. Za to ostrzeżeń sztormowych nie będziemy przyjmować, gdyż nie nadają ich w tej części oceanu, a zresztą co byśmy z nimi zrobili na tratwie.

Jego argumenty przewyciężyły stopniowo wszystkie moje protesty wypływające przede wszystkim z braku zamiłowania do wtyczek, śrubek i gałek, którymi trzeba manewrować.

— Dziwnie się składa — przyznałem — ale ja właśnie rnam kontakty z ludźmi, którzy potrafią

uzyskać połączenie radiowe małymi aparatami na duże odległości. Przydzielono mnie w czasie wojny do sekcji łączności radiowej. Właściwy człowiek na właściwym miejscu, co?

Muszę napisać parę słów do Knuta Hau-glanda i Torsteina Raaby.

— Znasz ich?

— Tak. Po raz pierwszy spotkałem Knuta w Anglii w 1944 roku. Był już wówczas odznaczony przez brytyjskiego króla za udział w akcji sabotażowej przeciw zakładom "ciężkiej wody" w Rjukan<sup>7</sup>. Kiedy go spotkałem, wracał właśnie z innej roboty w Norwegii. Gestapo przyłapało go z tajną radiostacją w kominie kliniki położniczej w Oslo. Hitlerowcy wykryli krótkofalówkę za pomocą stacji podsłuchowych, operujących antenami kierunkowymi, i otoczyli cały budynek stawiając wartowników z automatami przy każdych drzwiach. Fehmer, szef gestapo, stał na podwórzu czekając, aż wyniosą Knuta. Tymczasem zamiast Knuta wyniesiono jego własnych ludzi. Knut bowiem z pistoletem w ręku wywalczył sobie drogę ze strychu do piwnicy, a z piwnicy na tylne podwórko, skąd zniknął skacząc przez mur szpitalny pod gradem kul. Spotkałem go w tajnej bazie, w starym angielskim zamku; wrócił tam, żeby zorganizować konspiracyjną łączność z więcej niż setką tajnych radiostacji w okupowanej Norwegii.

Zakończyłem właśnie mój kurs spadochroniarski i planowaliśmy z Knutem, że wyskoczymy gdzieś w Nordmark koło Oslo. Ale właśnie wtedy Rosjanie wkroczyli do rejonu Kirkenes i mały oddział norweski został wysłany ze Szkocji do Finmark, dla przejęcia operacji od rosyjskich oddziałów. Zamiast do Nordmark, wysłano mnie więc do Finmark. Tam spotkałem Torsteina.

W tych okolicach panowała prawdziwa polarna zima i zorze polarne rozjaśniały niebo. Kiedy przyszlismy w okolice Finmark, zakutani w futra i zsiniali z zimna, wesoły, błękitnooki, jasno-włosy chłop wypełził z małej chatki w górach. Był

to Torstein Raaby, który w swoim czasie uciekł do Anglii i skończył kurs radiotelegrafistów, a następnie został przerzucony do Norwegii, w okolice Tromsø. Tam ukrywał się z małym 7 Zakłady "ciężkiej wody" w Rjukan. — W czasie ostatniej wojny hitlerowcy czynili próby wyprodukowania bomby atomowej. Jednym z surowców potrzebnych do produkcji była tzw. "ciężka woda"

wytwarzana przez norweską fabrykę w Rjukan. Anglicy zrzucili w Norwegii desant spadochroniarzy, który wysadził w powietrze fabrykę "ciężkiej wody", uniemożliwiając w ten sposób hitlerowcom produkcję bomby atomowej.

nadajnikiem w pobliżu liniowca "Tirpitz" i przez dziesięć miesięcy wysyłał codzienne raporty do Anglii o wszystkim, co działo się na pokładzie Okrętu. Wysyłał on swoje raporty w nocy, podłączając się do anteny radioodbiornika jednego z niemieckich oficerów. Z meldunków tych korzystały brytyjskie bombowce, które wykończyły ostatecznie okręt "Tirpitz".

Torstein uciekł do Szwecji, a stamtąd do Anglii. Następnie wraz z nową radiostacją wylądował znowu na spadochronie w Norwegii, za niemieckimi liniami w Finmark. Kiedy Niemcy wycofali się, Torstein znalazł się za naszym frontem. Wyszedł / . kryjówek ze swoim małym nadajnikiem, żeby nam pomóc, bowiem nasza główna radiostacja została zniszczona przez minę.

Jestem gotów założyć się, że Knut i Torstein mają po uszy odpoczynku w domu i z przyjemnością udaliby się na małą wyprawę tratwą.

— Napisz i zapytaj ich — zaproponował Herman.

Napisałem do Erika, Knuta i Torsteina krótki list.

“Wybieram się przez Pacyfik na tratwie, żeby dowieść słuszności teorii o zaludnieniu Oceanii przez ludy z Peru. Czy przyłączycie się do mnie? Nie obiecuję wam nic oprócz bezpłatnej podróży do Peru, Oceanii i z powrotem. Sądzę, że wasze umiejętności znajdą odpowiednie zastosowanie w czasie podróży. Odpowiedzcie natychmiast”.

Od Torsteina otrzymałem niezwłocznie następującą depeszę:

“Jadę. Torstein”.

Pozostali również przyjęli zaproszenie.

Na szóstego członka załogi typowaliśmy jedną osobę po drugiej, lecz za każdym razem powstawały jakieś przeszkody. Tymczasem obaj musieliśmy zająć się sprawą zaopatrzenia w żywność. Nie mieliśmy zamiaru jeść w czasie podróży suszonego mięsa lub batatów, gdyż nie chodziło nam przecież o to, by dowieść, że sami

kiedyś byliśmy Indianami. Zamierzaliśmy tylko sprawdzić zdolność do żeglugi i nośność tratwy Inków oraz przekonać się, czy żywoły morskie doniosą tratwę do Polinezji z żywą załogą na pokładzie. Nasi peruwiańscy poprzednicy z pewnością potrafiliby wyżywić się na tratwie suszonym mięsem, rybami i suszonymi batatami, czym żywili się zazwyczaj na lądzie. My zaś chcieliśmy zbadać w czasie podróży, czy płynąc przez ocean można było uzyskać świeżą rybę i wodę deszczową. Nasze wyżywienie powinno być takie, jak zwykle polowe racje żołnierskie, które znaliśmy z czasów wojny.

W tym czasie przybył do Waszyngtonu nowy zastępca norweskiego *attache* wojskowego. Zastępowałem go, gdy dowodził kompanią w Finmark. Był to człowiek pełen ognia i niespożytej energii. Bjorn Rorholt należał do typu ludzi, którzy rozwiązując jedno zagadnienie muszą mieć w perspektywie drugie, inaczej bowiem czuliby się zgubieni.

Zaznajomiłem go listownie z sytuacją, prosząc o nawiązanie kontaktu z departamentem zaopatrzenia armii amerykańskiej. Mogły istnieć szanse, że jakieś laboratorium zajmuje się badaniem polowych racji żołnierskich, które moglibyśmy wypróbować podobnie jak wyposażenie dla laboratorium wojsk lotniczych.

Po dwóch dniach Bjorn zatelefonował do nas z Waszyngtonu. Nawiązał on kontakt z sekcją zagraniczną amerykańskiego Ministerstwa Wojny, które chciałoby mieć dokładniejsze informacje, o co chodzi.

Wyjechaliśmy z Hermanem najbliższym pociągiem, do Waszyngtonu i znaleźliśmy Bjorna w jego pokoju w biurze *attache* wojskowego.



— Myślę, że wszystko da się załatwić — powiedział Bjorn. — Gdy tylko otrzymamy list polecający od naszego pułkownika, zostaniemy przyjęci jutro przez sekcję zagraniczną. ^\*

“Pułkownikiem” był Otto Munthe-Kaas, norweski *attache* wojskowy. Odniósł się do nas przychylnie. Skoro tylko dowiedział się o naszej wyprawie, gotów był wystawić potrzebną nam rekomendację.

Kiedy następnego ranka przyszliśmy odebrać pismo polecające, pułkownik podniósł się nagle i oznajmił, że najlepiej będzie.

•ieli on sam pojedzie z nami. Pojechaliśmy wozem pułkownika do Pentagonu, mieszczącego biura amerykańskiego Ministerstwa Wojny. Pułkownik i Bjorn siedzieli z przodu w swoich najlepszych mundurach, a Herman i ja zajęliśmy miejsca z tyłu i patrzyliśmy na olbrzymi gmach Pentagonu, wyrastający na równinie przed nami. Gigantyczny biurowiec, wraz z trzydziestu tysiącami urzędników i dwudziestu pięciu kilometrami korytarzy, miał tworzyć tło oczekującej nas konferencji z “grubymi rybami” armii na temat traktwy. Nigdy przedtem ani potem nie wydawała się traktwa mnie i Hermanowi tak beznadziejnie nikła.

Zdawało się, że nie będzie końca wędrówce po korytarzach i korytarzykach; dotarliśmy wreszcie do drzwi sekcji zagranicznej i po chwili zasiedliśmy wokół wielkiego, mahoniowego stołu w otoczeniu eleganckich mundurów, pod przewodnictwem same-go szefa sekcji zagranicznej.

Szorstki, barczysty oficer z West-Point, rozparty przy końcu stołu, nie mógł z początku zrozumieć, co może mieć wspólnego amerykańskie Ministerstwo Wojny z drewnianą traktwą.

Lecz po wysłuchaniu przemyślanych słów naszego pułkownika oraz naszych odpowiedzi na huragan pytań zadawanych przez oficerów siedzących wokół stołu, powoli nabrał do nas przekonania. Przeczytał też z zaciekawieniem pismo laboratorium Szefostwa Zaopatrzenia Lotniczego, które zajmowało się badaniem wyposażenia. Potem wstał, dał swojemu personelowi krótki rozkaz udzielenia nam pomocy w ramach istniejących przepisów i wymaszerował z. pokoju, życząc nam powodzenia. Kiedy się za nim drzwi zamknęły, młody kapitan sztabu szepnął rni do ucha:

- *Założą się, że dostaniecie wszystko, czego tylko zapragniecie. Wasza wyprawa wygląda jak jakaś mała wojenna operacja i wnosi nieco odmiany w szarą rutynę naszej pracy w czasie pokoju. Poza tym będzie to rzeczywiście dobra okazja dla kontroli naszego wyposażenia.*

Biuro sekcji zainicjowało zaraz spotkanie z pułkownikiem Le-wisem, kierownikiem doświadczalnego laboratorium Generalnego Kwatermistrzostwa. Odstawiono nas tam samochodem. Pułkownik Lewi s, dobroduszny olbrzym o postawie sportowca, zwołał natychmiast swoich ludzi kierujących badaniami w poszczególnych działach laboratorium. Wszyscy odnieśli się do nas przyjaźnie i zaofiarowali nam mnóstwo rzeczy, które mieliśmy dokładnie wypróbować. Przekraczało to nasze najśmielsze oczekiwania. Proponowano nam wszystko, czego tylko mogliśmy sobie *zyczyć*, od racji żołnierskich aż do kremu na opaleniznę i wodoszczelnych śpiworów. Następnie pokazali nam wszystkie swoje zasoby. Skontrolowaliśmy specjalne porcje żywnościowe w zmyślnych opakowaniach, wypróbowaliśmy zapalki palące się nawet po zanurzeniu w wodzie, nowe typy kuchenek naftowych i zbiorników na wodę, gumowe worki i specjalne buty, przybory kuchenne i

plywające noże — słowem wszystko, czego mogłaby sobie *życzyć* wyprawa.

Spoglądałem na Hermana. Był pełen oczekiwania jak grzeczny chłopczyk idący z bogatą ciotką przez sklep ze słodyczami. Wysoki pułkownik kroczył na przedzie prezentując nam wszystkie wspaniałości, a kiedy obchód został zakończony, urzędnicy zanotowali sobie rodzaj i ilość interesującego nas ekwipunku. Myślałem, że wygraliśmy już bitwę, i chciałem jedynie dostać się do hotelu, gdzie mógłbym przyjąć poziomą pozycję i przemyśleć sobie wszystko w ciszy i spokoju. Wtem rosły, dobroduszny pułkownik rzekł:

— Tak, teraz trzeba pójść i pogadać ze “starym”. Od niego zależy, czy dostaniecie to wszystko.

Udaliśmy się do szefa z duszą na ramieniu. Wyglądało na to, że trzeba będzie rozpocząć naszą agitację od początku, a nieba raczą wiedzieć, jakim człowiekiem okaże się szef.

Znaleźliśmy się przed obliczem małego oficerka zachowującego grobową powagę.

Siedział za biurkiem i lustrował nas przesywającymi, niebieskimi oczyma. Poprosił o zajęcie miejsc.

— *Well*, czego *życzą* sobie ci panowie? — zapytał szorstko pułkownika Lewisa, nie spuszczać ze mnie wzroku.

— Oh, paru drobnostek — pośpiesznie odpowiedział Lewis, wyjaśniając w krótkich zarysach naszą sprawę. Szef słuchał cierpliwie, z niewzruszoną miną.

— A co otrzymamy w zamian? — zapytał obojętnie.

— Właściwie — rozpoczął Lewis pojednawczo — marny nadzieję, że wyprawa będzie mogła złożyć nam raport o wartości naszego nowego ekwipunku i żywności w szczególnie ciężkich warunkach morskich.

Śmiertelnie poważny oficer pochylił się nad biurkiem i z kamienną twarzą, nie przestając na mnie przenikliwie patrzeć, odrzekł zimno:

— Nie widzę niczego, co byśmy mogli otrzymać od nich w zamian.

W pokoju zapanowało milczenie. Czulem, że zapadam się w głęboki, skórzany fotel.

Lewis poprawił kołnierzyk. Nikt z nas nie wyrzekł ani słowa.

— Jednakże — powiedział nagle donośnie szef, z ironicznym błyskiem w oku —

odwaga i przedsiębiorczość mają również swoją wartość. Pułkownikowi Lewis, niech pan im da to wyposażenie!

W taksówce odwożącej nas do hotelu siedziałem jeszcze , na wpół odurzony powodzeniem, podczas gdy obok mnie Herman śmiał się do siebie.

— Kiedyś się wstawił? — zapytałem przestraszony.

— Obliczyłem — śmiał się bezwstydnie Herman — że racje, które otrzymaliśmy, zawierają sześćset osiemdziesiąt cztery puszki z ananasami, a to właśnie jest mój największy przysmak.

Skoro sześciu ludzi zamierza się zebrać z drewnianą tratwą i ładunkiem w pewnym punkcie peruwiańskiego wybrzeża, należy przedtem załatwić tysiąc spraw, i to niemal jednocześnie. Mieliśmy do dyspozycji tylko trzy miesiące czasu i żadnej czarodziejskiej lampy Aladyna.

Wylecieliśmy samolotem do New Yorku z rekomendacją sekcji zagranicznej Ministerstwa Wojny, żeby spotkać profesora Behre z Uniwersytetu Columbia. Był on szefem komitetu badań geograficznych ministerstwa wojny i potrafił nacisnąć odpowiednie guziki, dopomagając Hermanowi w uzyskaniu wszystkich Cennych instrumentów i aparatów służących do pomiarów naukowych.

Następnie poleciliśmy do Waszyngtonu, ażeby spotkać admirała Glover z instytutu hydrograficznego marynarki wojennej. Poczciwy, stary wilk morski zwołał swoich oficerów i przedstawiając nas, wskazał na ścienną mapę Oceanu Spokojnego.

— Ci młodzi ludzie pragną skorygować nasze mapy prądów morskich. Pomóżcie im.

Kiedy cała ta historia rozkręciła się, angielski pułkownik Lums-den zwołał konferencję w brytyjskiej misji wojskowej w Waszyngtonie w celu przedyskutowania możliwości pomyślnego zakończenia wyprawy. Otrzymaliśmy wiele dobrych rad i na dodatek komplet brytyjskiego ekwipunku, który przesłano nam samolotem z Anglii. Brytyjski oficer sanitarny był gorliwym rzecznikiem tajemniczego "proszku na rekiny": szczypta rozsypana na wodę miała odegnać rekiny, gdyby okazały się zbyt natrętne.

— *Sir* — zapytaliśmy uprzejmie — czy można polegać na tym proszku?

— Tego właśnie — odpowiedział Anglik z uśmiechem — chcielibyśmy się od was dowiedzieć.

Gdy czasu jest niewiele i zamiast pociągu używa się samolotu, a zamiast własnych nóg

— samochodu, portfel kurczy się jak zwiędły liść. Kiedy wydaliśmy pieniądze otrzymane za mój powrotny bilet do Norwegii, zapukaliśmy do drzwi naszych przyjaciół i opiekunów w New Yorku, ażeby wyjaśnić kwestię funduszów. Tu spotkały nas nieoczekiwane i ponure trudności.

Kierownik finansowy całej akcji leżał z gorączką w łóżku, a dwaj jego koledzy byli bez niego bezsilni. Nie odstępowali oni od umowy, lecz na razie nie mogli nic zrobić. Prosimi o odłożenie całej wyprawy — żądanie bezcelowe, gdyż nie mogliśmy powstrzymać wszystkich trybów, które zaczęły się już obracać. Na zatrzymanie lub zahamowanie sprawy było za późno, należało ciągnąć ją dalej. Subwencionujący nas przyjaciele zgodzili się na rozwiązanie całej tej spółki i pozostawienie nam wolnej ręki w celu szybkiego i niezależnego od nich działania.

Staliśmy na ulicy z rękoma w kieszeniach.

— Grudzień, styczeń, luty — powiedział Herman.

— Ostatecznie początek marca — dodałem — ale wtedy to już po prostu musimy odbijać od brzegu!

Jeśli wszystko wyglądało niepewnie, to jedna rzecz nie budziła w nas wątpliwości.

Nasza wyprawa miała zamierzony naukowy cel. Nie chcieliśmy, by nas zaliczano do akrobatów skaczących w beczce z wodospadu Niagara albo do ludzi siedzących przez siedemnaście dni na szczycie masztu.

— Nie zgodzimy się na reklamowanie coca-cola albo gumy do żucia — powiedział

Herman.

Co do tego byliśmy absolutnie jednomyślni.

Moglibyśmy otrzymać norweską walutę. Po tej stronie Atlantyku nie rozwiązałoby to jednak zagadnienia. Mogliśmy także prosić o pieniądze z fundacji naukowej, ale skoro nasza teoria była nie udowodniona, otrzymanie ich było wątpliwe. Po to chcieliśmy właśnie wyruszyć na tratwie, żeby dowieść słuszności naszej koncepcji. Wkrótce zrozumieliśmy, że ani prasa, ani prywatni mecenas nie zaryzykują finansowania podróży, którą wszystkie towarzystwa ubezpieczeniowe uważały za samobójczą. Ba, gdyby wiadomo było, że wrócimy z wyprawy zdrowi i cali... Na razie jednak sytuacja przedstawiała się ponuro i przez wiele dni nie widzieliśmy żadnego wyjścia. Wówczas pułkownik Munthe-Kaas zjawił się w tej historii ponownie.

— Załatwione, chłopcy — powiedział — macie tu na początek czek ode mnie. Oddacie mi, gdy wrócicie z mórz południowych.

Pułkownik pociągnął swym przykładem innych i wkrótce prywatne pożyczki wystarczyły do ściągnięcia nas z mielizny bez pomocy agentów i innych *businessmanów*.

Mogliśmy teraz lecieć bezzwłocznie do Ameryki Południowej, by puścić w ruch budowę tratwy.

Stare peruwiańskie tratwy były budowane z drzewa balsa, które •w stanie suchym jest lżejsze niż korek. Drzewa te rosną w Peru, lecz oddzielone są od morza łańcuchem górskim.

Dlatego też żeglarze z czasów Inków wędrowali wzdłuż wybrzeża do Ekwadoru, gdzie mogli ścinać olbrzymie pnie balsy przy samym brzegu Pacyfiku. Zamierzaliśmy zrobić to samo.

W naszych czasach problemy podróży są zupełnie inne niż w czasach Inków. My mamy samoloty, samochody i biura podróży, lecz by życie nie było zbyt łatwe, mamy również granice strzeżone przez wygalonowanych drabów, którzy wątpią w naszą identyczność, maltretują bagaż i przytłaczają nas ciężarem stemplowanych formularzy, jeżeli już w ogóle pozwolą na przejście. W obawie przed tymi osobnikami uznaliśmy, że nie możemy wy-4!

ładować w Ameryce Południowej ze skrzyniami i kuframi pełnymi dziwnych przedmiotów, kłaniając się grzecznie i prosząc łamanym hiszpańskim językiem o wpuszczenie nas w celu urządzenia wyprawy na tratwie. Zamknięto by nas po prostu w więzieniu.

— Nie — powiedział Herman. — Musimy mieć jakąś oficjalną rekomendację.

Jeden z naszych przyjaciół z rozwiązanego triumwiratu był dziennikarzem akredytowanym przy Organizacji Narodów Zjednoczonych i zabrał nas tam swoim samochodem. Imponujące wrażenie zrobił na nas widok przedstawicieli wszystkich narodów, siedzących obok siebie w fotelach w wielkiej sali i słuchających uważnie przemówienia czarnowłosego Rosjanina, który stał przy olbrzymiej mapie świata, zdobiącej tylną ścianę.

Nasz przyjaciel-korespondent, wyczekawszy odpowiednią chwilę, złapał najpierw jednego z delegatów Peru, a później członka reprezentacji Ekwadoru. Siedząc na głębokiej skórzanej kanapie w palarni, przysłuchiwali się oni z zainteresowaniem naszym planom wyprawy przez ocean dla poparcia teorii, że przedstawiciele starej cywilizacji z ich własnego kraju, pierwsi dotarli do wysp Oceanu Spokojnego. Obydwaj obiecali powiadomić swoje rządy i zapewнили nam poparcie w swoich krajach. Trygve Lie, przechodząc przez palarnię, podszedł do nas usłyszawszy, że jesteśmy jego rodakami. Ktoś zaproponował mu nawet, że także powinien wyruszyć na tratwie. Lecz jemu wystarczyło bujanie na łądzie... Zastępca sekretarza ONZ, dr Benjamin Cohen z Chile, znany amator archeolog, dał mi list do prezydenta Peru, który był jego osobistym przyjacielem. Spotkaliśmy również w sali ambasadora Norwegii, Wilhelma Morgenstierne, który odtąd udzielał wyprawie nieocenionego poparcia.

Kupiliśmy dwa bilety do Ameryki Południowej. Kiedy cztery ciężkie motory zaczęły huczeć jeden po drugim, usiedliśmy wygodnie w głębokich fotelach, zmęczeni tym wszystkim.

Ogarnęło nas niewypowiedziane uczucie ulgi, że pierwsza część programu była zakończona.

Pędziliśmy teraz prosto na spotkanie przygody.

### III. DO AMERYKI POŁUDNIOWEJ

Łądujemy na równiku \* Sprawa balsy \* Lot do Guito \* Poławiacze głów i bandidos \*

Jeepem przez Andy \* W głębi dżungli \* W Qnivedo \* Ścinamy drzewa balsa \* Tratwą w dół

rzeki \* Nęcący port wojenny \* W Ministerstwie Marynarki Wojennej w Limie \* U prezydenta Peru \* Przybycie Daiiiełssóna \* Z powrotem do Waszyngtonu \* Dwanaście kilo papieru \*

Chrzest bojowy Hermana \* Budujemy tratwę w porcie wojennym \* Ostrzeżenia \* Przed startem \* Chrzest Kon-Tiki \* Pożegnanie Ameryki Południowej \*

Kiedy minęliśmy równik, samolot zaczął *zniżać* lot przecinając warstwę mlecznobiałych obłoków, które dotychczas leżały pod nami w palącym słońcu, jak oślepiające zwały śniegu. Wełniste opary czepiały się okien samolotu, aż wreszcie rozproszyły się i pozostały w górze, a pod nami zjawił się soczyście zielony dach falującej dżungli. Lecieliśmy nad południowo-amerykańską republiką Ekwador i wylądowaliśmy w tropikalnym porcie Guayaquil.

W ciężkich ubraniach podróżnych — marynarkach i kamizelkach, z zimowymi płaszczami na ręku — wyleźliśmy z samolotu ku rozgadany południowcom. Czuliśmy się jak w cieplarni. Koszule

przyklejały się nam do grzbietów, niczym mokra bibuła. Dostaliśmy się w objęcia urzędników celnych i imigracyjnych — i niemal na ramionach zaniesiono nas do taksówki, która pomknęła do najlepszego w mieście hotelu. Tam każdy z nas szybko znalazł

drogę do wanny i rozpląszczył się pod kranem z zimną wodą.

Byliśmy więc w kraju, gdzie rośnie drzewo balsa, i mieliśmy kupić budulec do zbudowania tratwy.

Pierwszy dzień minął nam na poznawaniu systemu monetarnego i uczeniu się języka hiszpańskiego, który chcieliśmy opanować przynajmniej na tyle, żeby móc odnaleźć drogę do hotelu.

Drugiego dnia odważyliśmy się na oddalenie od naszych łazienek, wędrując stale rozszerzającymi się kręgami. Kiedy wreszcie Herman dotknął liścia prawdziwej palmy, urzeczywistniając w ten sposób marzenia swego dzieciństwa, a ja zamieniłem się w chodzącą wazę sałatki owocowej, postanowiliśmy pójść i kupić balsę.

Łatwiej było to jednak powiedzieć niż zrobić. Mogliśmy zakupić istotnie dowolną ilość balsy, lecz nie w postaci całych pni, które były nam potrzebne, tylko w formie desek i kłoców.

Minęły już dni, kiedy rnozna było łatwo dostać pnie balsy na wybrzeżu. Ostatnia wojna wytrzebiła te drzewa. Ścinano je tysiącami i wysyłano do fabryki samolotów, gdyż drzewo to było lekkie i porowate. Powiedziano nam, że jedynym miejscem, gdzie rosną jeszcze teraz duże drzewa balsa, jest dżungla we wnętrzu kraju.

— Pojedziemy więc tam i zetniemy je sami — oświadczyliśmy.

— Niemożliwe — odparły władze miejscowe. — Właśnie rozpoczęła się pora deszczowa, która drogi w dżungli zamieniła w trzęsawiska. Jeżeli potrzebujecie pni balsy, wróćcie do Ekwadoru za sześć miesięcy. Minie pora deszczowa i drogi w kraju wyschną.

W tej kiepskiej sytuacji odwiedziliśmy Don Gustayo von Buch-wald, króla balsy w Ekwadorze. Herman rozwinął przed nim szkic tratwy z wymiarami potrzebnych nam pni.

Chudy, drobny król balsy żywo złapał słuchawkę telefoniczną i zaprzągnął swoich agentów do poszukiwań. W każdym tartaku znaleźli oni belki, deski i pojedyncze, krótkie kłoc drewna, lecz ani jednego przydatnego pnia. Były wprawdzie dwa wyschnięte na pieprz bale na składzie samego Don Gustavo, lecz zdawaliśmy sobie sprawę, że daleko na nich nie zajedziemy.

Poszukiwania były najwyraźniej bezcelowe.

— Mam brata, który posiada wielką plantację drzew balsa — rzekł Don Gustavo. — Na imię mu Don Federico, mieszka w Quivedo, małym miasteczku w środku dżungli. Dostarczy wam wszystkiego, czego potrzebujecie, gdy tylko dostaniecie się do niego po zakończeniu pory deszczowej. Teraz nic z tego nie wyjdzie, na przeszkodzie stoją ulewy.

Jeżeli Don Gustavo powiedział, że jest to nieosiągalne, tegoż zdania musieli być wszyscy eksperci balsy w Ekwadorze. Siedzieliśmy więc w Guayaquil, pozbawieni budulca na tratwę i bez możliwości

ścięcia pni przed upływem sześciu miesięcy, kiedy i tak już będzie za późno na rozpoczęcie wyprawy.

— Mało mamy czasu — rzekł Herman.

— A balsę musimy dostać — dodałem — tratwa musi być dokładną kopią tratwy Inków, inaczej nie wyjdziemy z tego cało.

Mała, szkolna mapa, znaleziona w hotelu, z zieloną dżunglą, brązowymi górami i osiedlami ludzkimi zaznaczonymi czerwonymi kółkami mówiła nam, że dżungla ciągnie się nieprzerwanie od Oceanu Spokojnego aż do stóp niebotycznych Andów. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Podróż z okolic wybrzeża przez puszcze do Quivedo i drzew balsa, była najwyraźniej nie do zrealizowania. Można było jednak spróbować dotrzeć do nich z wnętrza kraju, zstępując w dżungłę ze zboczy górskich od strony śnieżnych szczytów Andów. Była to jedyna możliwość.

Na lotnisku znaleźliśmy mały samolot transportowy, który był gotów zabrać nas do Quito, stolicy tego dziwnego kraju leżącej na wysokim płaskowyżu, trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Zanim samolot zniknął, w chmurach, zdołaliśmy ujrzeć kątem oka —

włoczeni między meble i skrzynie — zieloną dżunglę i błyszczące rzeki. Kiedy znowu wynurzyliśmy się z chmur, niziny ukryły się pod nieskończonym morzem kłębiących się obłoków, a na wprost nas suche stoki gór i nagie skały przebijały się przez opary ku promiennemu, błękitnemu niebu.

Samolot wspinał się na zbocza gór, jak gdyby na niewidzialnej kolejce linowej, i chociaż równik był w zasięgu wzroku, widzieliśmy dokoła śnieżne pola iskrzące się w słońcu.

Następnie ześliznęliśmy się pomiędzy górami nad soczyście zielony płaskowyż, gdzie wylądowaliśmy w pobliżu na j niezwykle j sze j stolicy na świecie.

Spośród stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców stolicy większość stanowią górscy Indianie, częściowo Metysi, których przodkowie wzniesli Quito na parę wieków przed przybyciem do Ameryki Kolumba i ludzi białej rasy. Stare klasztory, zawierające bezcennej wartości dzieła sztuki oraz wspaniałe budynki z czasów hiszpańskich, spiętrzone ponad dachami niskich indiańskich domków zbudowanych z glinianych cegieł wysuszonych na słońcu, nadawały miastu szczególny charakter. Labirynt zaułków wił się między glinianymi murami. Spotykaliśmy tam indiańskich górali ubranych w czerwono nakrapiane płaszcze i wielkie kapelusze własnej roboty. Niektórzy z nich szli na jarmark, prowadząc iuczne osły, inni siedzieli w kucki pod murami i drzemali w go-lącym słońcu. Pojedyncze samochody, wiozące arystokratów hiszpańskiego pochodzenia, ubranych w tropikalne stroje, przecis-kały się jadąc zwolna i nieustannie dając sygnały między tłumem dzieci, osłów i bosonogich Indian. Tu w górze, na wysokim płaskowyżu, powietrze było tak kryształowo przezroczyste, że góry otaczające miasto wydawały się wkraczać w obraz ulicy stwarzając atmosferę innego świata.

Nasz przyjaciel z samolotu transportowego, Jorge, przezywany "szalonym lotnikiem", należał do jednego ze starych hiszpańskich rodów w Quito. Umieścił nas w Staroświeckim, zabawnym

hoteliku, a potem wypadł do miasta, aby załatwić przewiezienie nas przez gór-y i dżunglę do Quivedo. Spotkaliśmy się wieczorem w starej hiszpańskiej kawiarni. Jorge zasypał nas złymi wieściami. Podróż do Quivedo należy wybić sobie z głowy. Nie można dostać ani ludzi, ani wozu, który przetransportowałby nas przez góry, tym bardziej zaś przez dżunglę, gdzie rozpoczynają się już deszcze i grozi uwięzienie w błocie. Istnieje także niebezpieczeństwo napadów. W ubiegłym roku znaleziono dziesięciu amerykańskich inżynierów wiertniczych, zabitych zatrutymi strzałami we wschodniej części Ekwadoru, gdzie żyje jeszcze znaczna ilość leśnych Indian, którzy włóczą się nago po dżungli i polują posługując się tą śmiertelną bronią.

— Niektórzy z nich są łowcami głów — powiedział Jorge głuchym głosem, widząc, że Herman niewzruszenie dolewa sobie wina i dokłada wołowiny.

— Sądzicie pewnie, że przesadzam — dodał po chwili. — Chociaż jest to surowo wzbronione, są jeszcze w tym kraju ludzie zarabiający na życie sprzedażą spreparowanych głów ludzkich. Do dnia Indianie z dżungli urzynają głowy swoim przeciwnikom z koczowniczych plemion — niesposób tego upilnować. Rozbijają kości czaszki, usuwają je, następnie zaś napełniają pustą skórę gorącym piaskiem tak, że cała głowa kurczy się do wielkości kociego łba, nie tracąc kształtu i nie deformując rysów twarzy. Spreparowane głowy wrogów były dawniej cennymi trofeami, teraz zaś są rzadkim przedmiotem przemytu.

Pośrednicy — Metysi dostarczają ten towar przekupniom na wybrzeżu, którzy z kolei odprzedają je turystom za bająnskie sumy.

Jorge spojrział na nas triumfująco, nie wiedząc, że tego samego dnia wciągnięto mnie z Hermanem do klitki portiera i zaproponowano nam dwie głowy po tysiąc *sucre* za sztukę.

Często głowy takie są dziś podrabiane i fabrykowane z małych łbów, ale te dwa okazy były niewątpliwie autentyczne i należały do czystej krwi Indian. Były to głowy mężczyzny i kobiety, wielkości pomarańczy, pełne życia dzięki dokładnie zachowanym rysom twarzy.

Kobieta była naprawdę piękna, choć tylko rzęsy i długie, czarne włosy były naturalnej wielkości. Zadrżałem na to wspomnienie, lecz wyraziłem wątpliwość, czy łowcy głów przebywali na zachód od gór.

— Nigdy nie wiadomo — rzekł Jorge ponuro. — Co byście powiedzieli, gdyby wasz przyjaciel znikł, a głowa jego zjawiała się w miniaturze na rynku? Przeżyłem już taką historię —

dodał patrząc przenikliwie na mnie.

— Opowiadaj — rzekł Herman, żując swój befsztyk powoli i z umiarkowanym zadowoleniem.

Odłożyłem przezornie na bok widelec, a Jorge zaczął opowiadać. Oto, co usłyszeliśmy: Mieszkał on kiedyś ze swoją żoną na odległej placówce w dżungli, przemywając złoto i skupując zdobycz innych poszukiwaczy. Przyjaźnili się oni w tym czasie z pewnym krajowcem, który regularnie przynosił swoje złoto i wymieniał je na towary. Pewnego dnia człowiek ten został zabity w dżungli. Jorge wytropił mordercę i zagroził mu, że go za karę zastrzeli. Morderca był właśnie jednym z Indian



podejrzanych o handel preparowanymi ludzkimi głowami, więc Jorge obiecał darować mu życie pod warunkiem natychmiastowego wydania głowy przyjaciela. Morderca dostarczył głowę skurczoną do wielkości męskiej pięści.

Jorge był wstrząśnięty. Postanowił zabrać głowę do domu. Żona zemdląła ujrawszy ją i Jorge musiał schować "przyjaciela" do kufra. W dżungli jednak było tak wilgotno, że głowę pokryły zielonkawe plamy pleśni. Jorge musiał więc wydobywać ją od czasu do czasu, żeby przesuszyć na słońcu. Wieszano się ją za włosy na sznurku do suszenia bielizny. Żona Jorge mdlała za każdym razem, gdy tylko to zobaczyła. Lecz pewnego dnia do kufra dobrała się mysz i pocięła

"przyjaciela" na kawałki. Jorge był bardzo zmartwiony i pochował go ze wszystkimi honorami w małym dołku na lotnisku.

— Było to przecież mimo wszystko stworzenie ludzkie — zakończył Jorge.

— Dziękuję za obiad — powiedziałem.

Kiedy wracaliśmy o zmierzchu do domu, miałem nieprzyjemne złudzenie, że kapelusz Hermana zsunął mu się aż na uszy. W rzeczywistości Herman wepchnął go tylko głębiej, aby uchronić się od zimnego górskiego wiatru. Następnego dnia siedzieliśmy z naszym generalnym konsulem Bryhn i jego żoną pod eukaliptusami w ich wielkiej haejendzie za miastem. Bryhn nie przypuszczał, żeby nasza planowana podróż do Quivedo miała zakończyć się drastyczną zmianą wielkości numerów naszych kapeluszy, lecz w rejonach, które zamierzaliśmy właśnie przemierzyć, grasowali rabusie. Konsul pokazał nam wycinki z miejscowej prasy obwiesz-czające, że z nastaniem suchej pory roku będą wysłani żołnierze uła wytępienia bandidos grasujących w okolicach Quivedo. Byłoby czystym szaleństwem jechać tam teraz; nie dostalibyśmy zresztą przewodników i środków transportowych. W czasie rozmowy z konsulem zauważyliśmy pędzącego drogą *willysa* należącego do amerykańskiego *attache* wojskowego i to natchnęło nas pewną myślą. Poszliśmy w towarzystwie generalnego konsula do amerykańskiej ambasady i dostaliśmy się do *attache* wojskowego. Był to sprężysty młody człowiek o dziarskiej postawie, ubrany w khaki i buty do konnej jazdy. *Attache* zapytał nas śmiejąc się, czemu błądzimy po szczytach Andów, kiedy miejscowe dzienniki podały, że wybieramy się tratwą przez morze.

Wyjaśniliśmy mu, iż nasz budulec stoi jeszcze na pniu w dżungli Quivedo. My zaś tkwimy na dachu tego kontynentu i nie możemy dostać się do dżungli. Poprosiliśmy *attache* o wypożyczenie nam: a) samolotu i dwóch spadochronów lub też b) *jeepa* z kierowcą znającym okolicę.

Nasza pewność siebie odebrała oficerowi mowę, lecz po chwili pokiwał głową i odparł z uśmiechem, że *all right* — skoro nie daliśmy mu trzeciej możliwości, wybiera drugą.

Kwutlrana po piątej następnego ranka *jeep* podjechał w mro-1 " pod branie; hotelu.

Wyskoczył z niego ekwadorski kapitan sa~ 6w i ofiarował nam swoje usługi. Otrzymał on rozkaz odwie-ia nas do Quivedo, gdyby nawet droga zamieniła się w trze-•Isko. *Jeep* pełen był

blaszaniek z benzyną, gdyż po drodze nie liśmy napotkać żadnej stacji benzynowej ani uczęszczanych ików. Z uwagi na meldunki o *bandidos* nasz nowy przyjaciel, • 'pitan Agurto Alexis Alvarez, był uzbrojony po zęby w sztylety i broń palną. My natomiast przybyliśmy spokojnie do tego kraju w marynarkach i krawatach, aby za gotówkę kupić drewno na wybrzeżu, i dlatego całe nasze wyposażenie składało się z worka konserw. W ostatniej chwili kupiliśmy jeszcze używany aparat fotograficzny i po parze mocnych bryczesów. Prócz tego konsul wcisnął nam swoje wielkie parabellum wraz z taką ilością amunicji, że wystarczyłoby jej do wytepienia wszystkiego, co stać będzie na naszej drodze. I tak oto *jeep* wyruszył z miasta przez puste zaułki z pobielonymi wapnem lepiankami, upiornie oświetlonymi przez księżyc.

Wyjechawszy za miasto pogналиśmy w szalonym tempie przez górzystą okolicę po dobrej, piaszczystej drodze.

Droga wiodła aż do górskiej wioski Latakunga, gdzie indiańskie domki o ślepych ścianach bez okien tłoczyły się wokół białego kościółka wiejskiego na placu pod palmami.

Następnie skręciliśmy ścieżką dla mułów, która wiała się serpentyną na zachód przez góry i doliny aż do Andów. Ukazał nam się świat, o jakim nawet nie śniliśmy. Był to własny świat In-dian-górali "na wschód od słońca i na zachód od księżyca", świat poza czasem i przestrzenią. W czasie całej jazdy nie widzieliśmy ani jednego wozu, ani nawet śladu koła.

Drogą wędrowali jedynie bosonodzy pasterze w jaskrawych *poncho*, którzy pędzili przed sobą skłębione stada poważnych, sztywnonogich lam. Niekiedy zaś szły drogą całe rodziny Indian.

Małżonek jechał zwykle przodem na mule, podczas gdy żona dreptała z tyłu, z całą ko-k-keją kapeluszy na głowie i najmłodszym dzieckiem w węzélku na plecach, przez cały czas pochodu zręcznymi palcami przędąc wełnę. Osły i muły kroczyły za nimi leniwie, obładowane chru-stem, sianem i glinianymi garnkami.

Im dalej posuwaliśmy się, tym mniej Indian mówiło po hisz-pańsku, tak że wkrótce lingwistyczne zdolności kapitana Agurto okazały się równie bezużyteczne, jak nasze własne. Tu i ówdzie leżały w górach grupki chat; coraz rzadziej były one budowane z gliny, a coraz częściej z gałęzi i suchej trawy. Wydawało się, że zarówno chatki, jak opaleni ludzie o pomarszczonych twarzach wyrosli z samej ziemi i zostali wypaleni przez górskie słońce na zboczach Andów. Byli oni zrośnięci ze skałami i pastwiskami w sposób tak naturalny jak trawa górską. Indianie z Andów, drobni i biedni, odznaczali się zwierzęcą wytrzymałością i dziecięcym umysłem ludów natury. Im mniej potrafili rozmawiać tym więcej się uśmiechali. Zewsząd błyskały ku nam promieniejące twarze ze śnieżnobiałymi zębami. Nic nie świadczyło, ażeby biały człowiek zarobił czy stracił tu choć jeden grosz. Nie było ani reklam przydrożnych, ani drogowskazów; puszka od konserw czy skrawek papieru, rzucone na drogę, były natychmiast zbierane jako przedmioty użyteczne dla gospodarstwa domowego.

Jechaliśmy w górę przez spalone od słońca zbocza ogołoczone z drzew i krzaków, jechaliśmy przez doliny pokryte pustynnym piaskiem i kaktusami, aż wreszcie wspięliśmy się na najwyższy grzbiet górski z zaspami śniegu wokół szczytów. Wiatr był tak kąśliwie mroźny, że musieliśmy zmniejszyć szybkość wozu, ażeby nie zamarznąć w naszych tropikalnych ubraniach. Tęskniliśmy za żarem dżungli. Długo jechaliśmy między skałami poprzez kamie-niste i trawiaste granie górskie, szukając

wzrokiem następnego odcinka drogi. Gdy osiągnęliśmy zachodnie zbocza łańcucha górskiego, gdzie Andy spadają pionowo na niziny, ścieżka nasza pobiegła wzdłuż tarasów wykutych wprost w skałę. Zewsząd otaczały nas pionowe ściany i urwiska skalne. Całe zaufanie pokładaliśmy w naszym przyjacielu Agurto, który siedział zgarbiony nad kierownicą i skręcał gwałtownie za każdym razem, kiedy dojeżdżaliśmy do krawędzi przepaści. Nagle owiał nas gwałtowny powiew wichru. Dotarliśmy do skrajnego grzbietu łańcucha Andów, gdzie góry spadają szeregiem uskoków do dżungli leżącej w bezdennej przepaści cztery tysiące metrów pod nami. Zostaliśmy jednak pozbawieni zapierającego dech w piersiach widoku na morze dżungli oglądanej ze szczytów górskich, gdyż gęste zwały chmur, parujące jak gdyby z diabelskiego kotła, stłoczyły się wokół rias. Niosło nas teraz niepowstrzymanie w dół. Pędziliśmy stromymi zboczami wzdłuż skał, szczytów i przełęcz, a powietrze stawało się coraz cieplejsze i wilgotniejsze i coraz bardziej nasycone sennym, cieplarnianym zapachem, który wznosił się z położonej na dole dżungli. Wówczas zaczął padać deszcz. Z początku mżył łagodnie, potem zmienił się w ulewę i walił w *jeep* jak w bęben. Wkrótce czekoladowa woda spływała dokoła strumieniami. Niemal spływaliśmy nią w dół, pozostawiając za sobą suchy płaskowyż górski i przenosząc się w inny świat, gdzie kamienie, pnie i gliniane zbocza były miękkie i soczyste od mchu i zielonych porostów.

Zjawiły się wokół nas pierwsze liście, stawały się one coraz większe i wkrótce zaczęły zwisać jak duże, zielone parasole ociekające wodą. Pojawiły się pierwsze drzewa dżungli, obwieszane ciężkimi festonami lian i porostów. Wszędzie słychać było plusk ociekającej wody. Kiedy zbocza stały się łagodniejsze, puszcza rozwinęła się naraz jak armia olbrzymich zielonych roślin, które pochłonęły małego *jeepa* sunącego po gliniastej, usłanej trawą drodze. Powietrze było ciepłe i lepkie, przesycone zapachem roślinności. Byliśmy w dżungli.

Kiedy zapadł zmierzch, dotarliśmy do gromady pierwszych chat krytych palmowymi liśćmi. Ociekając ciepłą wodą, umieściliśmy *jeepa* na noc pod dachem. Kłujące pasożyty, które nas oblażyły, utonęły następnego dnia w potokach deszczu. Wozem, pełnym bananów i innych południowych owoców, gnaliśmy dalej w dół i w dół przez puszcę, jakkolwiek wydawało się nam, że już od dawna osiągnęliśmy jej dno. Błoto stawało się coraz gorsze, ale nic nie mogło nas zatrzymać, a zbójcy jakoś trzymali się z dala. *Jeep* nie poddał się aż do chwili, kiedy drogę przegrodziła nam szeroka rzeka tocząca przez puszcę swoje błotniste wody. Utknęliśmy teraz, niezdolni ruszyć się ani w górę, ani w dół rzeki. Na otwierającej się porębie stała mała chatka, obok której kilku metysów rozpościerało skórę jaguara, podczas gdy psy i kury grzebały w stosie ziarn kakao suszących się w słońcu. Kiedy *jeep* podskakując podjechał tam, wszystko zawrzało życiem i ludzie mówiący po hiszpańsku poinformowali nas, że rzeka nazywa się Palenque, a miasto Quivedo leży na przeciwnym brzegu. Nie było żadnego mostu, a rzeka była bystra i głęboka, lecz tubylcy gotowi byli przeprowadzić nas i *jeepa* na tratwie. Cudactwo to leżało przy brzegu rzeki. Krzywe pnie grubości ramienia były powiązane lianami i bambusami tak, że formowały niezgrabną tratwę dwa razy dłuższą i szerszą od *jeepa*. Z deską pod każdym kołem samochodu i z duszą na ramieniu, wprowadziliśmy samochód na bale i chociaż niektóre z nich skryły się pod wodą, uniosły nas, *jeepa* i czterech półnagich ludzi o czekoladowej skórze, którzy odepchnęli tratwę z miejsca długimi tykami,

— Balsa? — zapytaliśmy z Hermanem jednym głosem.

— Balsa — skinął jeden z ludzi i pogardliwie kopnął pień. Prąd pochwycił nas, zakręcił

i pchnął w dół rzeki; przewoźnicy za pomocą tyk prowadzili tratwę ukośnie przez nurt na cichą wodę przy drugim brzegu. Było to nasze pierwsze spotkanie z drzewem balsa i pierwszy rejs na tratwie z balsy. Dobiliśmy bezpiecznie do brzegu i wjechaliśmy triumfalnie do Quivedo.

Dwa rzędy drewnianych, pociągniętych dziegiem domków, krytych dachami z liści palmowych, na których nieruchomo siedziały sępy, formowały rodzaj ulicy tworząc zresztą całą tę osadę.

Mieszkańcy porzucili, co kto miał w ręku, i ruszyli na nasze przywitanie; wydawało się, że czarni i brązowi, starzy i młodzi wychodzą ze wszystkich drzwi i okien. Rozgadany potok ludzki rzucił się na powitanie *jeepa*. Otoczyli samochód, byli już to pod nim, już to na nim i dokoła niego. Trzymaliśmy mocno w ręku nasze ruchomości, Agurto zaś rozpaczliwie manewrował kierownicą. Wtedy nawaliła opona i samochód siadł na przednich kołach.

Przybyliśmy do Quivedo i musieliśmy znieść cierpliwie powitalne uściski.

Plantacja Don Federico leżała tylko kawałek dalej, w dół rzeki. Kiedy samochód wiozący Hermana, Agurto i mnie wpadł, podskakując, na przydrożny placyk między drzewami mango<sup>8</sup>, stary i zasuszony mieszkaniec dżungli wybiegł na nasze spotkanie wraz ze swoim siostrzeńcem Angelo, małym chłopcem mieszkającym z nim razem w puszczy. Przekazaliśmy pozdrowienia od Don Gustayo i wkrótce nasz *jeep* stał samotnie na podwórku, podczas gdy 8 Drzewo mango — drzewo tropikalne, pochodzące z Azji południowo-wschodniej, o miękkim drewnie i jadalnych, soczystych owocach.

nowa tropikalna ulewa runęła na okolicę. W bungalowie Don Federico zastawiono ucztę —

prosiaki i kurczęta piekły się na rożnie, podczas gdy my, wyjaśniając cel naszego przybycia, siedzieliśmy wokół tacy pełnej południowych owoców. Bębniący w ziemię tropikalny deszcz siał nam przez siatki w oknach cie~ płą, słodką woń aromatycznych kwiatów i zapach gliny.

Don Federico był ożywiony jak młody chłopak. Tak, oczywiście, znał on tratwy z balsy jeszcze z czasów dzieciństwa. Pięćdziesiąt lat temu, kiedy mieszkał nad morzem, Indianie przyplądali do Guayaquil z Peru wzdłuż brzegu na dużych tratwach z balsy, przywożąc rybę na sprzedaż. Mieli nieraz parę ton suszonej ryby w bambusowych szałasach zbudowanych na środku tratwy, w których mieszkały często żony, dzieci, psy i kury. Trudno będzie znaleźć teraz, w czasie pory deszczowej, tak wielkie drzewa balsa, jakich używali oni na swe tratwy, gdyż powodzie i trzęsawiska uniemożliwiły — nawet konno — dostęp do plantacji balsy w puszczy. Don Federico obiecał jednak zrobić wszystko, co tylko będzie można. Możliwe, że pojedyncze duże drzewa rosną jeszcze dziko w lesie w pobliżu bungalowu, a my przecież nie potrzebujemy ich tak wiele.

Pod wieczór deszcz ustał na chwilę, tak że mogliśmy odbyć przechadzkę pod drzewami mango wokół bungalowu. Don Federico miał tu wszystkie możliwe gatunki dzikich storczyków, które zwisały wokół z gałęzi, posadzone w łupinach orzechów kokosowych jak w doniczkach. W przeciwieństwie do storczyków cieplarnianych rzadkie te kwiaty miały cudowny aromat. Herman schylił się, aby wsunąć nos do jednego z kielichów, gdy nagle coś długiego, cienkiego i błyszczącego jak węgorz wychyliło się z listowia. Szpicruta Angelo strzeliła niczym błyskawica i wijący się wąż upadł na ziemię. W sekundę później przygwożdżono go do ziemi rozwidlonym kijem, miażdżąc głowę gada.

— Jadowity — powiedział Angelo i obnażył dwa zakrzywione jadowite zęby węża, żeby wyjaśnić, o co mu chodzi.

Mieliśmy uczucie, że jadowite węże czyhają na nas zewsząd w listowiu. Wśliznęliśmy się do domu ze zdobyczą Angelo, zwisającą na kiju. Herman zasiadł do ściągania skóry z zielonego potwora, a Don Federico opowiadał nam fantastyczne historie o zmijach i boa~dusicielach, grubych jak pnie, gdy nagle zauważyliśmy na ścianie cienie dwóch olbrzymich skorpionów wielkości homarów. Nacierają na siebie wymachując kleszczami w walce na śmierć i życie. Odwłoki ich były uniesione w górę, a zatrute kolce na ogonie były gotowe do zadania przeciwnikowi śmiertelnego ciosu. Był to niesamowity widok i dopiero gdy poruszyliśmy oliwną lampą, zauważyliśmy, że to ona rzucała nadnaturalnie wielkie cienie zwykłych skorpionów wielkości palca, które walczyły na krawędzi komody.

— Zostawmy je w spokoju — powiedział Don Federico — jeden zabije drugiego, a zwycięzca będzie trzymał w szachu wszystkie karaluchy w domu. Uważajcie tylko, by wasza ochronna siatka nad łóżkiem przylegała do niego szczelnie, no i wytrząsajcie ubranie przed włożeniem, a będziecie bezpieczni. Ucięły mnie ona nie raz i jakoś żyję jeszcze — dodał

uśmiechając się.

Spałem dobrze i tylko gdy jaszczurki i nietoperze szeleściły i trzepotały zbyt blisko mojej poduszki, budziłem się z myślą o jadowitych stworach.

Następnego ranka wstaliśmy wcześnie, aby wybrać się na poszukiwanie drzew balsa.

— Lepiej przetrząsnąć ubranie — zauważył Agurto. W tej właśnie chwili skorpion wyskoczył z rękawa jęgo koszuli i skrył się, w szparze podłogi.

Wkrótce po wschodzie słońca Don Federico wysłał swoich ludzi konno we wszystkich kierunkach, by szukali drzew balsa rosnących w pobliżu ścieżek. Nasz patrol, składający się z Hermana, Don Federico i mnie, wkrótce odnalazł drogę do wielkiego drzewa rosnącego na polanie, o którym wiedział nasz gospodarz. Drzewo piętrzyło się wysoko nad otaczającym lasera i miało dobre trzy stopy średnicy. Polinezyjskim zwyczajem ochrzciliśmy je przed ścięciem, dając mu imię Ku, polinezyjskiego bożka wywodzącego się z Ameryki. Wtedy zamachnęliśmy się toporem i wbiliśmy go w pień drzewa, aż echo rozległo się po lesie. Lecz ścinanie soczystej balsy było równie - trudne, jak rąbanie korka tępą siekierą. Topór po prostu odskakiwał od drzewa i po kilku zamachach Herman musiał mnie złuzować. Siekiera przechodziła co chwila z rąk do rąk, drzazgi leciały, a pot spływał nam z czoła w upale dżungli.

W południe Ku stał jak kogut na jednej nodze, drżąc pod naszymi ciosami. Wkrótce drzewo zachwiało się i runęło ciężko w dół, łamiąc otaczające gałęzie i mniejsze drzewka.

Okrzesaliśmy pi?ń i zaczęliśmy obdzierać korę zygzakiem, na indiański sposób, j.;dy nagle Herman wypuścił siekierę i podskoczył w górę jak w polinezyjskim tańcu, z ręką przyciśniętą do uda. Z nogawki spodni wypadła mu błyszcząca mrówka wielkości skorpiona, z długim żądłem na odwłoku. Mrówka musiała mieć pancerz twardy jak skorupa homara, nie mogliśmy bowiem w żaden sposób

rozgnieść jej na ziemi obcasem.

— Kongo — wyjaśnił Don Federico współczująco. — To małe świństwo jest gorsze od skorpiona, lecz dla zdrowego człowieka nie jest niebezpieczne.

Herman był obolały i sztywny przez szereg dni, lecz nie przeszkodziło mu to galopować z nami konno przez ścieżki leśne w poszukiwaniu olbrzymich drzew balsa. Czasami słyhać było trzask, szum i łomot upadku gdzieś w głębi dziewiczej puszczy. Don Federico kiwał głową z zadowoleniem. Znaczyło to, że jego metysi znów zwalili drzewo na naszą tratwę. W ciągu tygodnia po Ku przybyli nam Kane, Karna, Ilo, Mauri, Ra, Rangi, Papa, Taranga, Kura, Kukara i Hiti — razem dwanaście potężnych pni balsy, ochrzczonych na cześć legendarnych postaci polinezyjskich, których imiona przyniósł kiedyś Tiki przez morza z Peru. Pnie błyszczące żywicą były wleczone przez puszcę, z początku konno, a później za pomocą traktora, który przyciągał je nad brzeg rzeki przed bungalow.

Pełne soku pnie nie były wcale tak lekkie jak korek. Każdy •Ł nich ważył co najmniej tonę i oczekiwaliśmy w napięciu, jak będą się one unosić na wodzie. Podłączaliśmy pnie jeden po drugim aż do urwiska brzegu, wiążąc końce bali lianami, żeby nie dopuścić do porwania ich przez prąd. Potem stoczyliśmy je kolejno / brzegu do rzeki. Pnie z pluskiem wpadały do wody, obracały «i<; wokół swej osi i wystawały połową grubości nad powierzchnię wody. Można było chodzić po nich bez obawy, że się przekręcą. Powiązaliśmy je mocnymi lianami zwisającymi z koron drzew, tworząc dwie tratwy tak, że jedna była na holu drugiej. Załadowaliśmy tedy na nie tyle bambusu i lian, ile nam było trzeba, i weszliśmy na pokład razem z dwoma ludźmi tajemniczej, mieszanej rasy, którzy nie mówili żadnym znanym nam językiem.

Kiedy przecięliśmy cumy przytrzymujące tratwę, pochwyciły nas wirujące masy wodne i pociągnęły ze znaczną szybkością w dół rzeki. Ostatnie, co widzieliśmy w deszczowej szarudze, gdy znikaliśmy za pierwszym zakrętem, byli nasi wspaniali przyjaciele, którzy stojąc na brzegu rzeki przed bungalowem machali nam na pożegnanie. Wpełziliśmy później pod mały daszek ze świeżych bananowych liści, pozostawiając problemy sterowania naszym dwóm brązowoskórym ekspertom. Ustawili się na przedzie i rufie tratwy, trzymając w ręku olbrzymie wiosła i z łatwością prowadzili tratwę w bystrym nurcie. Posuwaliśmy się w dół tańcząc zakosami pomiędzy zatopionymi drzewami i piaszczystymi mieliznami.

Puszcza stała wzdłuż brzegów jak nieprzenikniony mur po obu stronach rzeki, a papugi i inne jaskrawo upierzone ptaki wylatywały z gęstego listowia, kiedy przemykaliśmy obok. Raz czy dwa razy rzucił się do rzeki aligator, znikając w zamulonej wodzie. Wkrótce u j rzeliśmy,, znacznie ciekawszy stwór. Był to iguan, jaszczur wielki jak krokodyl, z wielką gardzielą i grzebieniastym grzbietem. Leżał i drzemał w błocie, tak jak gdyby spał tu od przedhistorycznych czasów; nie ruszył się nawet, gdy przepływaliśmy obok. Flisacy dali znak, żebyśmy nie strzelali. Niedługa potem ujrzeliśmy mniejszy okaz iguana, metrowej długości, umykający po gałęzi zwisającej nad tratwą. Jaszczur uciekał, póki nie poczuł się bezpieczny, a wtedy usiadł połyskując błękitno i zielono i wlepił w nas swe zimne, węzowe oczy. Później minęliśmy niewielką, mulistą wysepkę okrytą paprociami, na której znów zobaczyliśmy olbrzymiego jaszczura. Była to jakby sylweta grzebieniastego chińskiego smoka, wykuta w kamieniu. Potwór leżał nieruchomo z podniesioną głową i piersią, nie ruszając się. z miejsca, kiedy go mijaliśmy.

Płynąc w dół rzeki, poczuliśmy dym. Minęliśmy wiele chat krytych słomą, które stały na porębach przy rzece. My na tratwie byliśmy przedmiotem bacznej uwagi podejrzanie wyglądających osobników na łodzi, mieszkańców indiańsko-murzyńsko-hiszpańskiego pochodzenia. Ich łodzie — wielkie czółna z wydrążonych pni drzewnych — leżały wyciągnięte na brzeg.

Kiedy nadeszła pora obiadowa, zlurowaliśmy naszych przyjaciół przy sterowych wiosłach; wzięli się zaraz do pieczenia ryb i owoców drzewa chlebowego u małego ogniska roznieconego na palenisku z mokrej gliny. Także pieczone kurczęta, jaja i południowe owoce były częścią składową "menu" na tratwie.

Pnie balsy przenosiły nas z wielką szybkością przez dżunglę ku morzu. Cóż znaczył dla nas szum i pluskanie deszczu? Ini większa była ulewa, tym szybciej gnały nas prądy.

Kiedy nad rzeką zapadła ciemność, na brzegach rozpoczął się ogłuszający koncert.

Żaby i ropuchy, cykady i moskity, rechotały, cykały i brzęczały w wielogłosowym chórze. Od czasu do czasu roozlegał się w ciemności przeraźliwy głos jaguarów, to znowu coraz to Inne głosy ptaków wystraszonych przez nocnych drapieźnych rozbójników dżungli. Zdarzało się też, że przemykając wśród nocy widzieliśmy błyski ognia w tubylczej chacie i słyszeliśmy ujadanie i wycie psów. Lecz najczęściej siedzieliśmy osamotnieni pod gwiazdami słuchając orkiestry dżungli, dopóki deszcz i senność nie zagnały nas do szałasów z liści, gdzie zasypialiśmy z bronią przy boku.

Im dalej płynęliśmy w dół rzeki, tym gęściej trafiały się chaty i plantacje, a wkrótce całe wioski-zjawiały się na obu brzegach. Po rzece poruszały się czółna z pni drzewnych, popychane długimi tykami, a od czasu do czasu widać było tratwę z balsy ze stosami zielonych bananów.

Tam gdzie Palenque wpadała do Rio Guayas, stan wody był tak wysoki, że parowce rzeczne mogły utrzymywać żywy ruch pomiędzy Vincas a Guayaquil na wybrzeżu. Dla zaoszczędzenia cennego czasu, Herman i ja zamówiliśmy hamaki na parowcu i przez gęsto zaludnioną równinę ruszyliśmy do morskiego wybrzeża. Nasi brązowi przyjaciele mieli sami wracać tą samą drogą płynąc wraz z budulcem.

W Guayaquil rozstałem się z Hermanem. Pozostał on przy ujściu rzeki Guayas, żeby zatrzymać pnie balsy płynące z prądem. Miał je załadować na statek kobotazowy 9 idący do Peru i tam pokierować budową tratwy, robiąc wierną kopię tego starego indiańskiego statku. Ja wsiadłem na samolot pasażerski, udający się do Limy, stolicy Peru, aby znaleźć odpowiednie miejsce dla budowy tratwy.

§7

Samolot wzniósł się na wielką wysokość, lecąc przy brzegu Pacyfiku ponad pustynnymi górami Peru z jednej strony, a błyszczącym oceanem z drugiej. Stąd właśnie mieliśmy wyruszyć naszą tratwą. Ocean, oglądany z samolotu, wydawał się bezkresny. Woda i niebo stapiały się w jedno wzdłuż niknącego horyzontu daleko, daleko na zachodzie. Nie mogłem uwolnić się od myśli, że nawet za tym odległym horyzontem setki podobnych przestrzeni morskich łączy się w jedno opływając piątą część kuli ziemskiej, zanim pojawi się najbliższy ląd — Polinezja. Próbowałem myśleć o tym, co będzie za parę tygodni, kiedy na takiej drobince jak tratwa popłyniemy przez widniejący w dole błękit, ale

szybko odsunąłem tę myśl, gdyż wywoływała w żołądku nieprzyjemne łaskotanie, tak jak przed skokiem spadochronowym.

Po przybyciu do Limy pojechałem tramwajem do portu Callao, żeby rozejrzeć się i znaleźć miejsce odpowiednie do budowy tratwy. Ujrzałem od razu, że cały port zapchany był

statkami, dźwigami i magazynami. Był tam także urząd celny, kapitanat portu i wszystko, co zwykle do tego należy. Jeżeli nawet była tu jakaś otwarta plaża dalej wzdłuż wybrzeża, to roiła się ona z pewnością od plażujących. Ciekawi i wszędobylscy ludzie rozdrapaliby na kawałeczki naszą tratwę i wyposażenie, gdy tylko zdążylibyśmy się odwrócić. Callao jest dziś najważniejszym portem kraju zamieszkiwanego przez siedem milionów białych i kolorowych.

Tak... Dla dzisiejszych budowniczych tratw warunki w Peru zmieniły się jeszcze bardziej niż w Ekwadorze. Widziałem jedną tylko możliwość: dostać się za niebotyczne betonowe mury portu wojennego, gdzie uzbrojeni wartownicy stojący na straży w żelaznej bramie rzucali podejrzliwe spojrzenia na mnie i inne nieproszone osoby włóczące się wokół murów. Gdyby można się było tam dostać, byłibyśmy w bezpiecznej przystani.

Przypomniałem sobie, że w Waszyngtonie spotkałem się z peruwiańskim *attache* morskim i dostałem od niego polecające pismo. Z listem tym w ręce udałem się następnego dnia do Ministerstwa Marynarki i poprosiłem o audiencję u ministra, Manuela Nieto.

Przyjmował on przed południem w eleganckim empirowym salonie ministerstwa, lśniącym od luster i złocień. Po jakimś czasie wszedł minister, niski barczysty oficer w świetnym uniformie, wyniosły jak Napoleon, prosty i zwięzły w mowie i manierach. Gdy wymieniliśmy nawzajem swoje "dlaczego" i "dlatego", poprosiłem go o zezwolenie na zbudowanie naszej drewnianej tratwy w stoczni marynarki wojennej.

— Młody człowieku — rzekł minister, bębniąc niespokojnie palcami. — Wchodzi pan przez okno zamiast przez drzwi. Chętnie panu pomogę, lecz muszę mieć instrukcje od ministra spraw zagranicznych. Nie mogę ot tak sobie pozwolić cudzoziemcom na wejście do rejonu wojskowego i używanie stoczni. Proszę złożyć podanie na piśmie do Ministerstwa Spraw 9 Statek kabotażowy - statek pływający w żegludze przybrzeżnej.

Zagranicznych. Życzę powodzenia.

Pomyślałem ze strachem o dokumentach krążących drogą służbową i znikających bez śladu. Szczęśliwe były dobre, stare czasy Kon-Tiki, kiedy podania nie zatruwały ludziom życia.

Znacznie trudniej było dostać się do ministra spraw zagranicznych. Norwegia nie miała poselstwa w Peru i nasz uczynny konsul generalny Bahr nie mógł skierować mnie wyżej niż do jednego z radców ministerstwa. Obawiałem się, że nie posunę się dalej. Pismo doktora Cohen do prezydenta republiki mogło się teraz przydać. Prosiłem przez adiutanta o udzielenie mi audiencji u Jego Ekscelencji Don Jose Bustamante y Riyero, prezydenta Peru. Dzień czy dwa później poinformowano mnie, że mogę przybyć do pałacu o godzinie dwunastej.



Lima jest nowoczesnym miastem mającym pół miliona mieszkańców i leży rozpostarta na zielonej równinie u stóp pustynnych gór. Miasto ze swoimi ogrodami i plantacjami jest z architektonicznego punktu widzenia z pewnością jednym z najpiękniejszych na świecie; kawałek nowoczesnej Kalifornii lub Rudery usianej starymi hiszpańskimi budowlami. Pałac prezydenta leży w środku miasta i jest bacznie strzeżony przez uzbrojonych wartowników ubranych w barwne mundury. Audiencja jest w Peru poważną sprawą i niewielu ludzi widziało prezydenta na własne oczy poza ekranem kinowym. Żołnierze w błyszczących bandoletach poprowadzili mnie po schodach do końca długiego korytarza, gdzie zostałem zarejestrowany przez trzech cywilów. Potem przez olbrzymie dębowe drzwi wszedłem do sali zastawionej długim stołem i rzędami krzeseł. Tutaj przyjął mnie biało ubrany człowiek i poprosił o zajęcie miejsca, sam zaś zniknął bezszelestnie. Chwilę później ciężkie drzwi otwały się i wprowadzono mnie do znacznie strojniejszej sali, gdzie podeszła do mnie imponująca persona w nienagannym uniformie.

"Prezydent" — pomyślałem, wyprężając się przed nim. Lecz nie. Człowiek ten, w lamowanym złotym mundurze, zaofiarował mi staroświeckie krzesło z prostym oparciem i ulotnił się. Siedziałem na nim może minutę, kiedy otwały się inne drzwi i kłaniający się lokaj skierował mnie do nadzwyczaj eleganckiego, wielkiego pokoju, ze złoconymi meblami.

Osobnik zniknął równie szybko, jak się pojawił, a ja sam jak palec siedziałem teraz na staroświeckiej sofie, mając przed sobą widok na amfiladę pustych sal z pootwieranymi drzwiami.

Było tak cicho, że słyszałem, jak ktoś kaszle dyskretnie o kilka sal dalej. Wtem zbliżyły się miarowe kroki. Podskoczyłem i z wahaniem powitałem okazałego dżentelmena w uniformie.

Ale i on nie był prezydentem. Z tego, co mówił, rozumiałem, że prezydent przesyła mi pozdrowienia i będzie wolny za chwilę, po posiedzeniu rady ministrów. W dziesięć minut później cisza została przerwana nowymi miarowymi krokami i tym razem wszedł mężczyzna wystrojony w złote szamerunki i epolety. Podniosłem się szybko z sofy i złożyłem głęboki ukłon. Przybyły skłonił się jeszcze niżej i powiódł mnie przez szereg sal, a potem w górę po schodach wysłanych grubymi dywanami. Zostawił mnie w maleńkim pokoiku wskazując mi miękki fotel, Do pokoju wszedł drobny człowieczek w białym garniturze. Czekałem zrezygowany, myśląc nad tym, dokąd też zamierza mnie on znowu zaprowadzić. Lecz tym razem nie zaprowadzono mnie nigdzie; mały człowieczek przywitał mnie przyjaźnie. Był to prezydent Bustamante Rivero.

Prezydent mówił po angielsku tylko dwa razy lepiej niż ja po hiszpańsku, dlatego też kiedy przywitaliśmy się i gdy poprosił gestem, abym usiadł, nasz zasób słów został zużyty.

Znaki i gestykulacja mogą wyrazić wiele, lecz nie wystarczą do uzyskania zezwolenia na wstęp do wojennego portu w Peru. Jediną rzeczą, którą rozumiałem, było to, że prezydent nie bardzo wie, o co chodzi, a ponieważ on pojął to jeszcze jaśniej, zniknął na chwilę i wrócił z ministrem lotnictwa. Minister lotnictwa, generał Riveredo, energiczny, wysportowany mężczyzna w lotniczym uniformie ozdobionym na piersi oznaką pilota, mówił wytworną angielszczyzną z amerykańskim akcentem.

Przeprosiłem za nieporozumienie i powiedziałem, że chodzi mi o pozwolenie na wejście do portu wojennego, a nie na lotnisko. Generał uśmiechnął się i odrzekł, że występuje tu tylko jako tłumacz. Powoli moja teoria została wyjaśniona prezydentowi, który słuchał

uważnie i z pomocą generała Riyeredo zadawał mi związane pytania.

— Jeśli jest istotnie możliwe, że wyspy Oceanu Wielkiego zostały odkryte najpierw przez Peruwiańczyków, to wyprawa ta ma dla nas duże znaczenie. Gotowi jesteśmy wam pomóc.

Poprosiłem o wyznaczenie w porcie wojennym miejsca na budowę tratwy, o dostęp do warsztatów marynarki, o magazyn i ulgi przy przewozie wyposażenia, następnie o użyczenie nam suchego doku i kilku robotników stoczniowych do pomocy w budowie, wreszcie o statek dla odholowania nas od wybrzeża.

— O co on prosi? — zapytał prezydent żywo, tak że nawet ja go zrozumiałem.

— Drobnostki — odpowiedział Riveredo jednym słowem, a zadowolony prezydent zrobił gest aprobaty.

Zanim rozmowa się skończyła, Riveredo obiecał, że minister spraw zagranicznych otrzyma tego samego dnia odpowiednie polecenia od prezydenta i że minister marynarki, Nieto, będzie mógł udzielić nam wszelkiej możliwej pomocy.

— Niech was Bóg ma w swej opiece — rzekł generał śmiejąc się i kręcąc głową.

Wszedł adiutant i przekazał mnie oczekującemu wartownikowi.

Tego dnia dzienniki w Limie przyniosły wiadomość o norweskiej wyprawie na tratwie, która miała wystartować z Peru, pisząc jednocześnie, że pewna szwedzko-fińska ekspedycja naukowa zakończyła swoje badania wśród Indian w dżungli w dorzeczu Amazonki. Dwaj szwedzcy uczestnicy tej amazońskiej wyprawy popłynęli na *canoe* w górę rzeki do Peru i przybyli właśnie do Limy. Jednym z nich był Bengt Danielsson z uniwersytetu w Up-sali, który zamierzał teraz studiować życie Indian w górach Peru.

Wyciąłem w hotelu ten artykuł i zacząłem pisać do Hermana o miejscu budowy tratwy, kiedy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Do pokoju wszedł wysoki, opalony człowiek w tropikalnym ubraniu. Gdy zdjął swój biały hełm, wydawało się, że płomienna, ruda broda opaliła mu twarz i wypaliła włosy na głowie. Przybywał z puszczy, lecz widać było, że jego środowiskiem jest uniwersytecka czytelnia.

“Bengt Danielsson” — pomyślałem.

— Bengt Danielsson — powiedział przedstawiając się. “Słyszał widocznie coś o tratwie” — pomyślałem, prosząc go o zajęcie miejsca.

— Słyszałem właśnie o wyprawie tratwą — powiedział Szwed. “A teraz zamierza zjechać moją teorię, gdyż jest etnologiem”.

— A teraz chciałbym prosić, żebyście mnie przyjęli na tę waszą tratwę — rzekł

spokojnie Szwed. — Interesuje mnie teoria migracyjna.

Wiedziałem o tym człowieku tylko tyle, że był naukowcem i przyszedł prosto z głębi dżungli. Lecz jeśli samotny Szwed ma dosyć odwagi, aby podróżować z pięcioma Norwegami na jednej tratwie, to nie jest, widać, podszyty tchórzem.

Przy tym nawet imponująca broda nie kryła jego zrównoważonego usposobienia i dobrego humoru.

Bengt został szóstym członkiem wyprawy, gdyż miejsce było jeszcze wolne. Był on też jedynym znającym hiszpański język.

Kilka dni później, kiedy pasażerski samolot huczał lecąc wzdłuż wybrzeża na północ, znowu patrzyłem z respektem w dół, na niebieskie nie kończące się morze. Miałem wrażenie, że rozpląta się ono wisząc na firmamencie. Wkrótce będziemy w szóstkę tam w dole, gdzie wody jest tak pełno, jakby przelewała się ponad horyzontem. Mieliliśmy żyć w bezludnym świecie, sami, bez możliwości oddalenia się od siebie dalej niż na parę kroków. Na razie jednak nie potrzebowaliśmy się tłoczyć: Herman był w Ekwadorze, czekając na budulec; Knut Haugland i Torstein Raaby lądowali właśnie samolotem w New Yorku; Erik Hesselberg płynął

statkiem z Oslo do Panamy. Ja sam byłem w drodze do Waszyngtonu, a Bengt tkwił w hotelu w Limie, oczekując pozostałych członków wyprawy.

Moi towarzysze wyprawy nie znali się dotychczas i różnili się znacznie od siebie pod wieloma względami. Z tego powodu należało oczekiwać, że minie kilka tygodni na tratwie, zanim znudzimy się sobie. Żaden sztorm czy cyklon lub burza nie stanowiły dla nas większego niebezpieczeństwa niż ewentualność nieporozumień wśród sześciu mężczyzn przebywających razem przez szereg miesięcy na dryfującej tratwie. W takich warunkach dobry żart był nieraz tyleż wart, co pas ratunkowy.

W Waszyngtonie panowała jeszcze mroźna i śnieżna zima, był luty. Bjóisi rozwiązał

już problem radiostacji i zdołał zainteresować amerykańskich amatorów krótkofalowców nasłuchiwaniami raportów i meldunków z tratwy. Knut i Torstein całą parą przygotowywali aparaturę radiową, którą stanowiły częściowo specjalne nadajniki krótkofalowe, częściowo zaś nadajniki używane w akcjach sabotażowych podczas wojny.

Planując wyjazd, trzeba było myśleć o tysiącu wielkich i małych spraw. Pęczniały pliki papierów w naszym archiwum. Mnożyły się dokumenty wojskowe i cywilne, białe, żółte i niebieskie, w angielskim, hiszpańskim, francuskim i norweskim języku. W naszych praktycznych czasach nawet na podróż tratwą przemysł papierniczy musi zużyć co najmniej pół sosny. Prawa i przepisy wiązały wszędzie ręce, trzeba było rozplątywać węzeł za węzłem.

— Założę się, że nasza korespondencja waży z dziesięć kilo — rzekł pewnego dnia Knut z rozpaczą, pochylony nad swoją maszyną do pisania.

— Dwanaście — odparł sucho Torstein — już ją ważyłem.

Moja matka musiała mieć dobre wyczucie sytuacji, w której znaleźliśmy się w dramatycznych dniach przygotowań, kiedy pisała do mnie:

“Chciałabym tylko, żeby cała wasza szóstka znalazła się już nareszcie bezpiecznie na pokładzie tratwy”.

Wtedy przyszła nagle pilna depesza z Limy.' Herman został porwany przez odbitą falę przyboju, która wyrzuciła go na brzeg rannego, z wykręconym karkiem. Był w szpitalu w Limie.

Torstein Raaby wyleciał natychmiast samolotem razem z Gerd Vold, popularną w czasie wojny londyńską sekretarką naszych norweskich spadochroniarzy, która pomagała nam w Waszyngtonie. Znaleźli oni Hermana już w stanie rekonwalescencji. Opowiadał im, że musiał wisieć przez pół godziny z pętlą na szyi, gdy doktorzy nastawiali mu kręgi.

Rentgenowskie zdjęcie wykazało, że najwyższy kręg w kręgosłupie był pęknięty i zupełnie przekręcony. Niedźwiedzia kondycja fizyczna Hermana ocaliła mu życie i wkrótce wrócił do pracy w stoczni marynarki, gdzie zebrał pnie balsy i puścił w ruch robotę, sztywne i obolałe, pokryte czarnymi i zielonymi sińcami. Herman miał pozostać pod opieką lekarza przez wiele tygodni i nie wiadomo było, czy będzie mógł z nami wyruszyć. On sam ani przez chwilę w to nie wątpił.

Pewnego dnia Erik przybył samolotem z Panamy, a Knut i ja — z Waszyngtonu; byliśmy zatem wszyscy razem na miejscu startu, w Limie,

W stoczni wojennej leżały wielkie pnie balsy z puszczy Quive-do. Widok był zaiste wzruszający. Nasz budulec — okrągłe, świeżo zrąbane pniaki, żółty bambus, włókna i zielone liście bananów — leżał na kupie pomiędzy rzędami groźnych, szarych kontr-torpedowców i łodzi podwodnych. Sześciu jasnoskórych mieszkańców północy i dwóch brązowych marynarzy, w których żyłach płynęła krew Inków, wymachiwało toporami i machetami<sup>10</sup>, ciągnąc za liny i węzły. Elegancyjnie ubrani oficerowie marynarki wojennej, w granatowe, wyłożone uniformy, przechadzali się opodal i spoglądali ze zdumieniem na niepozornych cudzoziemców, którzy zjawili się tu między nimi w sercu portu wojennego, i na ich roślinny budulec.

Po raz pierwszy od setek lat budowano w zatoce Callao tratwę z drzewa balsa. Legenda mówi, że Indianie nauczyli się żeglować na takich tratwach dopiero za czasów zaginionego rodu Kon-Tiki, a historia nowożytna notuje, iż ludzie biali zabronili Indianom używania tych tratw; prymitywna i niezgrabna tratwa może bowiem kosztować życie ludzkie. Potomkowie Inków poszli z postępem czasu; mają teraz zaprasowane spodnie marynarskie i kołnierze.

Bambusy i balsa należą do prymitywnej przeszłości, nastały czasy pancerza i stali.

Nowoczesna stocznia wojenna okazała nam wspaniałą pomoc. Wraz z Bengtem jako tłumaczem i Hermanem jako kierownikiem

budowy dysponowaliśmy warsztatem ciesielskim i żaglomi-strzowskim, jak również połową magazynu dla składania wyposażenia oraz małym pontonowym pomostem, przy którym wodowaliśmy bale, kiedy zaczęło się wiązanie tratwy.

Dziewięć najgrubszych pni wybraliśmy dla zbudowania samego kadłuba tratwy.

Wycięliśmy w pniach głębokie rowki dla lin, które miały wiązać pnie i całą tratwę razern.

W całej konstrukcji nie użyliśmy ani jednego gwoździa, haka czy drutu. Dziewięć wielkich bali spuszczone najpierw luźno na wodę, tak aby mogły się one ułożyć w naturalnej pozycji względem siebie, zanim powiąże się je linami. Najdłuższy pień czterna-stometrowej długości umieściliśmy w środku. Wystawał on z obu stron. Coraz to krótsze bale układaliśmy symetrycznie po obu stronach tego pnia, tak że tratwa mierzyła dziewięć metrów z każdego boku, a dziób wystawał z przodu jak tępy pług. Tylony koniec tratwy był równo ucięty; wystawały tylko trzy środkowe pnie podtrzymujące krótki, gruby kłoc balsy, położony w poprzek dla umieszczenia na nim dulki wiosła sterowego. Gdy już dziewięć największych pni 10 Macheta- (machete, hiszp.) duży, ciężki nóż o szerokiej klindze, używany zwłaszcza w Ameryce Południowej i w Indiach zachodnich do wycinania trzciny cukrowej, oczyszczania i wycinania ścieżek i przejść w dżungli itp.

związanych było mocno razem konopnymi linami grubości pięć czwartych cala, położono na nie w poprzek w metrowych odstępach dziewięć cieńszych pni balsy. Trzon tratwy był już teraz gotów, mozolnie powiązany za pomocą trzystu kawałków lin różnej grubości i długości. Na bale położono pokład z rozszczepionych prętów bambusa, który przykryto matami z plecionych włókien bambusowych. Na środku tratwy, bliżej rufy, wznieśliśmy mały, przewiewny szałas z bambusowej trzciny, O ścianach z plecionki, kryty mocnymi jak skóra liśćmi bananów, wchodzącymi na siebie dachówkowato. Przed szałasem umieściliśmy dwa maszty, jeden obok drugiego. Były one wyciosane z twardego jak żelazo drzewa mangrowego<sup>11</sup> i pochylały się ku sobie, krzyżując swe powiązane wierzchołki. Wielki, czworokątny Żagiel rejowy był

wciągnięty na reję zrobioną z dwóch bambusowych żerdzi związanych razem dla zapewnienia podwójnej wytrzymałości.

Dziewięć wielkich pni, które miały przenieść nas przez ocean, zaostrzono na przednich końcach, by tratwa mogła łatwiej ciąć wodę, a na dziobie, nad linią wodną, zamocowano niską osłonę

chroniącą od bryzgów. W różnych miejscach, gdzie między balami były większe szczeliny, wsunęliśmy do wody pięć solidnych sosnowych desek, które rozmieściliśmy bez żadnego specjalnego porządku: miały one cal grubości, dwie stopy długości i wchodziły w wodę na półtora metra. Zamocowano je za pomocą klinów i lin. Służyły one jako małe, równoległe stępki<sup>12</sup> lub też wysuwane miecze<sup>13</sup>. Miecze tego rodzaju były używane na wszystkich tratwach z balsy w czasach Inków, przed epoką odkryć, i miały zapobiec poprzecznemu dryfowaniu płaskich tratw. Nie daliśmy żadnej poręczy czy relingul<sup>14</sup> dokoła tratwy, lecz położyliśmy tylko wokół krawędzi długie i cienkie pnie balsy, które służyły jako oparcie dla stóp po każdej stronie.

Cała konstrukcja była wierną kopią starych statków z Peru i Ekwadoru, z wyjątkiem falochronu na dziobie, który później okazał się zupełnie zbędny. Poza tym wolno nam było urządzić się na pokładzie, jak się nam żywnie podobało, byle nie miało to wpływu na konstrukcję statku. Wiedzieliśmy, że tratwa będzie przez jakiś czas naszym całym światem i że w konsekwencji tego nawet najmniejszy szczegół stawać się będzie dla nas z biegiem czasu coraz ważniejszy.

Dlatego urządziliśmy nasz mały pokład możliwie różnorodnie. Bambusowe listewki nie<sup>11</sup> Drzewo mangrowe - mocne, twarde drzewo tropikalne-o charakterystycznych korzeniach powietrznych,

rosnące głównie wzdłuż wybrzeży.

12 Stępka - belka z żelaza lub drzewa, stanowiąca podstawę konstrukcji szkieletu statku, 13 Miecz - ruchoma deska lub blacha stalowa, wysuwana w wodę przez odpowiednio obudowaną szparę w stępce łodzi żaglowej. Zwiększa opór statku przy bocznym spychaniu go przez wiatr.

pokrywały całej tratwy, lecz formowały podłogę między dziobem a szaląsem oraz wzdłuż jego prawej strony, gdzie szaląs stał otworem. Pokład na lewo od szaląsu tworzył jakby podwórko, zawalone skrzyniami i poprzywiązywanymi częściami wyposażenia. Położyliśmy tam wąską deskę, która miała służyć za chodnik. Z przodu na dziobie, jak również z tyłu za szaląsem, olbrzymie pnie balsy nie były w ogóle przykryte. Tak więc obchodząc dokoła szaląs, wchodziliśmy z żółtej bambusowej plecionki na szare pnie na rufie, a następnie znowu na stopy ładunku po drugiej stronie. Było to tylko parę kroków, lecz urozmaicenie "trasy"

rekompensowało nam ograniczoną swobodę poruszania się. Na szczycie masztu umieściliśmy małą drewnianą platformę obserwacyjną, nie tyle po to, by wypatrywać zbliżający się ląd, ile raczej żeby móc wdrapywać się tam w czasie podróży i spoglądać na morze z innej wysokości.

Kiedy tratwa zaczęła nabierać kształtu i leżała już między wojennymi okrętami, złotozielona od bambusów i listowia, przyszedł na inspekcję sam minister marynarki. Byliśmy niezmiernie dumni z naszego stateczku. Ale minister był przerażony tym, co zobaczył.

Wezwano mnie do ministerstwa marynarki dla podpisania dokumentu uwalniającego marynarke od wszelkiej odpowiedzialności za to, cośmy zbudowali, a kapitan portu kazał mi podpisać oświadczenie, że jeżeli wyjdę w morze z ludźmi i ładunkiem, uczynię to całkowicie na własną odpowiedzialność i ryzyko.

Także wielu zagranicznych ekspertów okrętowych i dyplomatów uzyskało później dostęp do stoczni — dla obejrzenia naszej tratwy. Nie dodawali oni nam otuchy, a w kilka dni później zostałem wezwany przez ambasadora jednego z wielkich mocarstw.

— Czy żyją jeszcze pańscy rodzice? — zapytał, a kiedy odpowiedziałem twierdząco, popatrzył mi w oczy i rzekł głuchym, złowieszczym głosem:

— Pański ojciec i matka zmartwią się bardzo, gdy dowiedzą się o pańskiej śmierci.

Jako prywatna osoba prosił mnie o zaniechanie podróży, póki jeszcze jest czas. Pewien admirał, który obejrzał tratwę, powiedział mu bowiem, że nie ujdziemy z życiem z tej wyprawy. Przede wszystkim wymiary tratwy były śmieszne. Z jednej strony jest ona tak mała, że musi wywrócić się na dużej fali, z drugiej — dość duża, żeby uniosły ją dwa duże grzebienie fal na raz, co przy obciążeniu ludźmi i ładunkiem musi doprowadzić kruche pnie balsy do załamania. Co gorsza, największy eksporter balsy w kraju wyjaśnił mu, że na porowatych balach możemy przebyć na wodzie zaledwie czwartą część potrzebnej odległości. Później bale nasiąkną wodą i zatoną pod nami.

Brzmiało to nieprzyjemnie, ponieważ jednak nie ustępowaliśmy, подарowano nam biblię jako rzecz przydatną w podróży. W każdym razie eksperci, którzy widzieli tratwę, nie 14 R e l i n g - ochronna

poręcz biegnąca nad krawędzią pokładu wzdłuż burt statku.

dodawali Dam otuchy. Sztormy i huragany mogą jak nic zmyć nas za burtę i rozbić niski, otwarty statek bezwolnie dryfujący po oceanie we wszystkich kierunkach, pędzony wiatrem i falą. Nawet najzwyczajsze fale będą nas stale opłukiwać słoną wodą, która zeżre nam skórę na nogach i zniszczy wszystko na pokładzie. Kiedy wstawiliśmy razem wszystkie uwagi znawców, okazało się, że nie ma ani jednego kawałka sznura, węzła czy kawałka drzewa, który by nie spowodował naszej zguby na morzu. Zakładano się o wysokie sumy, ile dni wytrzyma nasza tratwa, a pewien lekkomyślny *attache* morski obiecał fundować członkom załogi *whisky* do końca życia, jeśli dojadą żywi do wysp Oceanii.

Najgorsze ze wszystkiego było, kiedy przyszedł do portu norweski statek i zaprosiliśmy kapitana oraz kilku z jego najbardziej doświadczonych wilków morskich do stoczni. Byliśmy ciekawi ich praktycznych uwag. Ku naszemu rozczarowaniu wszyscy marynarze byli zgodni co do tego, że naszemu tępodziobemu, niezgrabnemu statkowi żagiel nic nie pomoże. Kapitan twierdził nawet, że jeśli utrzymamy się na wodzie, tratwa będzie dryfować przez ocean rok czy dwa z Prądem Humboldta. Bosman patrzył na liny wiążące tratwę i kręcił głową. Nie ma się co martwić, gdyż najdalej za dwa tygodnie liny trzasną. Wielkie pnie będą się przecieź na fali stale poruszać i przetrą wiązania. Należało użyć lin stalowych lub łańcuchów, inaczej nie warto w ogóle zaczynać.

Były to argumenty trudne do odparcia. Jeżeli chociaż jeden z nich był słuszny, nie mieliśmy żadnych szans. Toteż wielokrotnie pytałem sam siebie, czy zdajemy sobie sprawę, co właściwie robimy? Nie mogłem przeciwstawić nic tym ostrzeżeniom i zarzutom, gdyż nie byłem marynarzem. Byłem jednak pewien, że przedhistoryczna cywilizacja rozprzestrzeniła się z Peru na wyspy Oceanii w tym czasie, kiedy tratwy podobne do naszych były jedynymi statkami na tym wybrzeżu. Wyciągnąłem z tego ogólny wniosek, że jeżeli balsa nie tonęła i liny wytrzymały w czasach Kon-Tiki, w roku pięćsetnym naszej ery, to wytrzyma również i teraz, zwłaszcza, że nasza tratwa była ślepym naśladownictwem dawnych. Bengt i Herman przestudiowali dokładnie moją teorię i podczas gdy eksperci lamentowali, nasi chłopcy nie przejmowali się i bawili wesoło w Limie. Pewnego wieczoru Torstein zapytał mnie tylko z ciekawością, czy jestem pewny, że prądy morskie płyną we właściwym kierunku. Byliśmy w kinie i widzieliśmy Hawajki na ślicznej wyspie Pacyfiku, oraz Dorothy Laniour w spódnicy z trawy tańczącą pomiędzy palmami.

— Musimy się tam dostać — powiedział Torstein — marne twoje widoki, jeżeli prądy nie płyną tak, jak mówisz!

Kiedy zbliżył się dzień odjazdu, poszliśmy do biura paszportowego, żeby otrzymać pozwolenie na opuszczenie kraju. Bengt stał w kolejce pierwszy, jako tłumacz.

— Jak się pan nazywa? — zapytał mały urzędnik-służbista, patrząc podejrzliwie znad okularów na olbrzymią brodę Benfta.

— Bengt Emmerik Danielsson — odpowiedział z szacunkiem Bengt.

Urzędnik wkręcił długi formularz w maszynę do pisania.

— Jakim statkiem przybył pan do Peru?

— Widzi pan — tłumaczył Bengt pochylając się nad zasuszonym człowiekiem — nie przybyłem do Peru statkiem, lecz na *canoe*.

Urzędnik spojrział na Bengta z tępym zdumieniem i wystukał *canoe* w odpowiedniej rubryce formularza.

— A jakim statkiem opuszcza pan Peru?

— Otóż, widzi pan — powiedział znowu Bengt uprzejmie — nie opuszczam Peru statkiem, lecz na tratwie.

— Czyżby?! — zawołał ze zdenerwowaniem urzędnik, wydzierając formularz z maszyny. — Może pan będzie łaskaw odpowiadać przyzwoicie na moje pytania?

Na parę dni przed odjazdem załadowaliśmy prowiant, wodę i cały ekwipunek na pokład. Wzięliśmy żywność dla sześciu ludzi na cztery miesiące w małych, mocnych, tekturowych pudełkach, zawierających żołnierskie racje. Herman wpadł na pomysł pokrycia każdego pudła wrzącym asfaltem. Następnie posypaliśmy kartony piaskiem, żeby uchronić je od zlepiania, i ułożyliśmy ciasno pod bambusowym pokładem, gdzie wypełniły miejsce między dziewięciu poprzecznymi belkami podtrzymującymi pokład.

Przy kryształowym źródle górskim napełniliśmy wodą pięćdziesiąt sześć małych baniek. Mieliśmy więc tysiąc sto litrów wody do picia. Bańki umocowaliśmy sznurami również między pokładnikami, żeby fale mogły je chłodzić. Na bambusowym pokładzie zamocowaliśmy resztę wyposażenia i umieściliśmy wielkie kosze pełne owoców i kokosów.

Wewnątrz szałasów Knut i Torstein otrzymali jeden z kątów dla zmontowania aparatury radiowej, a pod matami, pomiędzy poprzecznymi pokładnikami, zamocowaliśmy osiem drewnianych skrzyń. Dwie zostały zajęte przez naukowe przyrządy i filmy, sześć pozostałych podzieliliśmy między sobą, zakładając, że każdy może zabrać tyle prywatnego bagażu, ile zmieści się w jego skrzyni. Kiedy Erik wsadził kilka rulonów papieru rysunkowego i gitarę, skrzynia jego była tak pełna, że skarpetki musiał schować w skrzyni Torsteina. Skrzynię Bengta przytaszczyło czterech marynarzy. Nie miał żadnych rzeczy prócz książek. Udało mu się wcisnąć do skrzyni siedemdziesiąt trzy dzieła etnograficzne i socjologiczne. Położyliśmy na wierzch skrzyń plecione z włókien maty oraz nasze słomiane materace i byliśmy gotowi do startu.

Tratwa została wyholowana z portu wojennego. Wiosłowaliśmy na niej przez chwilę po porcie, żeby skontrolować, czy ładunek został równo rozłożony. Później przyholowaliśmy ją do *Callao Yachtclub*, gdzie zaproszeni goście i inni zainteresowani mogli być obecni przy chrzcie tratwy na dzień przed odjazdem.

W dniu 27 kwietnia podniesiono norweską flagę, a z rei powiały flagi państw, które okazały wyprawie rzeczową pomoc.



Nabrzeże było aż czarne od ludzi — wszyscy chcieli zobaczyć chrzest dziwnej tratwy.

Kolor skóry i rysy wielu widzów zdradzały, że ich dalecy przodkowie żeglowali wzdłuż wybrzeża na tratwach z balsy. Byli tu również potomkowie dawnych Hiszpanów, z przedstawicielami rządu i marynarki na czele, a ponadto ambasadorzy i posłowie Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Chin, Argentyny i Kuby, były gubernator brytyjskich kolonii na Pacyfiku, posłowie — szwedzki i belgijski oraz nasi przyjaciele z nielicznej norweskiej kolonii, z konsulem generalnym Bahrem na czele. Rojło się od dziennikarzy, terkotały aparaty filmowe, brakowało tylko dętej orkiestry i wielkiego bębna. Co do jednej rzeczy nie mieliśmy wątpliwości: jeżeli tratwa rozleci się w kawałki po wyjściu z zatoki, gotowi byliśmy raczej wiosłować do Polinezji każdy na swoim pniu, niż wracać do portu.

Gerd Vold, sekretarka i łączniczka wyprawy na stałym lądzie, miała chrzcić tratwę mlekiem kokosowym; częściowo po to, żeby zachować styl epoki kamiennej, częściowo zaś dlatego, że wskutek nieporozumienia szampan zapakowano na dno skrzyni Torsteina. Kiedy już po angielsku i hiszpańsku obwieszczono naszym przyjaciołom, że tratwie nadaje się nazwę ku czci wielkiego poprzednika Inków — króla-słońca, który uciekł z Peru na zachód przez morza i zjawił się w Polinezji tysiąc pięćset lat temu — Gerd Vold ochrzciła statek imieniem

“Kon-Tiki”. Tak silnie przy tym uderzyła nadpękniętym orzechem kokosowym o dziobowy pień tratwy, że mleko i kawałki mięszu trysnęły na głowy najbliższych widzów przypatrujących się ze skupieniem ceremonii.

Podniesiono tedy bambusową reję i rozwinięto żagiel z brodatą głową Kon-Tiki, namalowaną pośrodku żagla czerwoną farbą przez artystę malarza, Erika. Była to wierna kopia głowy króla-słońca, wyrzeźbionej w czerwonym kamieniu w górach, w ruinach miasta Tiahuanaco.

— Ah! To *senor* Danielsson! — zawołał brygadzysta robotników stocznioowych, widząc na żaglu brodatą twarz.

Dotychczas nazywał on Bengta “*Senor* Kon-Tiki” — od czasu kiedyśmy mu na kawałku papieru pokazali brodatą twarz Kon-Tiki. Teraz pojął wreszcie, że prawdziwe nazwisko Bengta brzmiało — Danielsson.

Przed odjazdem odbyliśmy pożegnalną audiencję u prezydenta. Później wybraliśmy się na wycieczkę w góry, żeby napatrzyć się do syta na skały i kamienie, zanim pożeglujemy po nieskończonym oceanie. W czasie budowy tratwy na wybrzeżu mieszkaliśmy w pensjonacie, w palmowym gaju za miastem, i jeździliśmy codziennie do Callao samochodem Ministerstwa Lotnictwa, prowadzonym przez kierowcę, którego Gerd “pożyczyła” dla wyprawy.

Poprosiliśmy teraz kierowcę, żeby nas zawiózł prosto w góry tak daleko, by można było wrócić tego samego dnia. Jechaliś-my po pustynnych drogach, wzdłuż starych nawadniających ka-nałów z czasów Inków, aż dojechaliśmy do zawrotnej wysokości czterech tysięcy metrów ponad masztem tratwy. Tutaj formalnie chłoniliśmy kamienie, skały, szczyty górskie i zieloną trawę rozścielającą się przed nami. Próbowaliśmy nasycić się na zapas widokiem potężnego masywu górskiego, leżącego na wprost nas. Wmawialiśmy w siebie, że kamienie i suchy ład znudziły się nam już tak dalece, iż

pragniemy opuścić ziemię i ruszyć na morze.

#### IV. PEZEEZ OCEAN SPOKOJNY (1)

Dramatyczny start \* Holują nas w morze \* Wiatr wzmagą się \* W walce z falami \*

Życie w Prądzie Humboldta \* Samolot nie znajduje nas \* Pnie nasiakają wodą \* Drewno w walce z linami \* Latające ryby na obiad \* Niezwykły towarzysz snu \* Ryba-wąż popełnia omyłkę \* Oczy w morzu \* Historia o duchu morskim \* Spotykamy największą rybę świata \*

Polowanie na żółwie morskie #

W dniu kiedy Kon-Tiki miał być wyholowany w morze, w porcie Callao panował duży ruch. Minister marynarki, Nieto, rozkazał holownikowi "Guardian Rio" wyholować nas z zatoki poza zasięg żeglugi przybrzeżnej aż tam, gdzie w dawnych czasach Indianie na tratwach zwykli łowić rybę. Czerwonymi i czarnymi nagłówkami dzienniki zawiadomiły o naszym odjeździe i w dniu 28 kwietnia już od wczesnego rana zbierały się na nabrzeżu tłumy ludzi.

W ostatniej chwili przed odjazdem cała nasza sześćoosobowa załoga miała wiele drobnych spraw do załatwienia, dlatego też schodząc do przystani zastałem tylko Hermana trzymającego wartę na tratwie. Umyślnie zatrzymałem mój samochód daleko od molo, żeby mieć okazję do dłuższej przechadzki i rozprostowania nóg; kto wie, kiedy mi się następnym razem trafi taka gratka. W końcu jednak wskoczyłem na pokład tratwy, na której panował

nieślýchany chaos. Pęki bananów, kosze z owocami i worki wrzucone na pokład w ostatnim momencie piętrzyły się wszędzie. Trzeba je będzie zapakować i ułożyć, jak tylko zdołamy nieco uporządkować sprzęt. W środku tego bałaganu siedział zrezygnowany Herman, trzymając na kolanach klatkę z zieloną papugą podarowaną nam na pożegnanie przez jakąś przyjazną duszę w Limie.

— Popilnuj przez chwilę papugi — rzekł Herman. — Muszę wyskoczyć na ostatni kufel piwa. Holownik nie przyjdzie wcześniej niż za parę godzin.

Zaledwie Herman zdążył zniknąć w tłumie na przystani, gdy Judzie zaczęli krzyczeć pokazując palcami w kierunku portu. Zza falochronu ukazał się holownik "Guardian Rio" idący pełną parą. Statek rzucił kotwicę przed lasem kołyszących się masztów jachtowych, blokujących jego drogę do Kon-Tiki, i wysłał dużą motorówkę dla przyholowania tratwy między żaglówkami. Była ona pełna marynarzy, oficerów i operatorów filmowych; podczas gdy komendy krzyżowały się w powietrzu, a filmowe aparaty terkotały, przymocowano do dziobu tratwy linę holowniczą.

— *¡no momento!* — zawołałem zdesperowany z miejsca, gdzie siedziałem z papugą. —

Jeszcze za wcześnie, musimy czekać na innych *los expedicionarios* — wyjaśniałem wskazując w kierunku miasta.

Lecz nikt mnie nie rozumiał. Oficerowie uśmiechali się tylko uprzejmie i hol został

wzorowo zamocowany na tratwie. Zluzowałem linę holowniczą i wyrzuciłem ją za burtę, tłumacząc i

gestykulując na wszystkie sposoby. Papuga wykorzystała całe to zamieszanie; wytknęła dziób z klatki, wyciągnęła haczyk i kiedy wróciłem, dreptała wesoło po pokładzie.

Próbowałem ją złapać, lecz zakłęta brzydko po hiszpańsku i skoczyła dalej za pękł bananów. Z

jednym okiem zwróconym na marynarzy, którzy próbowali znowu zarzucić hol na dziób, rozpocząłem dziką pogoń za uciekinierem. Papuga uciekła z krzykiem do szalasu, gdzie zapę-

dziłem ją w róg i złapałem za nogę, podczas gdy próbowała prze-frunąć nade mną. Kiedy wróciłem na pokład i wepchnąłem moją trzepoczącą się zdobycz do klatki, marynarze na ładzie rzucili właśnie cumy i tańczyliśmy teraz bezradnie na długiej, martwej fali bijącej o molo. W

rozpaczy chwyciłem krótkie wiosło, próbując odparować gwałtowny cios grożący nam przy zderzeniu tratwy z drewnianymi palami nabrzeża. Wtedy motorówka ruszyła, Kon-Tiki drgnął

i rozpoczął swoją długą podróż. [Moim jedynym towarzyszem była obrażona, paplająca po hiszpańsku papuga, ponuro łypiąca okiem w klatce. Ludzie na molo wiwatowali i powiewali nam na pożegnanie, a czarniawi operatorzy filmowi na holowniku omal nie wypadli za burtę w zapale uwiecznienia dramatycznego startu podróży. Stałem na tratwie zrozpaczony i samotny, wyglądając moich utraconych towarzyszy broni, lecz żaden z nich się nie zjawiał.

Podholowano więc nas do "Guardian Rio", który oczekiwał pod parą, przygotowany do podniesienia kotwicy i wyjścia w morze. W mgnieniu oka skoczyłem na sztorm-trap 15 i znalazłem się na holowniku, gdzie zrobiłem tyle szumu, że odłożono start i wysłano znowu szalupę na molo. Nie było jej dobrą chwilę, a kiedy powróciła, pełno było w niej uroczych *senoritas*, lecz ani jednego z brakujących członków załogi Kon-Tiki. Wszystko to było bardzo piękne, lecz nie rozwiązywało zagadnienia, i kiedy na tratwie rój no było od wdzięcznych *senoritas*, szalupa wyszła ponownie na poszukiwanie *los expedi~ cionarios noruegos*.

Tymczasem Erik i Bengt przywlekli się spokojnie na nabrzeże z rękoma pełnymi gazet i pakuneczków. Spotkali po drodze tłum ludzi wracających z molo do domu i w końcu natknęli się na kordon policji; uprzejmy policjant wyjaśnił im, że nie ma na co więcej patrzeć. Bengt tłumaczył posterunkowemu, gestykulując elegancko cygarem, że nie przyszli się gapić, lecz należą do załogi tratwy.

— Nic z tego — powiedział niewzruszenie posterunkowy — Kon-Tiki wyszedł godzinę temu.

— Niemożliwe — rzekł Erik pokazując pakunek — tu jest latarnia!

— A to jest nawigator — oznajmił Bengt — ja zaś jestem stewardem.

Przecisnęli się jakoś, lecz tratwa już odeszła. Zdesperowani dreptali tam i z powrotem wzdłuż molo, gdzie spotkali resztę uczestników, również na próżno szukających zaginionego statku. Wkrótce zobaczyli nadpływającą szalupę i cała szóstka znalazła się razem. Woda pieniała się wokół tratwy holowanej przez "Guardian Rio" na pełne morze.

Rozpoczęliśmy podróż późno po południu, a holownik miał nam towarzyszyć aż do następnego ranka,

do momentu wyjścia poza strefę żeglugi przybrzeżnej. Zaraz za falochronem spotkała nas dość duża przeciwna fala i wszystkie towarzyszące nam małe łodzie, jedna za drugą, wróciły do portu. Tylko kilka wielkich jachtów szło za nami aż do wyjścia z zatoki, żeby zobaczyć, jak nam się powiedzie dalej.

Kon-Tiki szedł za holownikiem jak uparty kozioł na uwięzi, nurzając się dziobem w fale, tak że woda pieniała się na pokładzie. Nie wyglądało to obiecująco, gdyż w porównaniu z tym, czego mogliśmy oczekiwać, morze było spokojne. Pośrodku zatoki hol pękł i nasz koniec liny zanurzył się z wolna w wodzie, podczas gdy holownik szedł dalej. Rzuciliśmy się do krawędzi tratwy, - żeby wyłowić linę, a jachty poszły naprzód, by zatrzymać holownik. Parzące meduzy 16, wielkie jak miednice, pływały na falach obok tratwy, pokrywając wszystkie liny piekącą, lepką galaretą. Kiedy tratwa podniosła się w górę, przewiesiliśmy się przez jej kra-!

wędź zagarniając wodę rękoma, aby złapać śliską linę. Za chwilę tratwa zjechała w dół, a słone fale i olbrzymie parzące meduzy przelewały się nam przez plecy. Plując i klnąc, wyciągaliśmy galaretowatą masę z włosów, lecz kiedy holownik wrócił do tratwy, koniec holu był wydobyty i gotowy do splecenia. Gdy już mieliśmy rzucić go na holownik, zdryfowało nas nagle pod zwisającą nad nami rufę "Guardian Rio" i omal nie zostaliśmy zmiażdżeni o żelazne burty statku. Rzuciliśmy wszystko, aby odepchnąć się za pomocą wiosel i tyk bambusowych. Nie daliśmy jednak rady, gdyż póki tratwa była w dolinie fali, nie mogliśmy dosięgnąć żerdziami żelaznego pułapu nad nami, a gdy woda podnosiła nas, groziło nam zmiażdżenie przez opuszczającą się rufę statku. Nad nami na holowniku ludzie biegali i krzyczeli; ostatecznie zapuszczono maszynę i śruba okrętowa zaczęła obracać się tuż obok nas, odsuwając statek. W

15 Sztorm - trap - drabinka sznurowa wisząca na burcie.

16 Parzące meduzy - galaretowate jamochłony morskie żyjące pojedynczo lub koloniami. Z kształtu przypominają dzwon. Posiadają czułki zaopatrzone w nitkowate narządy do obrony i atakowania; podrażnione czułki wydzielają piekącą ciecz.

ten sposób w ostatniej sekundzie uratowaliśmy się, tylko dziób tratwy otrzymał kilka silnych uderzeń i wykrzywił się nieco, lecz pomału wyprostował się znowu.

— Kiedy początek jest taki pechowy, koniec musi być dobry — powiedział Herman. —

Oby tylko skończyli to holowanie, zanim roztrzęsą nam tratwę na kawałki.

Holowanie trwało przez całą noc, na małej szybkości, z kilku niewielkimi przeszkodami. Jachty pożegnały nas już dawno, a ostatnie światła wybrzeża znikły za rufą.

Tylko kilka świateł okrętowych minęło nas w ciemności. Podzieliliśmy noc na wachty, żeby dopilnować holu, i każdy z nas zdążył się trochę zdrzemnąć.

Następnego ranka, kiedy zaczęło dnieć, gruba mgła zakrywała wybrzeże Peru, my zaś mieliśmy nad sobą wspaniałe, jasne niebo ciągnące się na zachód. Długa, spokojna martwa fala z małymi, pienistymi grzebieniami przebiegała po morzu. Bale, ubrania i wszystko, co mieliśmy na tratwie, było

na wskroś przesiąknięte rosą. Było chłodno; zielona woda wokół nas wydawała się zadziwiająco zimna jak na dwunasty stopień szerokości południowej. Był to Prąd Humboldta<sup>17</sup>, który niósł masy zimnej wody z Antarktydy i omywał wybrzeża Peru, a następnie skręcał na zachód w poprzek oceanu, nieco poniżej równika. Tutaj w-łaśnie Pizarro, Zarate<sup>18</sup> i inni ówczesni odkrywcy hiszpańscy po raz pierwszy natknęli się na wielkie żaglowe tratwy wychodzące na 50—60 mil morskich od brzegu dla łowienia tuńczyków i makreli w samym Prądzie Humboldta. Przez cały dzień wiała tu lądowa bryza, lecz wieczorem nadchodziła morka<sup>19</sup>, która ułatwiała im powrót.

Holownik leżał obok nas, zatroszczyliśmy się więc o utrzymanie tratwy w bezpiecznej odległości od dziobu i spuściliśmy na wodę naszą małą nadmuchiwaną gumową *dinghy*<sup>20</sup>.

Tańczyła ona na falach jak futbolowa piłka, niosąc Erika, Bengta i mnie do trapu holownika.

Wdrapaliśmy się na pokład i przy pomocy Bengta jako tłumacza ustaliliśmy na naszej mapie dokładną pozycję. Znajdowaliśmy się w odległości 50 mil morskich na północny zachód od Callao i mieliśmy wywieszać światła pozycyjne przez kilka pierwszych nocy, żeby nie zatopiły nas przechodzące statki kabotażowe. Dalej w morzu nie mieliśmy spotkać ani jednego statku, gdyż trasy żeglugowe nie przecinały tych stron Oceanu Spokojnego.

Pożegnaliśmy uroczyście wszystkich na pokładzie i odprowadzani wieloma 17 Prąd Humboldta - zimny prąd Oceanu Spokojnego, posuwający się z wód Antarktydy ku równikowi wzdłuż wybrzeża Ameryki Południowej. Zwany także Prądem Peruwiańskim. Aleksander Humboldt (1769-1859), niemiecki przyrodnik i geograf, badacz geografii klimatycznej i morfologii roślin. W 1829 r. został członkiem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

<sup>18</sup> Pizarro i Zarate - hiszpańscy konkwistadorzy (zdobywcy) i podróżnicy. W okresie od 1524 do 1532 r. Pizarro dokonał podboju Ekwadoru i Peru - państwa Inków, mordując ostatniego ich króla, Ata-hualpę.

<sup>19</sup> Bryza, morka - krótkotrwałe wiatry wywoływane zmianą warunków termicznych oraz wstępującymi i zstępującymi ruchami powietrza po wschodzie i zachodzie słońca.

<sup>20</sup> D i n g h y - mała otwarta łódka. Podczas ostatniej wojny światowej gumowe dinghy, wypełnione powietrzem, życzliwymi spojrzzeniami ześliznęliśmy się do tańczącej na falach gumowej *dinghy*, która zaniósła nas z powrotem do Kon-Tiki. Wtedy rzuciliśmy hol i tratwa pozostała sama.

Trzydziestu pięciu ludzi na pokładzie holownika stało przy relin-gu, powiewając nam na pożegnanie tak długo, dopóki nie straciliśmy ich z oczu. Siedzieliśmy na skrzyniach na pokładzie, odprowadzając wzrokiem holownik i wpatrując się w niego, póki nie zniknął

zupełnie. Dopiero kiedy kolumna czarnego dymu rozwiąta się i także ukryła za horyzontem, otrząsnęliśmy się i spojrzeliśmy na siebie.

— Żegnajcie — rzekł Torstein. — No, a teraz trzeba zapuścić maszynę, chłopcy!

Roześmieliśmy się i sprawdziliśmy kierunek wiatru. Wiała lekka bryza odchodząca od południa na

południowy wschód. Podnieśliśmy bambusową reję z wielkim czworokątnym żaglem. Zwiślał luźno w dół, nadając twarzy Kon-Tiki zmarszczony, niezadowolony wygląd.

— Staremu nie podoba się — rzekł Erik. — Za jego czasów wiały silniejsze wiatry.

— Wygląda na to, że się cofamy — zauważył Herman i rzucił kawałek balsy na wodę koło dziobu.

Sekunda, dwie, trzy... trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden...

Drewienko kołysało się spokojnie obok tratwy, nie dochodząc jeszcze nawet do połowy jej długości.

— Będziemy chyba szli razem przez morze — zauważył optymistycznie Torstein.

Mam nadzieję, że wieczorna morka nie zepchnie nas z powrotem — zauważył Bengt.

— Pożegnanie w Callao było bardzo miłe, lecz z przyjemnością uniknąłbym powitania!

Nareszcie kawałeczek drewna dosięgnął rufy. Krzyknęliśmy: "Hura!" i zaczęliśmy układać i mocować rzeczy rzucone w pośpiechu na pokład w ostatniej chwili. Bengt umieścił

prymus na dnie pustej skrzyni: wkrótce mogliśmy się już raczyć gorącym kakao z biszkoptami i otworzyć jeden ze świeżych orzechów kokosowych. Banany nie były jeszcze zupełnie dojrzałe.

— Swoją drogą, dobrze się nam tu wiedzie — bąknął Erik. Krążył po tratwie z papugą na ramieniu, odziany w szerokie futrzane spodnie i wielki indiański kapelusz.

— Jedna tylko rzecz mi się tu nie podoba — dodał po chwili — a mianowicie wszystkie te nieznanne przeciwne prądy, które mogą nas znieść na skały przybrzeżne, jeżeli będziemy tak stali w miejscu.

Rozważaliśmy możliwość wiosłowania, lecz na razie zgodziliśmy się poczekać na wiatr.

I wiatr przyszedł. Stopniowo zaczęło dmuchać od południowego zachodu. Wkrótce stosowane były przede wszystkim w ratownictwie morskim.

żagiel wypełnił się i głowa Kon-Tiki promieniała ochotą do walki. Tratwa zaczęła się poruszać.

Wołaliśmy: "Hej, na zachód!" — i ciągnęliśmy szkoty i inne liny. Wiosło sterowe zostało osadzone na rufie i opuszczone w wodę; przeszliśmy na morskie wachty. Rzucaliśmy papierowe kulki i drzazgi do wody koło dziobu i czekaliśmy na rufie z zegarkami.

— Raz, dwa, trzy... osiemnaście, dziewiętnaście, już!

Papierki i drzazgi mijały sterowe wiosło i wkrótce ułożyły się jak perły nanizane na nitce, kołysząc się w górę i w dół na falach za rufą. Posuwaliśmy się naprzód, metr po metrze.

Kon-Tiki nie rozorywał fal, jak ostrodzioba łódź wyścigowa; szeroki i tępy, ciężki i solidny, spokojnie unosił się na powierzchni morza. Nie spieszył się, lecz kiedy już ruszył, parł przed siebie z

niezłomną energią.

Na razie naszym największym kłopotem było urządzenie sterowe. Tratwa była zbudowana dokładnie tak, jak opisywali ją Hiszpanie, lecz nie dożył naszych czasów nikt, kto mógłby dać nam praktyczny kurs żeglowania indiańską tratwą. Problem ten został dokładnie omówiony przez ekspertów na ładzie, ale wyniki były nikłe. Znali się na tym równie mało, jak my. Kiedy południowo-wschodni wiatr wzrósł na sile, musieliśmy trzymać tratwę na takim kursie, żeby wiatr wypełniał żagiel od tyłu. Jeśli tratwa zwróciła się bokiem zbyt mocno do wiatru, żagiel skręcał się nagle i uderzał o ludzi, szłas i ładunek, tratwa zaś obracała się w kółko i szła tym samym kursem, rufą naprzód. Była to ciężka walka. Trzech mężczyzn zmagano się z żaglem, a trzech pozostałych wiosłowało długim wiosłem sterowym, ażeby trzymać tratwę rufą do wiatru. A gdy tylko obróciliśmy się na właściwy kurs, sternik musiał dobrze uważać, żeby to samo nie powtórzyło się za chwilę.

Sześciometrowe wiosło sterowe spoczywało luźno na potężnym kłocu na rufie, między dwoma trzpieniami. Było to właśnie takie samo wiosło, jakiego używali nasi przyjaciele tubylcy, gdy spławialiśmy pnie w dół rzeki Palenque w Ekwadorze. Długi drąg z drzewa mangrowego był twardy jak stal, lecz tak ciężki, że utonąłby w wodzie, gdyby wypadł za burtę.

Na końcu drąga przymocowane było linami wielkie pióro wiosła z sosnowego drzewa. Trzeba było wyteńczyć wszystkie siły, aby utrzymać wiosło sterowe, gdy uderzały o nie fale; nasze palce męczyły się od kurczowego chwytu, który był konieczny przy obracaniu wiosła tak, żeby pióro sterczało prostopadle w wodzie. Ten ostatni problem rozwiązaliśmy przywiązując krótki drążek poprzecznie do rękocyści steru, dzięki czemu uzyskaliśmy rodzaj dźwigni do kręcenia wiosłem. Tymczasem wiatr wzmożł się. Wcześniej po południu pasat wiał już całą siłą.

Wkrótce podniósł na oceanie grzmiące bałwany ścigające nas od rufy. Teraz dopiero po raz pierwszy uzmysłowiliśmy sobie, że oto żywioł morski i my wychodzimy sobie naprzeciw, że teraz to już na serio, że mosty za nami są już spalone. Dalsze nasze losy zależą tylko od tego, jak tratwa trzymać się będzie na pełnym morzu. Wiedzieliśmy, że odtąd mgdy już więcej nie będziemy mieli powrotnego wiatru ani innej szansy powrotu. Weszliśmy w prawdziwy pasat i każdy dzień będzie nas niosł dalej i dalej w morze. Nie pozostawało nic innego, jak płynąć naprzód pod pełnym żaglem; gdybyśmy usiłowali zawrócić, wiatr i tak pchałby nas dalej w ocean, rufą do przodu. Istniał tylko jeden jedyny kurs — żeglować z wiatrem kierując dziób wprost w zachód słońca. Zresztą był to właśnie cel naszej podróży — iść śladem słońca.

Czynili tak, według naszych przypuszczeń, Kon-Tiki i jego pradawni czciciele słońca, kiedy wygnano ich z Peru na morze.

Obserwowaliśmy z triumfem i ulgą, jak nasza tratwa wspięła się na groźne grzbiety pierwszych bałwanów, które pieniać się nadbiegły ku nam. Sternik natomiast nie mógł

utrzymać wiosła: kiedy ryczące fale wtaczały się na niego wrywając wiosło z dulki lub odrzucając je w bok, miotał się zupełnie bezradnie. Nawet dwóch ludzi naraz nie mogło utrzymać wiosła, kiedy fale wznosiły się od rufy i spadały na nich. Wpadliśmy na pomysł

przecignięcia lin od pióra wiosła do każdego z boków tratwy, podczas gdy inne liny utrzymywały

rękojeść w dulkach. W ten sposób wiosło miało ograniczoną swobodę poruszania się i mogliśmy ignorować najgorsze fale, jeśli tylko sami zdołaliśmy się utrzymać. Kiedy doliny fal zaczęły się robić coraz głębsze, stało się jasne, że trafiliśmy w najszybszą część Prądu Peruwiańskiego. Fale były najwidoczniej wywoływane przez prąd, a nie tylko przez wiatr. Woda była zielona i zirna, a zębate góry Peru znikły już za nami w gęstych pasmach obłoków. Gdy nad morzem zapadł zmrok, zaczął się nasz pierwszy pojedynek z żywiołami. W

rozpoczynającej się naszej bliskiej zażyłości z żywiołami nie byliśmy jeszcze pewni morza; nie wiedzieliśmy, czy okaże się ono naszym przyjacielem, czy wrogiem. Kiedy słyszeliśmy, pogrążeni w mroku, że szum morza wokół nas zagłuszany był nagle przez syk nadchodzącego bałwanu, a biały grzebień pędził ku nam na wysokości dachu szałas — przywieraliśmy mocno do tratwy oczekując z niepokojem, aż masy wód zwałą się na nas. Lecz za każdym razem, ku naszemu zdziwieniu i uldze, Kon-Tiki spokojnie podnosił rufę i wznosił się bez przeszkód w górę na grzbiet fali, podczas gdy odmęty wodne przetaczały się wzdłuż jego boków. I znowu zapadaliśmy w dolinę fali, oczekując następnego wielkiego grzywacza. Największe fale przychodziły zwykle po dwie lub trzy pod rząd, poprzedzone długim szeregiem mniejszych..

Niekiedy dwie wielkie fale toczyły się jedna za drugą, a wtedy druga fala rozbijała się o tratwę unoszoną jeszcze w górę przez pierwszą. Dlatego stało się niezłomnym prawem, że sternicy przy wiosle musieli obwiązywać się w pasie liną, której drugi koniec był zamocowany na tratwie. Nie było bowiem żadnej poręczy czy relingu. Zadaniem wachtowych było sterowanie z wiatrem wprost na ocean, z rufą zwróconą na wiatr i fale.

Do skrzyni na rufie przywiązaliśmy stary kompas szalupowy, aby Erik mógł

kontrolować kurs i określać pozycję statku. Na razie nie mieliśmy pewności, gdzie się znajdujemy, gdyż niebo chmurzyło się, a horyzont był chaosem bałwanów.

Dwóch ludzi po kolei trzymało teraz wachtę przy sterze. Musieli oni, ramię przy ramieniu, dobywać wszystkich sił do walki z roztańczonym wiosłem, pozostali zaś próbowali zdrzemnąć się w otwartym bambusowym szałasie. Kiedy nadchodziła naprawdę ogromna fala, sternicy pozostawiali sterowanie linom i czepiali się mocno bambusowego drążka na dachu chatki, podczas gdy zwały wód rwały na nich z grzmiotem od strony rufy i znikwały między pniami, albo ściekały przez krawędzie tratwy. Musieli wtedy szybko rzucić się znowu do wiosła, aby rufa nie zdą-

/.yła odwrócić się od wiatru, a żagiel nie zaczął łopotać. Jeśli tra-twa brała fale z boku, z łatwością mogły one wedrzeć się do szałas. Gdy nadchodziły z tyłu, woda przeciekała między balami równie szybko, jak napływała i rzadko dochodziła aż do ściany szałas. Oczywiście zaletą tratwy było właśnie to, że przeciekała; przez otwory w naszej podłodze woda mogła tylko wylewać się, a nigdy wlewać do środka.

Około dwunastej godziny w nocy minęły nas światła pozycyjne statku płynącego na północ. O trzeciej przeszedł inny tym samym kursem. Machaliśmy naszą małą parafinową latarką i wywoływaliśmy statek sygnałami kieszonkowej lampki elektrycznej, lecz nie widzieli nas; światła powoli oddaliły się ku północy i zniknęły w ciemności. Na pokładzie statku nie przypuszczano /.apewne, że prawdziwa tratwa z czasów Inków przechodziła obok nich, tańcząc na falach. Tak samo i my nie



przypuszczaliśmy, że był to ostatni statek, który widzieliśmy po tej stronie oceanu.

Niczym kleszcze czepialiśmy się po dwóch sterowego wiosła czując, jak chłodna woda morska ścieka nam z włosów. Wiosło tłukło nas dotkliwie to z przodu, to z tyłu, a ręce sztywniały z wysiłku. W tych pierwszych dniach i nocach dostaliśmy dobrą szkołę, która zmieniła szczury lądowe w marynarzy. Przez pierwszą dobę każdy z nas nieprzerwanie przeplatał trzy godziny odpoczynku dwiema godzinami wachty. Urządziliśmy to tak, żeby co godzina świeży sternik zastępował tego, który kończy swoje dwie godziny wachty. Każdy mięsień ciała był napięty do ostateczności, gdy w ciągu wachty trzeba było dawać sobie radę ze sterowaniem. Kiedy zmęczyliśmy się popychaniem wiosła, przechodziliśmy na drugą stronę i ciągnęliśmy je, a gdy ramiona i klatka piersiowa były potłuczone od uderzeń, odwracaliśmy się plecami do wiosła, które nabijało nam sińce z tyłu i z przodu. Kiedy nareszcie przychodziła zmiana, wpełzaliśmy niemal ogluszeni do bambusowej chatki, przywiązaliśmy linę do nóg i zapadaliśmy w sen, w przemoczonych słoną wodą ubraniach, zanim zdołaliśmy wejść w nasze śpiwory. Nieomalże w tym samym momencie przychodziło brutalne szarpnięcie liny; trzy godziny minęły, trzeba było znowu wychodzić na pokład i zmieniać jednego z dwóch towarzyszy przy wiosle sterowym.

Następna noc była jeszcze gorsza i fale zamiast maleć, wzmagają się. Dwie godziny walki ze sterowym wiosłem były zbyt ciężką pracą; człowiek nie nadawał się już do niczego w drugiej połowie wachty; fale uzyskiwały przewagę rzucając nami we wszystkie strony, a woda zalewała pokład. Przeszliśmy wtedy na godzinę wachty przy sterze i półtorej godziny snu.

Pierwszych sześćdziesiąt godzin minęło w ten sposób w nieprzerwanej walce z chaosem fal, które waliły się na nas jedna po drugiej bez przerwy. Fale wysokie i niskie, zaokrąglone i spiczaste, fale skośne i fale na szczytach innych fal. Tym, który cierpiał najwięcej z nas, był

Knut. Wolny był od wachty sterowej, lecz musiał w zamian za to składać ofiary Neptunowi i przeżywał męki w rogu szałas. Papuga siedziała skwaszona w swojej klatce zwisając na dziobie i trzepocąc skrzydłami za każdym razem, kiedy tratwa robiła nieoczekiwany skok i fale chlustały w rufową ścianę chatki. Kon-Tiki nie kołysał się jednak znowu tak mocno. Tratwa trzymała się na falach znacznie lepiej niż jakakolwiek łódź tej samej wielkości, lecz nigdy nie można było przewidzieć, w którą stronę pokład kiwnie się w następnej chwili. Nigdy też nie nauczyliśmy się na tratwie sztuki swobodnego marynarskiego chodu, gdyż kołysała się równie mocno wzdłuż, jak i w poprzek.

Trzeciej nocy morze uspokoiło się nieco, chociaż wiatr utrzymywał się nadal. O

czwartej godzinie jakiś grzywacz-maruder nadbiegł nieoczekiwanie, pieniąc się w ciemności, i

— zanim sternik zorientował się — jednym uderzeniem odwrócił tratwę bokiem. Żagiel począł

walić o bambusowy domek, grożąc rozdarciem się i rozbiciem naszego mieszkania. Wszyscy musieli wyjść na pokład, ratować ładunek i naciągać liny i paduny<sup>21</sup>, ażeby ustawić tratwę z powrotem na właściwy kurs, tak by żagiel mógł spokojnie wypełnić się i zaokrąglić do przodu.

Ale tratwa nie chciała się ruszyć — pragnęła teraz iść tyłem i basta. Jedynym rezultatem całego

hisowania<sup>22</sup>, ciągnięcia i wiosłowania było to, że dwaj ludzie omal nie wylecieli za burtę, kiedy zostali w ciemności pchnięci przez żagiel. Lecz ocean wyraźnie uspokajał się. Sztywni i obolali, z dłońmi odartymi ze skóry i sennymi oczyma, nie byliśmy już wiele warci. Lepiej było zachować siły na wypadek, gdyby pogoda postawiła nas wobec nowej próby. Nigdy nie można przewidzieć... Spuściliśmy więc żagiel i zwinęliśmy go dokoła bambusowej rei.

Kon-Tiki odwrócił się bokiem do fal i zaczął brać je jak korek. Na pokładzie wszystko było zamocowane, odtrąbiliśmy więc wachty i cała szóstka wczołgała się do maleńkiej chatki, gdzie 21 Patrz przypis pod numerem 30.

22 Hisować - wciągać do góry rej lub żagle.

ścisnęliśmy się razem i zasnęliśmy jak mumie w puszcze od sardynek.

Nie mieliśmy jeszcze wtedy pojęcia, że przeżyliśmy właśnie najtwardszą próbę sterowania w całej podróży. Dopiero daleko na oceanie odkryliśmy genialną i prostą metodę sterowania tratwą na sposób Inków.

Zbudziliśmy się już za dnia, gdy papuga zaczęła pokrzykiwać, gwizdać i tańczyć na swym patyku. Fale były jeszcze duże, lecz teraz toczyły swe długie grzbiety równo, a nie tak chaotycznie i dziko jak poprzedniego dnia. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegliśmy, było to, że słońce ogrzewa żółty, bambusowy pokład naszego statku i nadaje morzu wokół nas wesoły i przyjemny wygląd. Cóż z tego, że fale pieniały się i wzbijały wysoko, jeżeli zostawiały nas na tratwie w spokoju. Cóż nam szkodziło, że bałwany wyrastały przed naszymi nosami, jeżeli wiedzieliśmy, że w następnej sekundzie tratwa przewinie się na grzbiecie szumiącej fali, spłaszczając ją jak walec parowy, a groźna góra wodna uniesie nas jedynie w powietrze i przetoczy się rycząc i pluszcząc pod pokładem? Starzy majstrowie z Peru wiedzieli, co robią, unikając pustego kadłuba, który mógł być zalany wodą, lub długiego statku biorącego dwie fale naraz. Korkowy walec parowy — oto czym była nasza tratwa.

Erik określił w południe naszą pozycję według słońca i stwierdził, że niezależnie od przebytej drogi zostaliśmy zdryfowani na północ, wzdłuż wybrzeża. Płynęliśmy jeszcze w Prądzie Peruwiańskim około 100 mil morskich od lądu. Niepokoił się, czy nie wejdziemy w rejon zdradzieckich prądów wirowych na południe od Galapagos. Mogłoby to mieć fatalne następstwa, gdyż byłibyśmy tam miotani na wszystkie strony przez silne prądy morskie płynące ku wybrzeżom Ameryki Środkowej. Lecz jeśli wszystko pójdzie dalej tak, jak przewidujemy, główny prąd powinien zdryfować nas na zachód, prosto przez ocean, zanim Jeszcze osiągniemy Galapagos. Wiatr wiał ciągle z południowego wschodu. Wciągnęliśmy żagiel, obróciliśmy tratwę rufą do fali i rozpoczęliśmy znowu wachty przy sterze. Knut zapomniał już o torturach choroby morskiej i wdrapał się na rozkołysany szczyt masztu robić eksperymenty z tajemniczymi antenami radiowymi, wypuszczanymi w powietrze za pomocą balonu lub latawca. Nagle Torstein zawołał z radiowego kąta szalasu, że słyszy nawołującą nas radiostację marynarki wojennej w Limie.

Poinformowała nas ona, że samolot amerykańskiego ambasadora wyleciał z wybrzeża, żeby przekazać nam ostatnie pożegnanie i zobaczyć, jak nam się wiedzie na morzu. Wkrótce potem uzyskaliśmy bezpośredni kontakt z radiotelegrafistą samolotu, a za chwilę prowadziliśmy prawdziwie nieoczekiwaną pogawędkę z Gerd Vold, która była w samolocie. Podaliśmy im naszą

pozycję tak dokładnie, jak tylko było można, i godzinami nadawaliśmy swój sygnał

wywoławczy. Głos w eterze wznosił się lub cichł, w miarę jak poszukujący nas samolot krążył

bliżej lub dalej. Nie usłyszeliśmy jednak pomruku maszyn i nigdy też nie ujrzeliśmy samolotu.

Nie tak łatwo było *znaleźć* niską tratwę w dolinach fal, a nasz własny widnokrąg był bardzo ograniczony. W końcu samolot musiał dać za wygraną i zawrócił do brzegu. Były to ostatnie poszukiwania nas, jakie ktokolwiek próbował przeprowadzić.

W ciągu następnych dni morze było wzburzone, lecz szumiące fale sunęły równiutko z południowego wschodu i sterowanie szło łatwiej. Wiatr i fale uderzały teraz na ukos w rufę i lewą burtę, tak że sternika omywało znacznie rzadziej niż przedtem, a tratwa płynęła spokojnie i nie obracała się w kółko. W napięciu obserwowaliśmy, jak południowo-zachodni pasat i Prąd Humboldt-ta dzień po dniu niosły nas półkolem ku wyspom Galapagos. Pchało nas na północny-zachód tak szybko, że nasza dzienna przeciętna wynosiła w tym czasie 55—60 mil morskich. Rekord ustanowiliśmy robiąc przez jedną dobę 71 mil, czyli 130 kilometrów.

— Czy ładnie jest na Galapagos? — zapytał ostrożnie Knut i spojrzał na mapę, gdzie kółeczka naszych pozycji układały się w kształt palca, wskazującego złośliwie w kierunku szatańskich wysp.

— Nie bardzo — odparłem — mówią, że Inka Tupac Yupanqui przepłynął z Ekwadoru na Galapagos w przeddzień przybycia Kolumba do Ameryki, lecz ani on, ani żaden inny z krajowców nie osiedlił się tam z powodu braku wody.

— Dobra — odpowiedział Knut. — Zatem za cholere nie jedziemy tam. To jest — mam nadzieję, że nie jedziemy.

Byliśmy już teraz tak przyzwyczajeni mieć wokół nas roztańczone morze, że nic sobie z tego nie robiliśmy. Cóż nam szkodziło, że huściliśmy się mając tysiąc sążni wody pod nami, skoro trzymaliśmy się stale na wierzchu?

Tylko że wyłoniło się tu jednak inne zagadnienie: Jak długo mogliśmy liczyć na to, że tratwa będzie się trzymała na wierzchu?

Łatwo było spostrzec, że pnie balsy nasiakają wodą. Tylny poprzeczny pień był gorszy niż inne; mogliśmy wcisnąć cały koniec palca w gąbczaste drewno, aż pojawiała się woda.

Ułamałem ukradkiem kawałek przesiąkniętego wodą pnia i wyrzuciłem za burtę. Drewnienko poszło spokojnie pod powierzchnię wody i zniknęło powoli w głębinie. Później zauważyłem, że koledzy robili akurat tak samo, kiedy myśleli, że nikt ich nie widzi. Z zapiętym oddechem stali patrząc na nasiąknięty wodą kawałeczek drewna, tonący zwolna w zielonej wodzie.

Zaznaczyliśmy przy starcie linię wodną tratwy, lecz przy niespokojnym morzu nie można było zobaczyć jak głęboko się zanurzamy, gdyż bale na przemian to unosiły się w górę, to zapadały głęboko w wodę. Kiedy jednak wbiliśmy w pień nóż, zobaczyliśmy ku naszej radości, że drewno było mokre tylko cał pod powierzchnią, wewnątrz zaś było dotychczas suche.

Obliczyliśmy, że jeżeli nasiąkanie będzie się odbywało z tą samą szybkością co dotąd, to tratwa zanurzy się pod powierzchnią wody w momencie, kiedy dopłyniemy na drugą stronę oceanu.

Mieliśmy jednak nadzieję, że żywica wewnątrz pni będzie działać jak impregnacja i powstrzyma nasiąkanie.

Była też i druga groźba, która zakłócała nasz spokój ducha przez pierwsze tygodnie.

Liny! W ciągu dnia byliśmy tak zajęci, że mało mieliśmy czasu na zastanawianie się nad tym, lecz gdy zapadła ciemność i wsuwaliśmy się do naszych posłań na podłodze szałas, mieliśmy więcej czasu na słuchanie i rozmyślanie. Kiedy leżeliśmy tak, każdy na swoim sienniku, czuliśmy, jak maty pokładu kołyszą się pod nami w takt poruszających się pni balsy. Oprócz ruchów tratwy każdy z dziesięciu pni miał własne faliste ruchy. Gdy jeden unosił się w górę, inne opuszczały się łagodnie w dół. Nie ruszały się one wiele; tyle tylko, że każdy z nas miał

uczucie, jak gdyby leżał na grzbiecie wielkiego, oddychającego zwierzęcia. Toteż woleliśmy kłaść się wzdłuż bali. Najgorsze były pierwsze dwie noce, później byliśmy zbyt zmęczeni, żeby troszczyć się o to. Z czasem liny nasiąkły wodą, skurczyły się i mocniej ścisnęły pnie. Lecz mimo to na tratwie nigdy nie było równej, płaskiej powierzchni leżącej spokojnie w stosunku do otoczenia. Kiedy podstawa tratwy wyginała się w dół i w górę w swoich wiązaniach, wszystko inne poruszało się razem z nią. Bambusowy pokład, podwójny maszt, cztery plecione ściany i daszek z prętów bambusa pokryty liśćmi — wszystko to było tylko powiązane linami, więc skręcało się też i podnosiło w przeciwnych kierunkach. Ruchy te były nieznaczne, ale zupełnie wyraźne. Gdy jeden róg szedł w górę, drugi odchyłał się w dół; gdy jedna połowa dachu skręcała bambusowe pręty do przodu, druga ciągnęła je wstecz. A jeśli wyjrzelśmy przez otwarte drzwi szałas, widzieliśmy tam jeszcze więcej ruchu i życia, gdyż niebo przesuwano się spokojnie i kuliście wokół nas, a morze falowało bez przerwy.

Liny i sznury brały na siebie cały ten nacisk. Przez całą noc słychać było, jak skrzypią i trzeszczą, jęczą i skarżą się. Był to jak gdyby zawodzący w ciemności chór wokół nas, gdzie każda lina brzmiała innym głosem, zależnie od grubości i naprężenia. Każdego ranka dokładnie przeglądaliśmy wiązania, wsadzaliśmy również głowy do wody — podczas gdy towarzysze trzymali nas mocno za kostki — żeby obejrzeć, czy liny pod spodem tratwy są w porządku.

Ale wiązania trzymały. Czternaście dni — powiedzieli marynarze — a wszystkie liny będą przetarte. Pomimo tej śpiewki, nie znaleźliśmy jednak jak dotąd najmniejszego śladu przecierania się lin. Rozwiązanie tej zagadki odkryliśmy dopiero daleko w morzu. Drzewo balsa było tak miękkie, że liny wrzynały się weń zwolna, i to osłaniało je od tarcia pomiędzy pniami.

Po ośmiu dniach morze było już spokojniejsze i zauważyliśmy, że barwa oceanu przeszła z zieleni w błękit. Kierunek dryfu zaczął się zmieniać; płynęliśmy o rumb bliżej zachodu, zamiast jak dotąd — na północny zachód. Potraktowaliśmy to z otuchą jako pierwszy słaby znak, że wychodzimy z przybrzeżnego prądu i że zaczniemy dryfować prosto przez ocean.

Już pierwszego dnia, kiedy zostaliśmy sarni na morzu, widzieliśmy ryby wokół tratwy, lecz byliśmy

zbyt zajęci sterowaniem, żeby myśleć o rybołówstwie. Drugiego dnia weszliśmy prosto w gęstą ławicę sardynek, a wkrótce potem podszedł błękitny rekin długi na osiem stóp, odwrócił się na falach wystawiając na wierzch swój biały brzuch i otarł się o rufę tratwy, gdzie Herman i Bengt sterując stali boso w wodzie. Rekin igrał wokół nas przez chwilę, lecz zniknął, kiedy przygotowaliśmy harpun do miotania.

Następnego dnia odwiedziły nas tuńczyki, bonity i złote makrele, a kiedy tłusta latająca ryba wylądowała na pokładzie, użyliśmy jej jako przynęty i wyciągnęliśmy zaraz dwie wielkie makrele ważące 10 do 15 kilo każda. Była to żywność na wiele dni. Na wachcie sterowej można było zobaczyć wiele ryb, nie znanych nam wcale, a pewnego dnia weszliśmy w ogromne stado delfinów. Czarne grzbiety tłoczyły się ciasno tuż przy bokach tratwy, wyskakując tu i tam z wody — trwało to bardzo długo.

Im bardziej postępowaliśmy ku równikowi, a oddalaliśmy się od brzegu, tym więcej było latających ryb. Kiedy nareszcie weszliśmy na błękitne wody, gdzie powierzchnia morza falowała majestatycznie, skąpana w słońcu i pomarszczona wiatrem, widzieliśmy je, gdy przebłyskiwały jak deszcz pocisków strzelających z wody i szybowały w prostej linii, aż pęd wyczerpywał się i ryby znikały w toni.

Kiedy wystawialiśmy w nocy małą parafinową latarkę, wielkie i małe latające ryby przyciągane przez światło skakały przez tratwę. Często trafiały w ścianę bambusowego domku lub w żagiel i padały bezsilnie na pokład. Niezdolne do odpłynięcia leżały bezwładnie, przypominając wielkookie śledzie. Czasami można było na pokładzie usłyszeć dobór soczystych przekleństw z ust sternika, którego rozpedzona, zimna latająca ryba trafiała prosto w nos. Nadlatywały one zawsze z wielką szybkością i waliły głową w twarz, aż świeceki stawały w oczach. Lecz poszkodowany szybko zapominał o nieoczekiwanym ataku, bo była to mimo wszystko morska "kraina szczęśliwości", gdzie wspaniałe dania rybne — zamiast pieczonych kurcząt — same spadały z powietrza. Podawaliśmy je na śniadanie i czy to zasługa kucharza, ryb czy też naszego apetytu — dość, że po oskrobaniu z łusek smakowały jak pstrągi.

Z rana pierwszym obowiązkiem kucharza było wyjść na pokład i pozbierać latające ryby, które wylądowały na tratwie w ciągu nocy. Zwykle leżało ich tam z pół tuzina lub więcej, a pewnego ranka znaleźliśmy na tratwie aż dwadzieścia sześć tłustych latających ryb. Któregoś ranka Knut był bardzo oburzony, że latająca ryba trafiła go w dłoń, zamiast wylądować prosto na wysmarowanej tłuszczem patelni. Torstein dopóty nie uświadomił sobie należycie naszego intymnego sąsiedztwa z morzem, dopóki pewnego rana nie obudził się z sardynką na poduszce (w szałasie było tak mało miejsca, że Torstein leżał z głową w drzwiach i gryzł w nogę tych, którzy przez nieuwagę następowali mu na twarz, kiedy musieli wychodzić w nocy). Złapał

sardynkę za ogon i zwierzył się jej z sympatii, jaką żywi do wszystkich jej sióstr. Odtąd sumiennie kuliliśmy nogi, żeby Torstein miał więcej miejsca, lecz nagle stało się coś, co zmusiło go do sypiania na utensyliach kuchennych, przy kąciku radiowym.

Stało się to w kilka nocy później. Noc była pochmurna i czarna jak smoła, więc Torstein postawił sobie koło głowy latarkę, żeby sternicy widzieli, gdzie stąpają, gdy wylazili nad jego głowę na zmianę wachty. Około czwartej Torsteina obudził łoskot spadającej lampy, coś zimnego i wilgotnego

zatrzepotało koło jego uszu. "Latająca ryba" — pomyślał i namacał w ciemności, żeby odrzucić ją w bok. Chwycił coś długiego i mokrego, wijącego się jak wąż, i puścił to jak oparzony. Niewidzialny gość podpełznął do Hermana, podczas gdy Torstein próbował zapalić lampę. Herman również podskoczył w górę, ja zaś obudziłem się i przyszła mi na myśl ośmiornica, która mogła *znaleźć* się w nocy na tych wodach. Gdy zapaliliśmy latarkę, Herman siedział trzymając z triumfem za kark cienką rybę wijącą się w rękę jak węgorz. Miała około metra długości, była gibka jak wąż, z tępyimi czarnymi oczyma i długim, drapieżnym pyskiem, pełnym mocnych zębów. Były one ostre jak noże i mogły odchyłać się w tył dla przepuszczenia połykanej zdobyczy. W uścisku rąk Hermana dziwna ryba wypłuła nagle białą, wielkooką rybę długości dwudziestu centymetrów, a po chwili jeszcze jedną, taką samą.

Były to wyraźnie ryby głębinowe, mocno poszarpane zębami ryby-węża. Cienka jej skóra była błękitno fioletowa na grzbiecie a stalowoniebieska pod spodem i z łatwością można ją było ściągnąć.

Cały ten hałas obudził nareszcie Bengta, któremu podsunęliśmy pod nos latarkę i naszą rybę. Usiadł sennie w swoim, śpiworze i rzekł uroczyście:

— Nieee, takich zwierząt nie ma. — Po czym odwrócił się spokojnie i usnął znowu. Nie popełnił zresztą wielkiej omyłki. Okazało się później, że byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy widzieli na własne oczy tę rybę żywą; jedynie szkielety podobnych okazów znaleziono parokrotnie na wybrzeżach Ameryki Południowej i Wysp Żółwich. Ichtiologowie nazwali ją *Gempylus* albo "wężowata makrela" i przypuszczali, że żyje ona na dnie morza, na wielkich głębokościach. Możliwe, że *Gempylus* kryje się w głębinach w dzień, kiedy oślepiają go promienie słoneczne. W każdym razie podczas ciemnych nocy wężowata makrela bywała na powierzchni morza — nie mieliśmy co do tego żadnej wątpliwości.

W osiem dni po wylądowaniu tej rzadkiej ryby w śpiworze Torsteina mieliśmy nową wizytę. Znowu była godzina czwarta nad ranem, młody księżyc już zaszedł, lecz gwiazdy świeciły jasno. Tratwa sterowała lekko i kiedy moja wachta skończyła się, obszedłem statek, żeby zobaczyć, czy wszystko jest w porządku przed zmianą dyżuru. Obwiązany — jak wszyscy sternicy — liną w pasie, balansowałem ostrożnie po tratwie trzymając w rękę lampę. Pnie były mokre i śliskie, więc rozżłościłem się porządnie, kiedy zupełnie nieoczekiwanie ktoś złapał za mną linę i pociągnął ją tak, że omal nie straciłem równowagi. Odwróciłem się gniewnie i poświeciłem latarką, lecz nie zobaczyłem ani żywej duszy. Wtedy nastąpiło ponowne szarpnięcie za linkę i ujrzałem, że coś błyszczącego wiję się na pokładzie. Był to nowy *Gempylus*, który wraził zęby w linę tak głęboko, że wiele z nich się złamało, zanim go oderwałem. Najwidoczniej światło latarki musiało odbijać się od białej, wijącej się liny i nasz gość z głębiny morskiej skoczył i złapał za nią w nadziei upolowania szczególnie pokaźnego i łakomego kęsa. Skończył on swoje dni w bańce z formaliną.

Morze kryje wiele niespodzianek dla człowieka, który ma podłogę na wysokości powierzchni wody i posuwa się powoli i bezgłośnie. Myśliwy, który z hałasem przedziera się przez las, może po powrocie opowiedzieć, że nie spostrzegł tam ani śladu zwierzyny. Inny usadowi się cicho na pieńku i czeka — często wtedy zaczyna coś w lesie szeleścić, trzeszczeć i zza krzaków wyzierają ciekawe oczy. Tak samo bywa na morzu. Zwykle pędzimy przez nie z hukiem motorów i łomotem tłoków, rozpryskując wodę wokół dziobu, a potem wracamy i mówimy, że na oceanie nie ma co oglądać. Kiedy jednak płynęliśmy spokojnie na powierzchni oceanu, składali nam codziennie wizyty ciekawi

goście. Niektórzy z nich, jak złote makrele i ryby-piloty, tak się do nas przyzwyczaili, że towarzyszyli tratwie przez morze, trzymając się w pobliżu dniami i nocami.

Gdy noc zapadła i gwiazdy mrugały na ciemnym, podzwrotnikowym niebie, morze fosforyzowało wokół nas idąc w zawody z gwiazdami, a świecący plankton tak żywo przypominał żarzące się węgielki, że mimo woli unosiliśmy bose stopy, gdy gorejące kulki omywały nam nogi na rufie tratwy. Wyłowione — były po prostu małymi, świecącymi skorupiakami. W takie noce zdarzało się, że z oceanu wynurzało się zniecka przy tratwie dwoje okrągłych, świecących oczu, które uparcie wlepiaty w nas hipnotyczne spojrzenie, jak jakiś diabeł morski. Często były to wielkie ośmiornice; wypływały one na powierzchnię morza, świecąc w ciemności swymi szatańskimi, zielonymi ślepiami. Lecz zdarzało się też, że były to świetliste oczy ryby głębinowej, która tylko w nocy wychodziła na powierzchnię i leżała urzeczona blaskiem lampy. W paru przypadkach, kiedy morze było spokojne, ciemna woda wokół tratwy wypełniała się często okrągłymi głowami o dwóch — trzech stopach średnicy, trwającymi bez ruchu i patrzącymi na nas wielkimi, płonącymi oczyma. W inne noce widniały pod wodą świetlane kule o średnicy jednego metra lub więcej i mrugały w nierównych odstępach czasu, jak elektryczne lampy zapalane co chwila.

Stopniowo przyzwyczajaliśmy się do obecności pod podłogą wszelkich podwodnych stworów, lecz zawsze byliśmy zaskoczeni, kiedy pojawiała się tam nowa odmiana... Pewnej pochmurnej nocy, o drugiej godzinie, kiedy sternik z trudnością odróżniał czarne niebo od czarnej wody, zobaczył nagle w morzu niewyraźną iluminację, która wkrótce przybrała kształt wielkiego zwierzęcia. Trudno było określić, czy samo zwierzę fosforyzowało, czy też świecił

plankton osiadły na powierzchni jego ciała. Błyski w dole, w czarnej wodzie, nadawały upiornemu stworowi niejasne, chwiejne kontury. Zrazu były okrągłe, to znów trójkątne lub owalne, aż nagle stwór podzielił się na dwie odrębne części pływające tam i z powrotem pod tratwą. W końcu były to już trzy wielkie, świecące widziadła kołujące powoli pod nami. Były to prawdziwe potwory, gdyż same tylko kadłuby mierzyły 6—8 metrów. Zjawiliśmy się wszyscy szybko na pokładzie, żeby zaobserwować ten taniec upiorów, który trwał godzinami, posuwając się razem z tratwą. Nasi świecący towarzysze jazdy poruszali się tajemniczo i cicho, trzymając się na dość znacznej głębokości, przeważnie po prawej burcie, gdzie stała latarnia.

Niekiedy jednak tkwili pod tratwą lub przesuwali się na lewą stronę. Błyski światła na grzbietach dowodziły, że bestie były większe od słoni; nie były to jednak wieloryby, gdyż nie wychodziły nigdy na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Może były to olbrzymie płaszczki zmieniające kształty przy obracaniu się w wodzie? Nie zwracały one na nas uwagi nawet wtedy, kiedy trzymaliśmy latarnię tuż nad powierzchnią wody, dla zwabienia i przyjrzenia się im. Jak wszystkie szanujące się upiory i widma, zapadły w głębiny, kiedy zaczęło dzień.

Nigdy nie udało się nam wyjaśnić tej nocnej wizyty trzech kwiecących potworów, chyba żeby uważać za wyjaśnienie inne odwiedziny złożone nam później, wśród białego dnia.

Było to dwudziestego czwartego maja. Dryfowaliśmy leniwie, znoszeni przez martwą falę 23, na mniej więcej 7° szerokości południowej i 95° długości zachodniej. Zbliżało się już południe i wyrzuciliśmy właśnie za burtę wnętrzności dwóch wielkich makreli złowionych z rana.

Skoczyłem z dziobu do morza i trzymając się końca liny zażywałem odświeżającej kąpieli, bacznie obserwując dokoła wodę. Wtem spostrzegłem wielką, brązową rybę długości 2

metrów, płynącą z zaciekawieniem ku mnie przez kryształowo przezroczystą wodę.

Wdrapałem się szybko na krawędź tratwy i usiadłem w palącym słońcu, spoglądając na rybę, 23 Martwa fala - fala tocząca się po morzu w bezwietrzną pogodę. Powstaje ona w strefie burz, a następnie przebiega wielkie odległości marszcząc spokojną wodę.

która spokojnie przepłynęła obok nas, gdy usłyszałem nagle dziki okrzyk bojowy Knuta siedzącego na rufie za bambusowym szałasem. "Rekin!" wrzeszczał głosem załamującym się w falset, a ponieważ rekiny niemal codziennie pływały koło tratwy nie wywołując takiego podniecenia, zrozumieliśmy wszyscy, że musi to być coś szczególnego, i pośpieszyliśmy Knutowi na odsiecz.

Knut siedział w kucki i prał swe szorty w wodzie morskiej. W pewnej chwili spojrzął na morze i ujrzał na wprost siebie największą i najbrzydszą mordę, jaką kiedykolwiek widział w swym życiu. Była to głowa prawdziwego potwora morskiego, tak wielka i szpetna, że sam legendarny wąż morski, gdyby kiedykolwiek wyszedł na powierzchnię morza, nie zrobiłby na nas podobnego wrażenia. Łeb był szeroki i spłaszczony jak u żaby, z parą małych oczu po bokach i ropuszą paszczą półtorametrowej szerokości, z której zwisały długie frędzle. Głowa przechodziła w olbrzymie cielsko kończące się długim, cienkim ogonem z ostro zakończoną pionową płetwą ogonową, wskazującą, że ten morski stwór nie należał do żadnego z gatunków wielorybów. Pod wodą tułów wydawał się brunatny, lecz podobnie jak głowa usiany był gęsto białymi plamami. Potwór z wolna zbliżał się do nas od strony rufy. Marszczył się jak buldog i od niechcienia machał ogonem. Wielka, okrągła płetwa grzbietowa wystawała zupełnie z wody, niekiedy wynurzała się również płetwa ogonowa, a kiedy gigant leżał w dolinie fali, woda spływała z szerokiego grzbietu, jak z podwodnej skały. Przed ogromną paszczą pływał niczym wachlarz cały rój pręgowanych jak zebry ryb-pilotów, a duże tarczogłowy i inne pasożyty tkwiły mocno przyspane do olbrzymiego cielska, podróżując z nim razem przez wody. Całość przybierała wygląd dziwacznej kolekcji zoologicznej, zgromadzonej wokół czegoś, co wyglądało jak pływająca rafa podwodna.

Dziesięciokilowa złota makrela, nadziana na sześć największych haczyków na ryby, wisiała za rufą jako przynęta dla rekinów. Rój ryb-pilotów rzucił się naprzód, wyczuł makrelę i nie dotykając jej pośpieszył z powrotem do swego władcy i pana, króla mórz, który jak mechaniczny potwór wprowadził w ruch swoje mechanizmy i podpłynął leniwie do ryby, mizernego kąska dla jego olbrzymiej paszczy. Staraliśmy się wciągnąć złotą makrelę na pokład i nasz morski stwór podszedł za nią powoli aż do krawędzi tratwy. Nie rozwarł właściwie paszczy, tylko pozwolił makreli wśliznąć się z wolna do niej, jak gdyby otwarcie wrót dla takiej kruszynki nie było warte zachodu. Kiedy potwór podpłynął już do tratwy i otarł się o ciężkie wiosło sterowe, które uniosło się z wody, mogliśmy przyjrzeć mu się z bliska; wygląd miał taki, że mąciło nam się w głowie. Ryczeliśmy, zaśmiewając się głupio i krzycząc z wielkiego podniecenia, w jakie wprowadził nas ten zupełnie niewiarygodny widok. Sam Walt Disney 24 z całą swoją siłą wyobraźni nie mógłby wymyśleć bardziej przerażającego potwora morskiego niż ten, który teraz niemalże Opierał się paszczą o pnie tratwy i gapił się na nas.

Był to rekin wielorybi, największy żar łącz i największa ze znanych dziś ryb na świecie.



Jest on niezmiernie rzadkim stworzeniem i tylko pojedyncze okazy są czasem widywane tu i tam na wodach podzwrotnikowych. Rekin wielorybi mierzy około 15 metrów jak mówią zoologowie — waży przeszło 15 ton. Niektóre szczególnie wielkie okazy osiągają nawet 20

metrów długości, a pewien młody osobnik upolowany harpunem miał wątrobę wagi 300 kilogramów i kolekcję trzech tysięcy zębów w szerokiej paszczy.

Potwór był tak wielki, że kiedy począł zataczać kręgi dokoła tratwy i przepływać pod nią, głowa znajdowała się po jednej stronie, a cały ogon po drugiej. Wyglądał przy tym tak niewiarygodnie groteskowo, gębę miał tak apatyczną i głupawą, że zachłystywaliśmy się śmiechem, chociaż było jasne, że gdyby ryba chciała nas zaatakować, mogłaby rozbić ogonem w drzazgi pnie halsy razem z takielunkiem i wiązaniami. Opisywała ona coraz wyższe koła wokół tratwy, my zaś staliśmy oczekując dalszych wydarzeń. Żarłacz przepłynął na drugą stronę statku, prześlizgując się delikatnie pod wiosłem sterowym, które uniosło się w górę, podczas gdy pióro przesunęło się po grzbiecie stworzenia. Staliśmy na krawędziach tratwy, z gotowymi do rzutu harpunami, które wyglądały jak wykałaczki wobec potężnej bestii. Nic nie wskazywało, aby żarłacz zamierzał nas opuścić; zataczał koła trzymając się blisko tratwy jak wierny pies. Nikt z nas nie przeżył nigdy, ani nawet nie marzył o przeżyciu czegoś podobnego.

Cała ta przygoda z bestią morską, pływającą wokół tratwy, wydawała się nam tak nierealna, że nie mogliśmy brać jej na serio.

W rzeczywistości olbrzymi rekin krążył wokół statku zaledwie godzinę, a nam się wydawało, że cały dzień. W końcu napięcie stało się zbyt silne dla Erika, który stojąc na rogu tratwy z trzymetrowym harpunem w ręku, podniecony naszymi nierozważnymi okrzykami, wzniósł drzewce nad głowę. Kiedy zaś żarłacz sunąc zwolna przybliżył się, a łeb jego znalazł

się pod rogiem tratwy, Erik cisnął harpun z całą siłą w czaszkę potężnego rekina. Minęła sekunda czy dwie, zanim gigant pojawił się, co się właściwie stało. Wtedy w mgnieniu oka potulny, apatyczny matolek zamienił się w górę stalowych mięśni. Usłyszeliśmy, jak świsnęła linka od harpuna ocierając się w pędzie o krawędź tratwy i ujrzeliśmy kaskadę wody, gdy potwór stanął

na głowie i runął w głębinę. Gruba linka, tak mocna, że mogłaby utrzymać szalupę, prysnęła momentalnie jak nitka, a w kilka sekund później wypłynęło złamane drzewce harpuna, kołysząc się na wodzie o dwieście metrów od statku. Ławica przestraszonych ryb-pilotów 24 Walt Disney - autor i reżyser kolorowych filmów rysunkowych.

rzuciła się naprzód w desperackim wysiłku dopędzenia swego pana i mistrza. Przez dłuższy czas oczekiwaliśmy, że potwór powróci pędząc jak wściekła łódź podwodna, lecz nigdy nie ujrzeliśmy go więcej.

Płynęliśmy teraz w południowym Prądzie Równikowym, posuwając się na zachód, 400

mil morskich na południe od Gala-pagos. Nie było już niebezpieczeństwa zdryfowania w sferę prądów płynących wokół tych wysp, odwiedzały nas natomiast wielkie żółwie morskie, które

niewątpliwie z wysp Galapagos zabłąkały się tak daleko w morze. Pewnego dnia zobaczyliśmy potężnego żółwia machającego głową i płetwami na powierzchni wody.

Kiedy fale uniosły go, ujrzeliśmy złotozielone błyski w wodzie i odkryliśmy, że żółw toczył walkę na śmierć i życie ze złotymi makrelami. Walka była zupełnie jednostronna; dwanaście czy piętnaście dużych, wielkogłowych, świetnie ubarwionych złotych makreli atakowało łeb i płetwy gada. Staraly się one zapewne wyciągnąć je na zewnątrz, gdyż napadnięty żółw nie mógł całymi dniami leżeć z głową i płetwami wciągniętymi do skorupy.

Kiedy żółw zauważył tratwę, zanurzył się w wodę i ruszył prosto do nas.

Prześladowany przez błyszczące ryby gad podpłynął do krawędzi i chciał wdrapać się na tratwę, gdy nagle ujrział stojących na niej ludzi. Gdybyśmy mieli nieco więcej praktyki, moglibyśmy go bez trudu złapać za pomocą lin, gdyż wielka jego skorupa znajdowała się tuż obok tratwy. Przegapiliśmy jednak właściwy moment, a gdy przygotowaliśmy lasso, żółw minął już dziób statku. Spuściliśmy na wodę gumową tratwę. Bengt, Herman i Torstein rzucili się w pogoń w naszej owalnej skorupce od orzecha, niewiele większej od żółwiej. Bengt jako steward widział już oczyma duszy nieskończone ilości dań mięsnych i delikatne zupy żółwiowe, lecz im szybciej wiosłowali, tym szybciej płynął żółw. Zanim prześladowcy oddalili się od tratwy na sto metrów, uciekinier zniknął bez śladu. W każdym razie spełniliśmy dobry uczynek. Kiedy bowiem nasza mała i żółta jak masło łódeczka wróciła tańcząc na falach, całe stado błyszczących złotych makreli płynęło za nią. Okrążyły one tego nowego żółwia, a najzuchwalsza złapała za wiosła zanurzając się w wodzie jak płetwy; tymczasem dobroduszny żółw morski uciekł szczęśliwie od wszystkich swoich natrętnych prześladowców.

## V. W POŁOWIE DEOGI

Codzienne życie i doświadczenia \* Woda do picia dla załogi \* Bataty i dynia zdradzają tajemnicę \* Kraby i kokosy \* Johannes \* Żeglujemy w rybnej zupie \* Plankton \* Jadalna fosforescencja \* Obcowanie z wielorybami \* Mrówki i skorupiaki \* Pływający faworyci \*

Złota makrela jako towarzysz \* Łowienie rekinów \* Kon-Tiki staje się potworem morskim \*

Latające ośmiornice \* Nieznany gość \* Kosz nurkowy \* Tuńczyki i bonity w swoim żywiole \*

Fałszywa rafa \* Rozwiązujemy zagadkę miecza \* W połowie drogi \*

JYlijały tygodnie. Nie widzieliśmy ani śladu statku czy pływających przedmiotów, które wskazywałyby na istnienie innych ludzi na świecie. Całe morze należało do nas i wszystkie drogi aż po horyzont stały przed nami otworem, a spokój i swoboda spływały z firmamentu. Wydawało się, że czysty błękit i przesycająca powietrze sól morska oczyściły nasze ciała i dusze. Przestały dla nas istnieć wszelkie problemy cywilizowanych ludzi.

Znaczenie miały tylko żywioły. A te zdawały się ignorować małą tratwę. Może uznały one stateczek za część natury, nie zakłócającą harmonii morza, lecz przystosowującą się do prądu i fal, jak ryby i ptaki morskie. Żywioły nie były rzucającym się na nas spienionym wrogiem, lecz niezawodnym przyjacielem, stale i pewnie pchającym nas naprzód. Podczas gdy wiatr i fale pchały tratwę, prądy

oceaniczne ciągnęły nas prosto do celu.

Gdyby któregośkolwiek dnia przeciął nam kurs okręt, znalazłby nas huśtających się spokojnie w górę i w dół na długiej, toczącej się zwolna fali pokrytej małymi grzebieniami, podczas gdy pasat wypinał rdzawożółty żagiel w kierunku Polinezji.

Z pokładu takiego okrętu ludzie ujrzeliby na rufie tratwy nagiego, opalonego brodacza zmagającego się desperacko z długim wiosłem sterowym i ciągnącego jednocześnie splątaną linę albo też — w dobrą pogodę — siedzącego na skrzyni i drzemiącego w żarze słonecznym, z wiosłem przytrzymywanym beztrosko palcami nóg.

Bengt — jeśli to nie on był sternikiem — leżałby z pewnością na brzuchu w drzwiach domku, czytając jedną ze swoich siedemdziesięciu trzech socjologicznych książek. Bengt został również mianowany stewardem i odpowiadał za podział racji dziennych. Hermana można było znaleźć w różnych miejscach, zależnie od pory dnia: na szczycie masztu z instrumentami meteorologicznymi, pod dnem tratwy, jak w nurkowych okularach sprawdzał

działanie wysuwanych mieczów lub też płynącego na holu w gumowej *dinghy*, zajętego balonami i dziwnymi aparatami pomiarowymi. Był on naszym szefem technicznym i odpowiadał za obserwacje meteorologiczne i hydrograficzne.

Knut i Torstein byli zawsze zajęci swoimi wilgotnymi "suchymi bateriami", lutownicami i schematami połączeń. Utrzymanie w ruchu, o stopę nad poziomem wody, małej radiostacji stale zwilżanej pianą i rosą, wymagało całej ich umiejętności nabytej w czasie wojny. Każdej nocy dyżurowali kolejno, nadając raporty i obserwacje meteorologiczne wyłapywane przez przypadkowych radioamatorów, którzy przesyłali je dalej, do instytutu meteorologicznego w Waszyngtonie i do innych odbiorców. Erik zazwyczaj latał żagle, splatał

liny albo też rzeźbił w 'drzewie i rysował szkice brodatych ludzi i rzadkich ryb.

Co dzień w południe brał sekstans i włąził na skrzynię, skąd obserwował słońce; mierzył jego wysokość nad horyzontem i obliczał, jak daleko posunęliśmy się w ciągu dnia. Ja miałem dość roboty prowadząc dziennik okrętowy, zbierając plankton, łowiąc ryby i filmując.

Każdy z nas miał swój zakres pracy i nie wtrącał się w sprawy innych. Wszystkie nieprzyjemne roboty, jak sterowanie i kucharzenie, wykonywaliśmy kolejno. Każdy członek załogi przez dwie godziny w dzień i dwie w nocy pełnił wachtę przy wiosle sterowym. Kucharzyliśmy codziennie po kolei. Niewiele było praw i przepisów na tym statku; chyba tylko te, że wachtowi muszą być opasani liną, że lina ratunkowa musi leżeć na swoim miejscu, że wszystkie posiłki mają być spożywane na pokładzie i że "pewne miejsce" jest tylko na skrajnych końcach pni na rufie. Jeżeli chcieliśmy powziąć ważną decyzję, zwoływaliśmy "radę wojenną" w indiańskim stylu i przed powzięciem postanowienia omawialiśmy sprawę.

Zwykły dzień na pokładzie Kon-Tiki zaczynał się od budzenia kucharza przez ostatniego nocnego wachtowego. Kucharz wyłaził sennie na mokry od rosy pokład błyszczący w porannym słońcu i zaczynał zbierać latające ryby. Zamiast jeść ryby surowe według polinezyjskiej i peruwiańskiej

recepty, smażyliśmy je na małej kuchence naftowej, którą ustawiliśmy na dnie skrzynki przymocowanej do pokładu w pobliżu drzwi szałasu; skrzynka ta była naszą kuchnią. Tu można było schronić się przed południowo-wschodnim pasatem, który regularnie wiał w baksztag25 lewej burty. Niekiedy wiatr dął zbyt ostro i drewniana skrzynka zaczynała się palić, a raz, kiedy kucharz się zdrzemnął, skrzynia stanęła w płomieniach. Ogień dotarł aż do ściany domku, lecz gdy tylko dym przedostał się do szałas, ugasiliśmy szybko pożar; po wodę na Kon-Tiki nie trzeba było daleko chodzić.

Zapach smażonej ryby rzadko kiedy budził brodaczy chrapiących w szałasie, kucharz więc często musiał kłuć ich widelcem lub też tak fałszywie wyśpiewywał: "Śniadanie gotowe!", że nikt nie mógł znieść długo jego krzyku. Jeżeli w pobliżu tratwy nie było widać płetw rekina, dzień zaczynał się szybkim nurkiem •w wody Pacyfiku, a następnie śniadaniem na otwartym powietrzu. ' Jedzenie na tratwie było bez zarzutu. Kuchnię prowadziliśmy wypróbując dwie metody odżywiania: jedną kucharza z dwudziestego stulecia, a drugą —

Kon-Tiki z piątego. Torstein i Bengt byli obiektami pierwszego eksperymentu, ograniczając się do spożywania specjalnego prowiantu zawartego w małych paczkach, które umieściliśmy między pniami a pokładem tratwy. Ryby i skorupiaki nie należały bowiem do ich ulubionych dań. Co parę tygodni obluźnialiśmy liny przytrzymujące bambusowy pokład, i wyciągaliśmy świeży prowiant, mocując go na pokładzie przy dziobowej ścianie szałas. Trwała warstwa asfaltu, pokrywająca tekturę, okazała się wytrzymalsza od hermetycznie zamkniętych puszek leżących luzem, które zostały zniszczone przez wodę morską, omywającą stale naszą spiżarnię.

Ale chociaż Kon-Tiki nie miał w swej zamierzonej wyprawie przez ocean ani asfaltu, ani szczelnie zamkniętych puszek — nie doświadczał poważniejszych trudności z odżywianiem. W tamtych czasach zapasy również składały się z żywności wziętej z lądu i uzyskanej w czasie podróży. Można przypuszczać, że kiedy Kon-Tiki opuszczał

wybrzeże Peru po klęsce nad jeziorem Titicaca, miał do dyspozycji jedno z tych dwóch źródeł zaopatrzenia.

Tiki odważył się na podróż przez ocean, żeby iść śladem słońca; prawdopodobnie w nadziei odnalezienia nowego, spokojnego kraju. Miał on też drugą możliwość — żeglować tratwą w górę wybrzeża Ameryki Południowej, żeby wylądować wyżej na północ i założyć nowe państwo poza zasięgiem działania prześladowców. Odsunąwszy się od niebezpiecznego, skalistego wybrzeża i wrogich szczepów na lądzie stać się mógł jednak Kon-Tiki — jak i my —

łatwym łupem Prądu Humboldta i południowo-wschodniego pasatu, a gdy znalazł się w mocy tych żywiołów, mógł dryfować dokładnie takim samym dużym półkolem w kierunku zachodu słońca.

Jakie by nie były zamierzenia wyznawców słońca opuszczających swą ojczyznę, z pewnością zatroszczyli się oni o prowiant na podróż morską. Suszone mięso, ryby i bataty były najważniejszymi składnikami ich prymitywnego wyżywienia. Kiedy ówczesni żeglarze zapuszczali się tratwami w morze wzdłuż pustynnych wybrzeży Peru, mieli oni wystarczające zapasy wody do picia na pokładzie. Zamiast naczyń glinianych używali zwykle dużych, wydrążonych tykw odpornych na

wstrząsy i uderzenia; jeszcze wygodniejsze do użycia na tratwie były grube rury wielkich bambusów. Przewiercali wszystkie kolanka, wewnątrz trzciny 25 Wiatr wieje w baksztag - wiatr wieje na ukos z tyłu.

i nalewali wody przez małą dziurkę na końcu, którą zatykali czopem lub żywicą. Trzydzieści czy czterdzieści grubych trzcin bambusowych wiązano na tratwach pod pokładem, gdzie leżały one zacienione i chłodzone świeżą wodą morską, która w prądzie równikowym ma około 26—27 stopni ciepła. "Cysterny" te zawierały dwa razy tyle wody słodkiej, ile my sami zużyliśmy w ciągu całej podróży. Można było zabrać jeszcze więcej wody, przymocowując więcej bambusowych rur pod tratwą; nie obciążały one statku i nie zajmowały miejsca.

Zauważyliśmy, że po dwóch miesiącach woda do picia zrobiła się stęchła i niesmaczna.

Lecz do tego czasu tratwa przebyła już r/ęć morza ubogą w deszcze, i wchodziła w strefę, gdzie ulewy tropikalne obficie wyrównywały zasób wody. Przydzielaliśmy pięć czwartych litra wody na człowieka dziennie. Racja ta nie zawsze była zużywana.

Jeżeli nawet nasi poprzednicy odbili od lądu z niewystarczającymi zapasami żywności, dawali sobie z pewnością radę, żeglując z prądem obfitującym w ryby w ciągu całej podróży; dokoła tratwy było pełno ryb, które dawały się łatwo złowić. Nie było prawie dnia, aby dwie-trzy latające ryby nie wpadały same na pokład. Zdarzało się nawet czasami, że wielkie, delikatne bonity spływały na tratwę z masami wody nadbiegającymi z rufy. Gdy woda spływała między pniami jak przez sito, leżały one i trzepotały się na pokładzie. Śmierć z głodu była niemożliwa. Starzy krajowcy wiedzieli również dobrze o tym, na co wpadli rozbitkowie z czasów wojny, a mianowicie, że dla ugaszenia pragnienia można żuć surowe mięso ryb. Można też otrzymywać płyn przez wyciskanie kawałków ryby przez płótno, a jeśli ryba jest duża, wystarczy nawet wyciąć w niej otwory, które wkrótce wypełnią się cieczą z gruczołów limfatycznych. Nie smakuje to nadzwyczajnie, zwłaszcza jeżeli ma się coś lepszego do picia, lecz pragnienie można ugasić.

Potrzeba picia wody zmniejszała się znacznie, kiedy zażywaliśmy często kąpieli i kładliśmy się mokrzy w cienistym szałasie. Jeżeli rekin patrolował majestatycznie wokół nas, przeszkadzając nurkowaniu z krawędzi tratwy, kładliśmy się po prostu na balach rufy, trzymając się wiązań palcami rąk i nóg. Lały się wtedy na nas co parę sekund całe wanny krystalizacyjnej czystej wody Oceanu Spokojnego.

Człowiek trapiiony pragnieniem w czasie upału często w sposób nieumiarkowany wykorzystuje racje wody, nie odczuwając żadnej ulgi. W upalny dzień w strefie podzwrotnikowej można wlewać w siebie litrami letnią wodę aż po dziurki od nosa, nie zaspokajając pragnienia. Nie płyn jest wówczas tym, czego potrzebuje organizm, lecz, rzecz szczególna, sól. Specjalne racje żywnościowe na statku zawierały także tabletki soli, które należało brać w czasie upałów, kiedy pocenie się pozbawia organizm soli..

Przeżywaliśmy dni, kiedy wiatr zamierał, a słońce prażyło tratwę bez miłosierdzia.

Wypijaliśmy wydzielane racje wody, aż bulgotało w żołądkach, lecz gardła złośliwie domagały się więcej.

Dodawaliśmy wtedy do wody słodkiej 20 do 40 procent gorzko-słonej wody morskiej i stwierdzaliśmy ku naszemu zdziwieniu, że ta mieszanka zaspokajała nasze pragnienie. Przez długi czas pozostawał w ustach smak wody morskiej, lecz nigdy nie czuliśmy się źle.

Zmniejszało to również tempo zużywania naszego zapasu wody.

Pewnego ranka, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu, nieoczekiwanie chlusnęła do owsianki fala i wtedy przekonaliśmy się, że płatki owsiane usuwały przykry smak wody morskiej.

Polinezyjczycy zachowali ciekawe podania mówiące, że gdy ich dawni przodkowie przybyli z morza, mieli ze sobą liście pewnej rośliny, którą żuli i która gasiła pragnienie.

Wskutek jej działania mogli oni również pić wodę morską bez szkody dla zdrowia. Takich roślin nie ma na wyspach Oceanii, musiały one pochodzić z ojczyzny ich przodków. Historycy polinezyjscy obstawali tak uparcie przy swoich opowieściach, że nowocześni badacze zajęli się tą sprawą bardziej szczegółowo. Doszli do wniosku, iż jedyną znaną rośliną o podobnym działaniu mogła być coca, rosnąca tylko w Peru. W przedhistorycznym Peru ta właśnie roślina, zawierająca kokainę, była powszechnie używana przez Inków i ich zaginionych przodków, na co wskazują odkrycia dokonane w wykopaliskach sprzed czasów Inków. Podczas wy-czerpujących podróży górskich i morskich mieli oni ze sobą wiązki liści coca i żuli je całymi dniami, żeby pozbyć się uczucia zmęczenia i pragnienia. Na krótki okres czasu żucie liści coca umożliwia również bezkarne picie wody morskiej.

Nie próbowaliśmy na tratwie liści coca, lecz mieliśmy ze sobą wielkie kosze pełne różnych innych roślin, które odgrywały ważną rolę na wyspach Oceanii. Kosze stały uwiązane na pokładzie, w miejscu osłoniętym od wiatru szafasem; z czasem żółte pędy i zielone liście wystrzelały z nich coraz wyżej. Był to jakby podzwrotnikowy ogród na drewnianej tratwie.

Kiedy pierwsi Europejczycy przybyli na wyspy Oceanu Spokojnego, znaleźli na Wyspie Wielkanocnej, na Hawajach i w Nowej Zelandii wielkie plantacje batatów. Te same bulwy były uprawiane również na innych wyspach, lecz jedynie w obrębie Polinezji. Nie były one wcale znane w części świata leżącej dalej

na zachód. Bataty były jedną z najważniejszych roślin kultywowanych na wyspach Polinezji, gdzie ludzie odżywiali się przeważnie rybami, i wiele legend polinezyjskich mówi o tej roślinie. Z niektórych legend wynika, że bataty zostały przywiezione nie przez kogo innego, jak przez samego Tiki, kiedy przybył ze swoją żoną Pani z pierwotnej ojczyzny przodków, w której te słodkie bulwy były ważnym składnikiem pożywienia. Legendy nowozelandzkie utrzymują, że bataty przybyły zza morza na statkach, które nie były łodziami, lecz składały się z "pni powiązanych linami".

Jak wiadomo, Ameryka była jedynym miejscem na świecie, gdzie rosły ziemniaki, zanim dostały się do Europy. Słodki kartofel — *hipomaea batatas* — który Tiki przywiózł ze sobą na wyspy — Jest właśnie bulwą hodowaną przez Indian w Peru od najdawniejszych czasów. Suszone bataty były najważniejszym podróznym prowiantem, zarówno dla żeglarzy polinezyjskich, jak i dla krajowców w Peru. Na wyspach Oceanii bataty rosną tylko dzięki starannej uprawie, a ponieważ nie znoszą one słonej wody morskiej, trudno byłoby wyjaśnić ich rozpowszechnienie na rozproszonych wyspach bez pośrednictwa człowieka. Nie mogły one bowiem przebyć oceanu, niesione prądami morskimi 8 000

kilometrów z Peru. Takie wyjaśnienie byłoby szczególnie bezsensowne wobec faktu, na który wskazują językoznawcy, a mianowicie — że na wszystkich tak bardzo rozproszonych wyspach Oceanii rozpowszechniła się inna nazwa batatów, *kumam*, a tak właśnie nazywali ziemniaki dawni Indianie w Peru.

Nazwa *kumara* poszła za batatami przez ocean.

Inną bardzo ważną uprawną rośliną polinezyjską, którą mieliśmy na pokładzie Kón-Tiki, była tykwa, *lagenaria vulgaris*. Równie użyteczna jak miąższ była jej łupina suszona przez Polinezyjczyków nad ogniem i używana do przechowywania wody. Ta typowa roślina ogrodowa, która również nie może sama rozprzestrzeniać się dziko i przenosić przez morza, jest znana zarówno przez starych Polinezyjczyków, jak i przez pradawną ludność Peru. Tykwy przerobione na naczynia do wody znaleziono w przedhistorycznych pustynnych grobach na wybrzeżu Peru. Były one używane przez rybacką ludność setki lat przed dotarciem pierwszych białych do wysp Oceanu Spokojnego. Polinezyjską nazwę tego gatunku tykwy, *kimi*, odnajdujemy u Indian Ameryki Środkowej, gdzie tkwią korzenie kultury peruwiańskiej.

Oprócz różnych owoców południowych, które zjedliśmy, zanim zdążyły się zepsuć, mieliśmy ze sobą na tratwie trzecią roślinę, która razem z batatami odegrała największą rolę w historii Pacyfiku. Posiadaliśmy mianowicie setki orzechów kokosowych, które dawały nam orzeźwiający napój. Niektóre orzechy zaczęły szybko kiełkować i po dziesięciu tygodniach pobytu na morzu mieliśmy na pokładzie pół tuzina małych palni, wysokich na stopę, wypuszczających już pędy i formujących grube zielone liście. Orzechy kokosowe rosły przed Kolumbem zarówno na Przesmyku Panamskim, jak i w Ameryce Południowej. Kronikarz Oviedo pisze, że w okresie przybycia Hiszpanów palma kokosowa rosła w wielkiej ilości w Peru wzdłuż wybrzeża Oceanu Spokojnego. W tym czasie istniała już ona od dawna na wszystkich wyspach Pacyfiku.

Botanicy nie mają jeszcze żadnego pewnego dowodu na to, jaką drogą palmy kokosowe rozpowszechniły się na tych wyspach. Ustalono tylko jedno: nawet orzech kokosowy ze swoją słynną z twardości skorupą nie mógł przebyć oceanu bez pomocy człowieka. Orzechy, które mieliśmy na pokładzie, pozostały jadalne i zdolne do kiełkowania przez całą drogę. Te natomiast, które złożyliśmy pod pokładem razem ze specjalnym prowiantem, omywane przez fale zepsuły się co do jednego. Żaden zaś kokos nie może przepłynąć oceanu prędzej niż tratwa, której pomaga wiatr. Oczka orzechów miękły tak, że woda morska zaczynała przedostawać się do środka. Byli ponadto na całym oceanie “inspektorzy higieny”, którzy dbali o to, aby nic jadalnego nie przepłynęło z jednego krańca na drugi. Niekiedy w spokojne dni, unosząc się na powierzchni oceanu, przepływały obok nas na wodzie samotne, białe ptasie pióra. Kiedy spojrzało się na nie uważnie, można było dostrzec dwóch, trzech pasażerów wdzięcznie żeglujących z wiatrem. Gdy Kon-Tiki niczym Goliat przepływał obok, “żeglarze” widząc szerszy i obszerniejszy statek, sunęli szybko po powierzchni wody i wdrapywali się na tratwę, piórko zaś wędrowało swoją drogą. Wkrótce też na pokładzie Kon-Tiki zaroilo się od

“pasażerów na gapę”. Były to małe kraby pelagiczne 26 wielkości paznokcia lub pięciogro-szówki. Stanowiły one przysmak dla “Goliatów”, jeżeli tylko dawały się złapać.

Małe te kraby pełniły funkcje patroli sanitarnych i nigdy nie przegapiały okazji do zdobycia czegoś jadalnego. Jeżeli któregoś dnia kucharz nie zauważył latającej ryby ukrytej między balami —

na jutro była ona pokryta przez kraby dzielnie pracujące kleszczami. Na ogół bały się one ludzi uciekając, gdy tylko zbliżaliśmy się do nich. Na rufie jednak, w małym otworze przy kłocu sterowym, mieszkał jeden mały krab zupełnie oswojony. Nazywaliśmy go Johannes i tak jak papugę, która była ogólnym faworytem, uznaliśmy go za członka załogi. Kiedy sternik zwrócony plecami do szalasu siedział i sterował w słoneczne dni bez towarzystwa Johannes, czuł się zupełnie samotny na wielkim, niebieskim morzu. Podczas gdy inne kraby zmykały szybko i podkradały żywność jak zwykle karaluchy na statku, Johannes siedział godnie rozparty w drzwiach swego domku, z wytrzeszczonymi oczami, i czekał na zmianę wachty.

Każdy nowy dyżurny miał dla niego okruch biskopta lub kawałek ryby i gdy tylko schylaliśmy się nad otworem, Johannes wychodził na schody i wyciągał łapki. Brał kleszczami okruch z palców i mknął z powrotem do dziury, gdzie siadał na progu i zjadał łapczywie niczym uczeń. Kraby tkwiły jak kleszcze na przemokłych orzechach kokosowych, które fermentowały i pękały, albo też łapały plankton i żyjątka znoszone przez fale. Te najdrobniejsze organizmy morskie były zresztą dobrym pożywieniem nawet dla nas, gdy 26 Strefa pelagiczna - masa wód otwartego morza, odgraniczona od brzegu przez strefę przybrzeżną. Obejmuje ona obszar wód naświetlonych, tj. do głębokości około 350 m i dzieli się na warstwę górną (około 80 m) i warstwę dolną o świetle rozproszonym. Strefę pelagiczną zamieszkuje plankton - zespół drobnych organizmów roślinnych i zwierzęcych, unoszących się w wodzie. Kraby, o których mowa, należą do planktonu zwierzęcego strefy pelagicznej - stąd nazwa.

nauczyliśmy się zbierać ich tyle naraz, ażeby mieć co włożyć do ust.

Jest rzeczą oczywistą, że niewidzialna prawie masa planktonu, niesiona prądami morskimi w nieskończonych ilościach, jest bardzo pożywna. Nie ma bowiem ani jednego stworzenia w morzu, które by nie budowało swojej egzystencji na planktonie. Te ryby i ptaki morskie, które same nie żywią się planktonem, zjadają z kolei inne ryby i zwierzęta morskie najróżniejszej wielkości, dla których plankton stanowi podstawę pożywienia. Plankton — to zbiorowa nazwa dla tysięcy gatunków widzialnych i niewidzialnych organizmów, pływających pod powierzchnią morza. Należą tu rośliny (*fitoplankton*), rybia ikra i małe, żywe stworzonka (*zooplankton*). Zwierzęcy plankton żywi się roślinnym, a roślinny z kolei — azotanami i związkami, które powstają jako produkt rozkładu zwierzęcego planktonu. Żywiąc się sobą wzajemnie, organizmy te są jednocześnie pokarmem dla wszystkiego, co porusza się w morzu i ponad nim. Niewielki ich rozmiar kompensuje ilość. W wodach bogatych w plankton tysiące organizmów mieści się w jednej szklance wody. Ludzie nieraz umierali z głodu na morzu, nie mogąc znaleźć nic, co by się dało złapać w sieci lub nadziać na haczyk. Nie wiedzieli o tym, że żeglują w mocno rozcieńczonej surowej zupie rybnej. Gdyby prócz sieci i haczyków rozbitkowie mieli naczynie do odcedzania tej zupy, w której pływali, mieliby się czym żywić.

Kiedyś w przyszłości ludzie zaczną prawdopodobnie myśleć o zbieraniu tego wspaniałego pożywienia na morzach, podobnie jak teraz zbierają ziarno na lądzie. Pojedyncze ziarenko również nie przydaje się na nic, dopiero nagromadzone w wielkich ilościach staje się żywnością.

Biolog morski dr A. D. Bajkow poddał nam przed wyjazdem pomysł chwytania tych żyjątek i przysłał nam sieć odpowiednią do takiego połowu. "Sieć" była jedwabną siatką o prawie trzech tysiącach oczek na cal kwadratowy. Uszyta była w kształcie woreczka podobnego do komina, z



okrągłym otworem, usztywnionym metalowym pierścieniem półmetrowej średnicy. Siatkę tę wleliśmy za tratwę. Podobnie jak przy innych rodzajach rybo-

łówstwa, połów zmieniał się w zależności od miejsca i czasu. Zmniejszał się, kiedy morze stawało się coraz cieplejsze, im dalej posuwaliśmy się na zachód. W naszej podróży połów dawał najlepsze rezultaty w nocy, gdyż wiele gatunków żyjątek zanurza się w ciągu dnia głębiej w wodzie, chowając się przed słońcem.

Kiedy nie mieliśmy nic ciekawszego do roboty, wsadzaliśmy nosy w świeży połów planktonu, co było już wystarczającą rozrywką. Zapach nie był co prawda zachęcający, a widok nie budził apetytu, lecz zawartość siatki, rozpostarta na deseczce, przedstawiała nawet dla nie uzbrojonego oka fantastyczny widok nieskończonej różnorodności kształtów i kolorów.

Przeważnie były to małe żyjątka, skorupiaki podobne do raczków lub rybia ikra pływająca luzem, lecz były tu również larwy ryb i krabów skorupiaków, niezwykle miniaturowe kraby wszystkich kolorów, meduzy i nieskończona różnorodność małych stwo-rzonek, które wyglądały jak zaczerpnięte z "Fantazji" Walta Disney'a. Niektóre wyglądały jak frędzlowate, trzepoczące się upiory wycięte z celofanu. Inne znów przypominały małe, czer-wonodziobe ptaszki z twardą skorupą zamiast piór. W świecie planktonu nie było granic dla wymyślnej wynalazczości natury. Surrealistyczny artysta nie wytrzymałby tu konkurencji z przyrodą.

Tuż pod równikiem, gdzie zimny Prąd Peruwiański skręca na zachód, mogliśmy wybierać z siatki parę kilo papki plankto-nowej co parę godzin. Masa ta leżała w siatce sprasowana jak przekładaniec składający się z kolorowych warstw — czerwonych, brązowych, szarych i zielonych, zależnie od rozmaitych ławic planktonu, przez które przepływaliśmy. W

nocy, kiedy występowała fosforescencja morza, łowienie planktonu było jakby wyciąganiem iskrzących się klejnotów. Lecz kiedy \*zdo-bycz była już wydobyta, skarby piratów zamieniały się w miliony błyszczących, drobnutkich raczków i fosforyzujących larw rybich, które jarzyły się w ciemności jak kupka żarzących się węgielków. Gdy wlewaliśmy to wszystko do wiadra, masa lała się jak magiczna kasza ugotowana ze świetlików. Nasz nocny połów wyglądał równie brzydko z bliska, jak ładnie z daleka, a pachniałtak samo nieprzyjemnie, jak dobrze smakował, jeżeli tylko zdobyliśmy się na odwagę wiania do ust świecących ogników. Kiedy w masie było dużo karłowatych raczków, plankton miał smak sałatki z homarów, raków lub krabów. Połów składający się z pelagicznej ikry przypominał w smaku kawior, a niekiedy ostrygi. Roślinny plankton albo był tak drobny, że przenikał z wodą przez oczka siatki, albo był tak duży, że można go było wybierać palcami. Ością w gardle stawały galaretowate jamochłony podobne do małych szklanych kulek, a także meduzy. Były gorzkie i trzeba je było usuwać. Poza tym całą resztę można było jeść albo na surowo, albo ugotowaną w słodkiej wodzie, jako kaszę lub zupę.

Skłonności i gusty są jak wiadomo różne. Dwóch z nas uważało plankton za przysmak, dwóch innych znosiło go całkiem dobrze, dwaj pozostali mieli dość już samego widoku. Z punktu widzenia wartości odżywczej plankton nie ustępuje większym skorupiakom, a dobrze przyrządzony i przyprawiony z pewnością rnoże stanowić pierwszorzędne danie dla wszystkich amatorów przysmaków morskich.

Wieloryb fiszbinowy, największe zwierzę na świecie, żywi się planktonem, co dowodzi, że drobne te organizmy dają dosyć potrzebnych kalorii. Nasza metoda połowu za pomocą siatki, często przegryzanej przez głodne ryby, wydawała się nam żałośnie prymitywna, kiedy siedząc na tratwie obserwowaliśmy przepływającego wieloryba, który wydmuchiwał

kaskady wody odcedzonej z planktonu przez celuloidową brodę.

Pewnego dnia straciliśmy naszą sieć w morzu.

— Czemu nie robicie tak, jak on, planktonożercy? — zapytali pogardliwie Torstein i Bengt, wskazując na tryskające fontanny wieloryba.

— Nabierzcie pełne usta wody i wydmuchujcie przez wąsy!

Widywałem już wieloryby z daleka, widziałem je również z odległości pół kroku w muzeum, lecz nigdy nie uważałem tych olbrzymich cielsk za normalne ciepłokrwiste zwierzęta, jak na przykład konia albo słonia. Z biologicznego punktu widzenia uznawałem zresztą, że wieloryb jest ssakiem, lecz w gruncie rzeczy była to duża, zimna ryba. Doznaliśmy jednak zupełnie innego wrażenia, kiedy wielkie wieloryby przewalały się tuż obok naszej tratwy.

Pewnego dnia siedzieliśmy jak zwykle na krawędzi, spożywając posiłek tak blisko wody, że wystarczyło pochylić się wstecz, żeby wypłukać nasze kubki, kiedy nagle coś prychnęło za nami głośno jak płynący koń. Wielki wieloryb podpłynął patrząc na nas z tak bliska, że widzieliśmy błysk jego wilgotnych nozdrzy świecących jak lakierowany but. Było to tak niezwykle słyszeć prawdziwy oddech tu, na morzu, gdzie wszystkie żywe stworzenia przewijają się cicho, wachlując skrzelami — że naprawdę mieliśmy w tej chwili serdeczne uczucia dla naszego dalekiego kuzyna, który podobnie jak i my błędził tak daleko od lądu.

Zamiast zimnego, podobnego do ropuchy wielorybiego re-kina, który nie miał nawet dość rozumu, żeby wytknąć nos dla /uczepnięcia świeżego powietrza, odwiedziło nas tu coś, co przypominało jowialnego hipopotama w ogrodzie zoologicznym, coś, co oddychało. Zrobiło to na mnie ogromnie sympatyczne wrażenie.

Wieloryby odwiedzały nas wielokrotnie. Najczęściej były to małe delfiny i kaszaloty, które pluskały się obok nas dużymi stadami, ale od czasu do czasu zjawiały się wielkie płetwale i inne giganty płynące małymi stadkami. Niekiedy przeciągały one obok jak statki na horyzoncie, wydmuchując w powietrze kaskady wody, lecz zdarzało się czasami, że sterowały prosto na nas. Gdy po raz pierwszy wielki wieloryb zmienił kurs i zdecydowanie ruszył prosto na tratwę, byliśmy przygotowani na niebezpieczne zderzenie.

Kiedy olbrzym zbliżał się, słyszeliśmy jego ciężki, długi wydech za każdym razem, gdy podnosił głowę z wody. Wydawało się, że nadchodzi olbrzymie, gruboskóre, niezgrabne zwierzę lądowe, które przepycha się przez fale i ma równie mało wspólnego z rybą, co nietoperz z ptakiem. Wieloryb podszedł do nas z lewej burty, gdzie staliśmy wszyscy na krawędzi tratwy, jeden zaś z współtowarzyszy, który siedział na maszcie, zawołał, że widzi jeszcze siedem czy osiem sztuk płynących ku nam.

Wielki i lśniący czarny łeb pierwszego wieloryba był nie dalej niż dwa metry od tratwy, kiedy zanurzył się nagle i ujrzeliśmy wówczas olbrzymi czarnobłękitny grzbiet wieloryba prześlizgujący się pod balami tuż obok naszych stóp. Potwór spoczywał tam przez chwilę, ciemny i nieruchomy, a my wstrzymywaliśmy oddech w piersi, patrząc na gigantyczne plecy zwierzęcia, znacznie większe od całej tratwy. Wtedy wieloryb zagłębił się powoli w błękitną wodę i zniknął nam z oczu. Po chwili mieliśmy już na karku całe stado, lecz nie zwracało ono na nas żadnej uwagi. Wieloryby, które nadużywały swej potężnej siły zatapiając uderzeniem ogona łodzie wielorybników, musiały być prawdopodobnie najpierw same zaatakowane. Całe przedpołudnie wieloryby dmuchały i prychały wokół nas tryskając fontannami wody w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, ale nie otarły się nawet o tratwę ani o wiosło sterowe.

Igrały po prostu swobodnie na falach, wygrzewając się na słońcu. Około południa całe stado jakby na sygnał dało nurka i zniknęło na dobre.

Nie tylko wieloryby widywaliśmy pod naszą tratwą. Kiedy unosiliśmy matę, na której sypialiśmy, w szparach między pniami widać było kryształowobłękitną wodę. Patrząc tak przez chwilę można było zauważyć srebrzystą płetwę piersiową lub ogonową, a niekiedy widziało się i całą rybę. Gdyby szpary były odrobinę szersze, moglibyśmy łowić ryby leżąc wygodnie w łóżku z wędką w ręku.

Najbardziej trzymały się nas złote makrele i ryby-piloty. Od momentu gdy pierwsza złota makrela przyłączyła się do nas koło Callao, nie było ani jednego dnia, w którym te wielkie ryby nie przewijałyby się wokół nas. Nie wiem, co przyciągało je do tratwy — chciały pływać z ruchomym dachem nad głową, czy też nęciło je pożywienie łatwe do zdobycia w naszym ogrodzie warzywnym składającym się z glonów, wodorostów i małżów, zwisających girlandami ze wszystkich pni i wiosła sterowego. Najpierw pojawiła się na pniach cienka warstwa zieleni, lecz zielone frędzle glonów rosły z tak zadziwiającą szybkością, że Kon-Tiki upodobił się do brodatego gнома morskiego, przelewającego się między falami. W gęstwinie porostów chroniły się małe rybki i nasi "pasażerowie na gapę" — kraby.

Były chwile, kiedy przewagę na tratwie poczęły uzyskiwać mrówki. Te małe, czarne owady żyły w niektórych pniach i kiedy wyszliśmy w morze, a wilgoć zaczynała przenikać drewno, mrówki wyroiły się z pni i wlały do naszych śpiworów. Rozpełzły się wszędzie gryząc i dokuczając nam tak, iż sądziliśmy już, że wygnają nas z tratwy. Lecz stopniowo na tratwie robiło się coraz wilgotniej; mrówki zrozumiały, że nie-jest to ich właściwy żywioł i zaledwie kilka pojedynczych egzemplarzy wytrzymało z nami do końca podróży. Jeżeli nie liczyć krabów, najlepiej powodziło się na tratwie skorupiakom, które miały 3—4 centymetrów długości. Wyrastały one setkami, szczególnie na osłoniętej od wiatru stronie, i chociaż wrzucaliśmy stare do kotła z zupą, przybywały ciągle nowe. Skorupiaki miały świeży i delikatny smak. Zbieraliśmy na sałatkę również wodorosty, ale były one mniej smaczne. Nie zauważyliśmy nigdy, aby złote makrele żerowały w naszym ogrodzie warzywnym, lecz widzieliśmy, jak odwracały one w górę swoje błyszczące brzuchy i nurkowały pod pnie. Złota makrela jest wspaniale ubarwioną tropikalną rybą, mierzy zwykle metr lub półtora, ma spłaszczone boki i stosunkowo wielką głowę.

Wciągnęliśmy kiedyś na pokład okaz półtorametrowy z głową o długości 37 centymetrów.

W wodzie złote makrele mieniły się zielenią i błękitem i błyszczały żółtozłotymi płetwami. Lecz gdy wydostaliśmy je na tratwę, przedstawiały dziwny widok. Ryba zasypiając ciemniała i stawała się srebrnoszara z czarnymi plamami, a w końcu robiła się cała srebrnobiała. Trwało to cztery czy pięć minut, później dawne kolory znowu pojawiały się znowu. Nawet w wodzie złote makrele zmieniały niekiedy z byle powodu barwy jak kameleony i często spostrzegaliśmy "nowy rodzaj" błyszczącej miedzią ryby, która po bliższym przyjrzeniu się okazywała się naszym starym przyjacielem.

Płaski pysk, upodabniający złotą makrelę do buldoga, zawsze przecinał powierzchnię wody, kiedy drapieżna ryba rzucała się jak torpeda za ławicą uciekających ryb. Gdy makrela była w dobrym - humorze, przewracała się na bok, nabierała szybkości, wyskakiwała wysoko w powietrze i jak płaski naleśnik, spadała z pluskiem na powierzchnię, wzbijając fontanny.

Zaledwie dotknąwszy wody, powtarzała skok poprzez fale, jeszcze jeden i jeszcze jeden. Ale kiedy była w złym humorze, na przykład gdy wyciągaliśmy ją na tratwę, rzucała się i gryzła.

Torstein kulał przez jakiś czas chodząc z zabandażowanym wielkim palcem u nogi, gdyż postawił kiedyś przypadkowo stopę w pobliżu paszczy ryby, która wykorzystwała okazję do zwarcia szczęk i ugryzła mocniej niż zwykle. Po powrocie z wyprawy słyszeliśmy, że złote makrele atakują, a nawet pożerają kąpiących się ludzi. Nie było to zbyt pochlebne dla nas, jako że pluskaliśmy się codziennie między nimi, a jednak nie wykazywały one żadnego zainteresowania się nami. Złote makrele są istotnie strasznymi drapieżnikami; znajdowaliśmy w ich żołądkach ośmiornice i latające ryby.

Te ostatnie były ulubioną potrawą złotych makreli. Jeżeli cokolwiek pluskało na powierzchni wody, makrele rzucały się na oślep w nadziei, że jest to latająca ryba. Często w senne godziny poranne, gdy na wpół jeszcze drzemiąc wychodziliśmy z szałasów i zanurzaliśmy w morzu szczoteczki do zębów, trzeźwiliśmy na dobre, gdy piętnastokilowa ryba wystrzelała jak błyskawica 'spod tratwy i rzucała się na szczoteczkę. A kiedy siadaliśmy spokojnie do śniadania na brzegu tratwy, zdarzało się, że złote makrele wyskakiwały w powietrze prezentując jedno ze swoich energiczniejszych bocznych pluśnień, tak że woda morska lała się nam na plecy i na jedzenie.

Pewnego

dnia,

gdy

siedzieliśmy

przy

obiedzie,

Torstein

urzeczywistnił

najfantastyczniejszą ze wszystkich przechwałek rybackich. Odłożył nagle widelec, wsadził

rękę do morza i zanim ktokolwiek zrozumiał, o co chodzi, woda zakotłowała się i wielka złota makreła wpadła pomiędzy nas. Stało się to w ten sposób, że Torstein złapał za koniec linki prześlizgującej się obok w wodzie; na drugim jej końcu wisiała mocno zdziwiona ryba, która urwała się Erikowi z wędki parę dni temu.

Nie było dnia, aby sześć czy siedem złotych makreli nie towarzyszyło nam zataczając koła i podpływając pod tratwę. W gorsze dni zdarzało się, że było ich tylko dwie lub trzy, ale już w dzień później zjawiało się ich trzydzieści lub czterdzieści. Jeżeli chcieliśmy mieć świeżą rybę na obiad, z reguły wystarczyło uprzedzić kucharza dwadzieścia minut wcześniej, wtedy brał on krótką bambusową tyczkę, przywiązywał do niej linkę i nawlekał na haczyk pół

latającej ryby. W oka mgnieniu zjawiała się złota makreła, prując powierzchnię wody głową i goniąc za przynętą, a za nią pędziły dwie, trzy inne. Była to wspaniała ryba dla wędkarza, a świeżo złowiona miała mięso jędrne i delikatne — coś pośredniego między dorszem a łososiem. Można je było przechowywać przez dwa dni, i to nam wystarczało, bo ryb w morzu było dosyć.

Z rybami-pilotami zaznajomiliśmy się w inny sposób: przyprowadzały je rekiny i pozostawiały nam do zaadoptowania po swej śmierci. Wkrótce po wyjściu w morze rekiny złożyły nam wizytę i stały się niemal codziennym zjawiskiem. Niekiedy żarłacz zbliżał się podpływając jakby tylko dla zlustrowania tratwy i po zatoczeniu kilku kół znikał w pogoni za zdobyczą. Najczęściej jednak drapieżnik zajmował pozycję na czatach tuż za wiosłem sterowym, gdzie bezszelestnie przesuwiał się z prawej strony na lewą i od czasu do czasu lekko poruszał ogonem, by nadążyć za ruchem tratwy. Wielki, szaroniebieski kadłub żarłacza wydawał się brunatny w prześwietlonej słońcem wodzie tuż pod powierzchnią i poruszał się w górę i w dół na fali, tak że płetwa grzbietowa zawsze złowieszczo sterczała z wody. Czasem silna fala podnosiła rybę powyżej poziomu tratwy i mogliśmy ją zobaczyć dokładnie z boku.

Majestatycznie sunęła ku nam jakby za szklaną ścianą, otoczona płochliwą świtą małych ryb-pilotów, pływających koło jej paszczy. Przez kilka sekund wydawało się, że zarówno żarłacz, jak i jego prądkownicy towarzysze zamierzają wpłynąć prosto na pokład, po czym statek przechylał się na nawietrzną stronę, wzbijał się ponad grzebień fal i ześlizgiwał się.

Z początku mieliśmy wielki respekt dla żarłaczy z powodu ich reputacji i straszliwego wyglądu. Wielkie ciało o opływowym kształcie było jednym węzłem stalowych mięśni, obrazem nieujarzmionej siły, a szeroka, płaska głowa z małymi, zielonymi, jakby kocimi oczkami i olbrzymim pyskiem, który mógł przełknąć piłkę nożną, przedstawiała obraz okrutnej drapieżności. Kiedy słyhać było głos sternika: "Rekin po lewej burcie" albo: "Rekin po prawej burcie" — wychodziliśmy na pokład chwytając harpuny i ościenie i ustawialiśmy się wzdłuż krawędzi tratwy. Żarłacz zwykle prześlizgiwał się obok, z płetwą grzbietową tuż przy pniach.

Nasz respekt dla rekina wzrósł, kiedy zobaczyliśmy, że ościenie zwijają się jak *spaghetti*<sup>27</sup> przy uderzeniu o pancerz grzbietowy ryby, szorstki jak papier ścierny, a ostrza harpunów łamią się w ogniu walki. Jedynym efektem, jeśli udało się nam przebić skórę i dostać do czaszki lub mięśni, była wściekła walka, od której woda gotowała się dokoła tratwy, dopóki rekin nie wyrwał się i nie umknął pozostawiając na wodzie rozszerzającą się plamę tranu.

Ażeby nie stracić naszego ostatniego harpuna, związaliśmy razem pęk największych haczyków na ryby i umieściliśmy je w ciele złowionej makreli. Przynętę umocowaną na kilku stalowych linkach, przywiązanych do liny ratunkowej, wyrzuciliśmy za burtę. Rekin nadpłynął

pewnie i spokojnie, wynurzył pysk z wody, otworzył swą wielką, półksiężycowatą paszczę i przełknął gładko całą makrelę. I tuśmy go mieli. Rozpoczęła się walka, podczas której żarłacz miotał się w spienionej wodzie, lecz

my trzymaliśmy linę mocno i mimo zaciętego oporu podciągnęliśmy draba aż do rufowych bali tratwy, gdzie drapieźnik leżał spokojnie i wyczekująco i tylko rozdziawiał

paszczę, jak gdyby chcąc nas przestraszyć rzędami zębów podobnych do ostrza piły. Tutaj, wykorzystując wielką falę, wciągnęliśmy żarłacza na mokre i śliskie od porostów pnie i po zarzuceniu pętli na płetwę ogonową, uciekliśmy z zasięgu uderzeń ogona, dopóki nie skończył

się taniec wojenny.

W czasie pierwszego złowionego rekina tkwiło ostrze naszego własnego harpuna i sądziliśmy z początku, że to było przyczyną jego słabego zapału do walki. Lecz później łowiliśmy jednego żarłacza za drugim i za każdym razem szło nam równie łatwo. Jeżeli nawet rekin ciągnął i szarpał linę i bywał nader trudny do schwytania, to skoro tylko potrafiliśmy utrzymać linę naciągniętą sztywno, nie ustępując w tych zawodach ani na cal, stawał się uległy i nigdy nie próbował wykorzystać całej swej olbrzymiej siły. Żarłacze, które wyciągaliśmy na pokład, mierzyły zwykle od dwóch do trzech metrów i były błękitne lub brązowe. Te ostatnie miały mięśnie pokryte tak twardą skórą, że nie mogliśmy jej przebić nawet ostrym nożem.

Skóra na brzuchu była równie twarda, a pięć otworów skrzelowych po każdej stronie za głową stanowiło jedynie wrażliwe miejsca. Kiedy wyciągaliśmy żarłacza z wody, tkwiły na nim śliskie, czarne tarczogłowy. Przyczepione były tak mocno za pomocą owalnych tarczowatych przyssawek na płaskich głowach, że nie mogliśmy ich oderwać, nawet kiedy ciągnęliśmy mocno za ogony. Same jednak potrafiły odzepić się w ciągu sekundy, żeby przyssać się do 27 Spaghetti - długi, cienki makaron, popularne danie kuchni włoskiej.

innych żywicieli. Kiedy już im się znudziło trzymanie się starego gospodarza, który nie wracał

do wody, odskakiwały i znikały w szparach między balami, żeby odpłynąć i poszukać sobie innego rekina. Jeśli zaś tarczogłów nie trafiał na rekina, przysysał się do pierwszej lepszej ryby.

Wielkość tarczogłowa waha się od długości palca do długości stopy. Próbowaliśmy tarego, używanego przez krajowców sposobu: kiedy złapią oni .ywego tarczogłowa, przywiązują sznurek do ogona ryby i pu-/czają ją do wody. Tarczogłów przyczepia się wtedy do pierw-/.ej lepszej ryby i chwytą się jej tak mocno, że szczęśliwy rybak, ciągnąc za sznurek, wyciąga dwie ryby na raz. Nam się to nigdy nie udawało. Za każdym razem gdy puszczaaliśmy do wody tarczogłowa ze sznurkiem uwiązanym wokół ogona, przysy-sał się on natychmiast do jednego z pni tratwy w przekonaniu, że znalazł szczególnie wielkiego rekina, i wisiał tam, choćbyśmy nie wiem jak mocno ciągnęli za sznurek. Stopniowo zebraliśmy w ten sposób całą kolekcję małych tarczogłówów, które uparcie

wisiały między skorupiakami na spodniej stronie tratwy i jechały z nami przez cały Pacyfik.

Ale tarczogłów był głupi, brzydki i nigdy nie stał się tak miłym członkiem naszej trzódki, jak jego wesoły towarzysz, ryba-pilot. Te małe rybki o kształcie cygara, pręgowane jak zebra, pomykają szybko i gromadnie przed pyskiem rekina. Otrzymały one nazwę pilotów, gdyż przypuszczano, że pilotują one swego ślepego przyjaciela, rekina, przez morza. W

rzeczywistości płyną one po prostu z żarłaczem, a jeśli pilotują go, to tylko wówczas kiedy zoczą coś do jedzenia w swoim własnym polu widzenia. Ryba-pilot towarzyszyła swemu panu i władcy do ostatniej chwili, ponieważ jednak nie mogła ona czepiać się skóry żarłacza jak tarczogłów, była zupełnie oszołomiona, kiedy rekin zniknął w powietrzu unoszony pa tratwę i nie powracał więcej. Rybki-piloty miały się wówczas na wszystkie strony w poszukiwaniach i powracały stale do miejsca na lufie, gdzie rekina wyciągnięto z wody. Gdy zaś czas mijał, a rekin nie wracał, rybki musiały oglądać się za nowym panem i władcą. A któryż był bliżej niż Kon-Tiki?

Kiedy przewieszaliśmy się przez krawędź tratwy zanurzając głowy w kryształowo czystej wodzie, spód tratwy wydawał się nam brzuchem potwora morskiego. Wiosło sterowe przypominało ogon, a wysuwane miecze zwisały jak szerokie płetwy. Pośrodku tego wszystkiego zaadoptowane rybki płynęły stadkiem bok przy boku, nie zwracając niemal uwagi na głowy ludzkie bulgocące pęcherzykami powietrza; jedynie ta i owa zbliżała się szybko ku naszym nosom, węsząc dokoła, ale zaraz powracała, aby zająć z powrotem miejsce w szeregu żwawych pływaków.

Nasi piloci patrolowali zwykle w dwóch grupach: część z nich przewijała się między mieczami, pozostałe zaś płynęły wdzięcznym

wachlarzem przed dziobem. Od czasu do czasu rzucały się one przed siebie, żeby złapać jakieś jadalne resztki mijane po drodze, a po posiłku, gdy myliśmy naczynia w wodzie, zdawało się nam, że wysypywaliśmy do morza całe pudełko cygarowatych pręgowanych rybek. Nie było ani jednego kawałka, którego by szybkie rybki nie zdążyły zbadać i połknąć, chyba że były to potrawy roślinne. Te miłe rybki schroniły się pod nasze opiekuńcze skrzydła z takim dziecinnym zaufaniem, że podobnie jak rekin troszczyliśmy się o nie po ojcowsku. Stały się one morską trzódką Kon-Tiki i łowienie ryb-pilotów było na tratwie niedozwolone.

Mieliśmy w naszej świcie ryby, które weszły dopiero w wiek młodzieńczy i nie osiągały całej długości, podczas gdy dorosłe mierzyły około pół stopy. Kiedy wieloryb! rekin uniknął z szybkością błyskawicy trafiony w czaszkę harpunem Erika, niektóre z ryb-pilotów poszły za zwycięzcą; miały one ze dwie stopy długości. Po dalszych zwycięstwach nad rekinami, Kon-Tiki zwiększył wkrótce swoją świtę do czterdziestu czy pięćdziesięciu ryb-pilotów. Większość z nich tak polubiła naszą spokojną żeglugę i codzienne ochłapy, że szła za nami tysiące mil przez ocean.

Lecz zdarzali się i zdrajcy. Pewnego dnia stojąc przy wiosle sterowym zauważyłem, że na południe od nas morze nagle za-kipiało, i ujrzałem wielką ławicę złotych makreli pędzących przez fale jak srebrne torpedy. Nie płynęły one jak zwykle, pluskając się na płaskich bokach, lecz gnały wściekle, bardziej w powietrzu niż w wodzie. Błękitne fale zbielewały od piany roz-bryzgiwanej przez tłum uciekinierów, a za nimi gnał jakiś czarny grzbiet przecinający drogę zygzakami, niczym ścigacz. Zrozpaczone makrele strzeliły przez fale wprost ku tratwie i po-grążyły się pod nią, a około setki

zbiło się w ciasną ławicę i pomknęło na wschód, aż całe morze za tratwą rozbłysło kolorami. Lśniący grzbiet prześladowcy wynurzył się do połowy K wody, wszedł wdzięcznym łukiem pod tratwę i pomknął za ławicą makreli. Był to diabelnie wielki niebieski rekin, co najmniej sześciometrowej długości. Kiedy drapieżnik zniknął, wiele ryb-pilotów poszło za nim. Znalazły ciekawszego od nas przywódcę i bohatera morza.

Stworzenia morskie, przed którymi jednak najczęściej ostrzegali nas znawcy, to olbrzymie ośmiornice; mogły one bowiem dostać się na pokład tratwy, W Towarzystwie Geograficznym w Waszyngtonie pokazywano nam opisy i dramatyczne zdjęcia robione przy świetle magnezji na tych obszarach Prądu Humboldta, gdzie potwory miały ulubione schronisko i wychodziły w nocy na powierzchnię wody. Ośmiornice były tak żarłoczne, że jeżeli jedna z nich przysssała się do kawałka mięsa-przynęty i zawisała na haku, inne rzucały się i zaczynały ją pożerać. Głownogi miały macki, które mogły wykończyć rekina i zostawiały brzydkie ślady na bokach wielorybów, a ponadto posiadały zbójceki, „sępi dziób ukryty pomiędzy mackami. Wyjaśniano nam, że ośmiornice leżą na wodzie świecąc fosforyzującymi oczyma i mają dość długie ramiona, żeby dosięgnąć najdalszego zakątka tratwy, nawet gdyby nie zamierzały wejść na nią. Poczucie wokół szyi zimne ramię, które w nocy wyciąga nas ze śpiworów — nie, ta perspektywa nie podobała się nam ani trochę. Toteż „każdy z nas zaopatrzył

się w podobną do szabli mache-tę, na wypadek gdybyśmy się mieli obudzić w objęciach groź-

nych ramion głownoga. Gdy rozpoczynaliśmy podróż, morscy eksperci w Peru opowiadali wiele o ośmiornicach i pokazywali mapy najniebezpieczniejszych obszarów właśnie w samym Prądzie Humboldta.

Przez -dłuższy czas nie widzieliśmy żadnej ośmiornicy ani w morzu, ani na pokładzie.

Pewnego ranka jednak otrzymaliśmy pierwsze ostrzeżenie o ich obecności w tych wodach. Po wschodzie słońca znaleźliśmy na pokładzie pomiot ośmiornicy; było to maleństwo nie większe od kota, które dostało się w ciągu nocy na pokład i leżało teraz martwe z ramionami oplecionymi wokół bambusa, przed wejściem do szalasu. Gęsty i czarny atramentowy płyn rozlał się na pokładzie i tworzył kałużę wokół głownoga. Zapisaliśmy w dzienniku okrętowym stronę czy dwie tym atramentem podobnym do tuszu i ku 'zadowoleniu złotych makreli, wyrzuciliśmy przybysza za burtę. . Widzieliśmy w tym nieznacznym incydencie zapowiedź nocnych wizyt znacznie większych gości. Jeżeli dostało się na pokład takie maleństwo, z pewnością mogli uczynić to samo jego głodni rodzice. Nasi przodkowie musieli mieć podobne uczucie, kiedy siedząc w łodziach Wikingów myśleli o smoku morskim. Lecz następny wypadek zaskoczył nas zupełnie. Któregoś ranka znaleźliśmy małego głownoga na palmowych liściach na dachu szalasu. Nie mógł wleźć tam po ścianie, gdyż atramentowe ślady widniały tylko na środku dachu wokół zwierzęcia. Nie mógł go też upuścić ptak morski, gdyż ośmiornica była zupełnie nie uszkodzona, bez śladu szponów i dzioba. Doszliśmy do wniosku, że ośmiornica została wyrzucona na dach przez wielki bałwan, chociaż żaden z nocnych wachtowych nie mógł sobie przypomnieć takiej fali. Z upływem dalszych nocy znajdowaliśmy coraz to więcej młodych ośmiornic na pokładzie; najmniejsze z nich były wielkości palca.

Wkrótce młode głownogi, leżące rankami na pokładzie obok ryb latających, nawet przy dobrej pogodzie stały się zjawiskiem codziennym. Były to młode osobniki, z prawdziwie szatańskiego



gatunku, mające osiem długich ramion pokrytych przyssawkami i dwa, jeszcze dłuższe, ze zrogowaciałymi hakami na końcach. Ale wielkie ośmiornice nigdy nie pokazały się na pokładzie. Widzieliśmy fosforyzujące oczy tych potworów, krążących na powierzchni wody w ciemne noce. Raz za dnia zobaczyliśmy kotłujące się i spienione morze, podczas gdy coś podobnego do wielkiego koła wyskoczyło kręcąc się nad powierzchnią; nasze złote makrele próbowały ucieczki rozpaczliwym skokiem w powietrze. Nie wiedzieliśmy wtedy, czemu małe ośmiornice były naszymi stałymi - nocnymi gośćmi, a wielkie nigdy nie zjawiały się na pokładzie. Rozwiązanie tej zagadki znaleźliśmy dopiero w dwa miesiące później — a były to miesiące bogate w doświadczenia — kiedy wyszliśmy już ze strefy osławionych ośmiornic.

Młode głowonogi w dalszym ciągu pokazywały się na tratwie. Pewnego słonecznego poranka ujrzeliśmy wszyscy ławicę czegoś, co wyskakiwało z wody i leciało w powietrzu jak wielkie krople deszczu, podczas gdy morze kotłowało się od goniących makreli. Z początku sądziliśmy, że mamy do czynienia z ławicą latających ryb, których trzy rodzaje mieliśmy już na pokładzie. Lecz kiedy lśniąca ławica podeszła bliżej, niektóre stworzenia zaczęły przelatywać nad tratwą na wysokości około półtora metra, a jedno plasnęło w pierś Bengta i upadło na pokład. Była to, ku naszemu wielkiemu zdziwieniu, mała ośmiornica. Wrzuciliśmy ją do brezentowego wiadra z wodą morską, skąd próbowała wyskoczyć, lecz nie mogła na tak małej przestrzeni rozwinąć dostatecznej szybkości i wychylić się z wody więcej niż do połowy ciała.

Znaną rzeczą jest, że ośmiornice poruszają się na tej samej zasadzie co samolot odrzutowy.

Pompują one z wielką siłą wodę przez rurkę idącą wzdłuż całego ciała i mogą w ten sposób poruszać się z wielką szybkością, płynąc tyłem posuwistymi skokami. Jednocześnie głowonóg składa swoje macki pękiem wokół głowy, uzyskując — jak ryba — opływową linię. Po obu stronach ciała ośmiornica ma dwie okrągłe mięsiste fałdy używane zwykle dla sterowania i spokojnego, wolnego pływania. Okazało się zatem, że bezbronne małe ośmiornice, zwykłe pożywienie wielu wielkich ryb, mogą umknąć swoim prześladowcom wyskakując w powietrze, podobnie jak to czynią latające ryby. Urzeczywistniły one zasadę lotu raketowego na długo przedtem, zanim geniusz ludzki wpadł na ten pomysł. Pompując przez siebie wodę ośmiornice nabierają wielkiej szybkości i ukośnie sterują ku powierzchni wody rozpinając swoje fałdy skórne jak skrzydła. Podobnie jak latające ryby, głowonogi żeglują wówczas lotem ślizgowym nad falami tak daleko, jak im na to pozwala nabyta szybkość. Od czasu kiedy zwróciliśmy na nie uwagę, widzieliśmy często ośmiornice szybujące na odległość pięćdziesięciu, sześćdziesięciu metrów pojedynczo albo po dwie i po trzy naraz. Fakt, że ośmiornice mogą uprawiać lot ślizgowy, był nowością dla wszystkich zoologów spotkanych przez nas później.

Jako gość krajowców na wyspach Oceanu Spokojnego, jadałem często ośmiornice; smakują one jak mieszanina homara z kauczukiem. Na Kon-Tiki ośmiornice figurowały w jadłospisie na ostatnim miejscu. Spadające na pokład głowonogi wymienialiśmy natychmiast na coś lepszego. Zamianę robiliśmy nadziewając ośmiornice na haczyk jako przynętę i wyciągając je £ powrotem razem z wielką smakowitą rybą. Tuńczyki i bonity lubiły właśnie młode ośmiornice, a były to ryby zajmujące honorowe miejsce w naszym jadłospisie. Lecz nie tylko na te znane ryby natykaliśmy się krążąc po płaszczyźnie oceanu. Dziennik nasz zawiera wiele notatek tego rodzaju:

11.V. “Dzisiaj wielkie zwierzę morskie dwukrotnie wyszło na powierzchnię wody, kiedy

siedzieliśmy na krawędzi tratwy przy kolacji. Zakotłowało się straszliwie i znikło. Nie mamy pojęcia, co to mogło być”.

6.VI. “Herman widział dzisiaj grubą rybę z ciemnym grzbietem, szerokim białym tułowiem i cienkim ogonem z kolcami. Wyskoczyła ona kilka razy z morza po prawej burcie.

16.VI. “Ciekawą rybę zauważyliśmy z lewa od dziobu. Długość dwa metry, w najszerszym miejscu trzydzieści centymetrów, długi brązowy cienki łeb, wielka płetwa grzbietowa blisko głowy i druga mniejsza w środku grzbietu, gruba płetwa ogonowa w kształcie sierpa. Ryba pływała blisko powierzchni wody wijąc się jak węgorz. Dała nurka, kiedy Herman i ja wybraliśmy się po nią na gumowej tratwce z harpunami w rękę. Zjawiała się znowu później, lecz zanurzyła się i znikła”.

17.VI. “Erik siedział na maszcie o dwunastej w południe i spostrzegł trzydzieści czy czterdzieści długich, cienkich ryb tego gatunku co wczoraj. Pływały one teraz z wielką szybkością z lewej burty i znikły za rufą, jak wielki brązowy cień”.

18.VI. “Knut zaobserwował stworzenie podobne do węża, długie i wysmukłe, stojące pionowo w wodzie pod samą powierzchnią; dało ono nurka w głąb, sunąc jak wąż”.

W kilku wypadkach przesuwaliśmy się obok ogromnej ciemnej masy leżącej nieruchomo pod powierzchnią wody jak ukryta rafa podwodna. Była to prawdopodobnie osławiona płaszczka olbrzymia. Nie ruszała się ona nigdy, my zaś byliśmy za daleko, aby móc dokładnie zaobserwować jej kontury.

Z takim towarzystwem w wodzie czas się nam nie dłużył. Gorzej bywało, kiedy sami musieliśmy nurkować, aby obejrzeć wiązania na spodniej stronie tratwy. Pewnego dnia oderwał się jeden z wysuwanych mieczy i ześliznął się pod tratwę, gdzie ugrzął między linami tak, że nie łatwo go było wydostać. Najlepszymi nurkami byli Herman i Knut. Herman dwa razy wchodził pod tratwę i leżał tam między makrelami i pilotami, szarpiąc i ciągnąc miecz.

Wyszedł właśnie z wody po raz drugi i usiadł na krawędzi tratwy, aby zaczerpnąć tchu, gdy nagle ujrzyliśmy ośmiostopowego rekina wynurzającego się powoli i płynącego w kierunku stóp Hermana nie dalej niż o trzy metry. Możliwe, że skrzywdziliśmy rekina, podejrzewając go o złe zamiary, lecz na wszelki wypadek wbiliśmy mu harpun w czaszkę. Żarłacz istotnie poczuł

się dotknięty i zaczęła się walka, w wyniku której ryba zniknęła pozostawiając na placu boju plamę tranu. Miecz pozostał pod tratwą, zaplątany w liny.

Wtedy Erik wpadł na pomysł zbudowania kosza do nurkowania. Mieliśmy niewiele surowców na składzie, lecz użyliśmy bambusa, sznurów i starego wiklinowego kosza po orzechach kokosowych. Nadbudowaliśmy kosz za pomocą bambusa i plecionki ze sznura, a następnie na linach opuszczaliśmy się w nim pod wodę. Nasze nogi wabiące drapieżników były teraz chronione koszem i jeżeli nawet plecionka z lin miała tylko psychologiczny wpływ na nas i na ryby, to jednak w razie napadu mogliśmy momentalnie przykucnąć w środku kosza i towarzysze bezpiecznie wyciągali nas na pokład.

Nasza osłona okazała się nie tylko użyteczną, lecz z czasem stała się źródłem rozrywek.

Dawała nam ona pierwszorzędną okazję do studiowania pływającego akwarium, które mieliśmy pod podłogą.

Gdy po morzu toczyła się spokojna długa fala, włączyliśmy po kolei do kosza i pozwalaliśmy się opuszczać pod wodę, jak długo starczało oddechu. Świat był tam osobliwie rozjaśniony potokami światła bez cieni. Pod powierzchnią wody promienie świetlne traciły określony kierunek, który miały w naszym świecie nadwodnym. Załamujące się światło przychodziło zarówno z dołu, jak i z góry, słońce nie świeciło już nad nami, lecz było wszechobecne. Gdy patrzyliśmy na dno tratwy, promieniowało ono na całej powierzchni wraz z dziewięciu wielkimi balami i całą siecią wiązań; wszystko było skąpane w magicznej poświacie. Wiosenno-zielone wodorosty powiewały wieńcem wokół wszystkich krawędzi tratwy i na całej długości sterowego wiosła. Ryby-piloty poruszały się w szeregach jak zebry w rybiej postaci, a wielkie złote makrele zataczały koła, płynąc niespokojnymi, porywistymi ruchami w poszukiwaniu zdobyczy. Gdzieś światło padało na żywiczne, czerwone drzewo miecza, który wystawał od dołu ze szczeliny; siedziały na nim spokojne kolonie białych wicionogów, rytmicznie napędzających tlen i żywność swoimi żółtawymi frędzlami. Jeżeli ktokolwiek zanadto się do nich zbliżył, zwiierały czerwono i żółto obrzeżone skorupki i zamykały drzwi, aż niebezpieczeństwo się nie oddaliło. Światło tu w dole było cudownie czyste i kojące dla nas, przyzwyczajonych do tropikalnego słońca na pokładzie. Nawet gdy patrzyliśmy w dół, w bezdenne głębie morskie, gdzie panuje wieczna czarna noc, ciemność wydawała się nam przyjemnie błękitna, rozjaśniona odbitymi promieniami słońca. Skoro tylko wchodziliśmy pod wodę, w czystej, błękitnej otchłani widzieliśmy ku naszemu zdumieniu także głęboko płynące ryby. Mogły to być bonity lub inne gatunki ryb, które płynęły na takiej głębokości, że nie mogliśmy ich odróżnić. Niekiedy szły one w olbrzymich ławicach.

Zapytywaliśmy siebie wtedy, czy cały ocean jest pełen ryb, czy też wszystkie ryby zebrały się właśnie pod Kon-Tiki, ażeby dotrzymać nam towarzystwa.

Największą popularnością cieszyło się nurkowanie wówczas, kiedy odwiedzały nas wielkie złotopłetwe tuńczyki. Zdarzało się, że ryby te podchodziły do tratwy dużymi ławicami, lecz najczęściej tylko po dwie albo trzy pływały wokół nas przez szereg dni, chyba że udało się nam zwabić je na haczyk. Z tratwy wyglądały one po prostu jak wielkie, brązowe, ciężkie ryby nie odznaczające się elegancją. Lecz kiedy schodziliśmy do nich w dół, do ich właściwego żywiołu, zmieniały one natychmiast zarówno kształt, jak i kolor. Przemiana była tak oszałamiająca, że wiele razy wychodziliśmy na powierzchnię, aby sprawdzić czy rzeczywiście była to ta sarna ryba. W wodzie nie zwracały na nas żadnej uwagi; niezamięczone kontynuowały swoje majestatyczne manewry, lecz zyskiwały teraz dziwną wytworność kształtów. Ich barwa zaś stawała się metaliczna, mieniająca się bladofioletowym odcieniem. Te potężne torpedy z błyszczącej stali i srebra, o doskonałych proporcjach i opływowych kształtach wprawiały w ruch swoje siedemdziesiąt—osiemdziesiąt kilo lekko poruszając jedną czy dwiema płetwami.

Prześlizgiwały się w wodzie z nieposzlakowaną gracją.

Im bliżej wchodziliśmy w kontakt z oceanem i wszystkim, co do niego należało, tym mniej był dla nas obcy. Coraz bardziej czuliśmy się w domu. Nauczyliśmy się poważać stare, prymitywne ludy żyjące z

Oceanem Spokojnym i znające morze znacznie lepiej niż my. My, biali, obliczyliśmy zawartość soli w wodzie i daliśmy tuńczykom i makrelom łacińskie nazwy.

Oni tego nie uczynili. Sądzę jednak, że te ludy natury posiadały prawdziwszy obraz morza niż my.

Oko ludzkie nie miało prawie na czym spocząć na morzu. Fale i ryby, słońce i gwiazdy zjawiały się i odchodziły. Na przestrzeni 8 000 kilometrów, które oddzielają Oceanię od Peru, nie ma żadnego stałego lądu. Dlatego też byliśmy mocno zdziwieni, kiedy zbliżając się do setnego stopnia długości geograficznej odkryliśmy, że na mapie Oceanu Spokojnego właśnie na naszym kursie była naniesiona rafa. Zaznaczono ją małym kółeczkiem, a ponieważ mapa była wydana niedawno, zajrzeliśmy do locji<sup>28</sup> Ameryki Południowej. Przeczytaliśmy tam: "W

roku 1906, a później w roku 1926, raportowano o istnieniu kipieli 600 mil morskich na południowy zachód od Galapagos, na szerokości południowej 6°42' i długości zachodniej 99°13'. W roku 1927 pewien parowiec przechodził o milę na zachód od tej pozycji, lecz kipieli nie zaobserwował. W roku 1934 inny statek przeszedł o jedną milę na południe od domniemanej rafy i również nic nie zauważył. Statek motorowy "Cowrie", sondując w 1935

roku w tym miejscu do głębokości 160 sążni, nie sięgnął dna".

Zgodnie z mapą miejsce to w dalszym ciągu uważano widocznie za niebezpieczne dla żeglugi, a ponieważ okręty o dużym zanurzeniu podchodząc blisko do mielizny ryzykują znacznie bardziej niż my na tratwie, postanowiliśmy sterować prosto na punkt zaznaczony na mapie i zobaczyć, co tam znajdziemy. Rafa była oznaczona trochę dalej na północ od naszego kursu, położyliśmy więc ster na prawą burtę i zrefowaliśmy żagiel, tak że dziób wskazywał na północ, a wiatr i fale nadchodziły z prawej burty. Zaraz też trochę więcej wody niż zwykle zaczęło obryzgiwać śpiwory, zwłaszcza że wiatr *zaczai* się wzmacniać.

Zauważyliśmy jednak ku naszej satysfakcji, że Kon-Tiki mógł manewrować pewnie i bezpiecznie pod nieoczekiwane wielkim kątem do wiatru, jeżeli tylko wiatr wiał z rufowej ćwiartki<sup>29</sup>. W przeciwnym wypadku żagiel okręcał się wokół masztu i mieliśmy znowu ten sam zwariowany cyrk z opanowaniem tratwy. Przez dwa dni i dwie noce utrzymywaliśmy tratwę na kursie północno-zachodnim. Rosły grzebienie fal, które stawały się wprost niemożliwe do określenia, kiedy pasat zaczął oscylować między południowym wschodem a wschodem.

Kołysaliśmy się na falach biegnących ze wszystkich możliwych kierunków.

U szczytu masztu stale tkwił obserwator, a nasz horyzont rozszerzał się znacznie, kiedy wchodziliśmy na grzbiet fali. Grzebienie bałwanów sięgały o dwa metry ponad poziom dachu bambusowego szałas, a gdy dwie fale energicznie zwierzały się w pojedynku, rosły one jeszcze wyżej i wystrzelały w strzępiastą wieżę wodną, która waliła się w dół we wszystkich kierunkach. W nocy barykadowaliśmy otwór szałas skrzynkami z prowiantem, lecz i tak legowisko bywało mokre. Zaledwie usnęliśmy, gdy fala walnęła po raz pierwszy w bambusową ścianę.

Tysiące strumyków wody trysnęło jak fontanna przez bambusową plecionkę, a pieniący się wodospad wpadł na skrzynki i spływał na nas.

— Telefonuj po hydraulika — usłyszałem senną uwagę, kiedy kuliliśmy się, żeby pozwolić wodzie spłynąć przez podłogę. Ale hydraulika nie było i nie była to jedyna kąpiel tej nocy. Nawet wielka słońta makrela dostała się na pokład podczas wachty Hermana. Następnego dnia fale były jinniej skotłowane, gdyż pasat zdecydował się teraz wiać jakiś czas prosto ze

'wschodu. Luzowaliśmy się nawzajem na szczycie masztu, spodziewając się po południu osiągnięcia zaznaczonego punktu. Zauważyliśmy tego dnia na oceanie większe ożywienie niż zwykle; może zresztą było to wynikiem baczniejszej obserwacji.

W ciągu popołudnia zobaczyliśmy wielką rybę-miecz zbliżającą się do tratwy tuż pod powierzchnią wody. Dwie ostro zakończone płetwy wystawały z wody w odległości dwóch metrów jedna od drugiej, a miecz ryby był niemal tak długi jak jej kadłub. Ryba przemknęła łukiem niedaleko sternika i zniknęła za grzbietem fali.

Gdy siedzieliśmy przy nieco mokrym i słonym obiedzie, wielki żółw morski, wystawiający ze skorupy głowę i machający płetwami, wznosił się na grzbiecie bałwanu tuż przed naszymi nosami. Kiedy fala ustąpiła miejsca dwom innym, żółw zniknął równie nagle, jak się ukazał. Także i tym razem ujrzeliśmy błyszczące białozielone brzuchy złotych makreli 28 L o c j a - opis morza i brzegów morskich.

29 To znaczy, że kąt między kursem tratwy a kierunkiem wiatru nie był większy od 45"

przewracających się w wodzie w pobliżu opancerzonego gada. Morze na tym obszarze obfitowało w małe latające rybki około cała długości, które szybowały dużymi ławicami i często trafiały na tratwę. Widzieliśmy również pojedyncze wydryki, a już stale odwiedzały nas fregaty, które z rozwidlonymi ogonami krążyły nad tratwą jak olbrzymie jaskółki. Fregaty są zwykle uważane za oznakę bliskości lądu, więc optymizm na statku wzrósł.

— Może jednak jest tam rafa albo jakaś piaszczysta ławica — rzucił któryś z nas.

A największy optymista dodał:

— Może znajdziemy tam małą zieloną łączkę; wszystko jest możliwe, jeżeli tak niewielu ludzi było tu dotychczas. Wtedy okaże się, że odkryliśmy nowy ląd — Wyspę Kon-Tiki.

Poczynając od południa Erik coraz pilniej wchodził na kuchenną skrzynię i łapał słońce przez sekstans. O godzinie osiemnastej dwadzieścia określił on naszą pozycję na 6°42'

południowej szerokości i 99°42' zachodniej długości. Znajdowaliśmy się w odległości jednej mili na wschód od rafy oznaczonej na mapie. Bambusowa reja została spuszczone i żagiel zwinięty. Wiatr wiał prosto ze wschodu i powinien był zdryfować nas na rafę. Kiedy słońce szybko schowało się w morzu, pełna tarcza księżycy poczęła świecić całym swym blaskiem oświetlając powierzchnię morza, która falowała czernią i srebrem od horyzontu do horyzontu.

Widzialność ze szczytu masztu była dobra. Wszędzie dostrzegaliśmy załamujące się fale idące w długich szeregach, lecz nie zauważyliśmy żadnego prawdziwego przyboju, który wskazywałby na

istnienie ławicy lub rafy. Nikt nie chciał kłaść się spać; staliśmy wszyscy na pokładzie wyglądając ładu i każdy z nas wspinał się co jakiś czas na maszt. W czasie dryfowania, ponad miejscem oznaczonym na mapie, sondowaliśmy cały czas w poszukiwaniu dna. Wszystkie ciężarki ołowiane, jakie mieliśmy na pokładzie, zostały przymocowane do końca pięćdziesięcioczero-pokrętkowej jedwabnej linki o długości ośmiuset metrów, a jeżeli nawet lina zwisała ukośnie z powodu dryfu tratwy, to w każdym razie ołowianka znajdowała się na jakichś sześciuset metrach głębokości. Nie stwierdziliśmy jednak obecności żadnego gruntu; ani na wschód od naniesionego miejsca, ani w samym jego środku, ani też na zachód.

Rzuciliśmy ostatnie spojrzenie na powierzchnię morza, a kiedy upewniliśmy się, że możemy spokojnie cały obszar uznać za zbadany i nie kryjący mielizn, wciągnęliśmy żagiel i przełożyliśmy wiosło sterowite na swoje miejsce, tak że wiatr i fale znów nadchodziły od tyłu z lewej burty. Niosło nas więc znowu dawnym, normalnym kursem. Fale nadchodziły i znikwały między pniami na rufie tak jak dawniej. Mogliśmy teraz znowu jeść i spać na suchym miejscu, nawet jeśli rozkołysane fale burzyły się całkiem serio i szalały całymi dniami, kiedy pasat skrę-

cał ze wschodu na południowy wschód.

W czasie tego małego rejsu ku rzekomej rafie nauczyliśmy się wiele o działaniu miecza jako stępki, a kiedy później w czasie podróży Herman i Knut nurkując pod tratwą wyciągnęli piąty miecz, nauczyliśmy się jeszcze czegoś o tym dziwnym kawałku deski; coś, czego nie pojmował nikt, od czasu kiedy Indianie porzucili sport żeglowania na tratwach. To, że miecz działał jak stępka i pozwalał tratwie na poruszanie się pod kątem do wiatru, było rzeczą jasną.

Ale twierdzenie dawnych Hiszpanów, że Inkowie "sterowali" swoimi tratwami za pomocą rzekomych mieczy, które wsuwali w szczeliny między pniami, brzmiało niezrozumiale zarówno dla nas, jak i dla wszystkich, którzy zajmowali się tym zagadnieniem. Z uwagi na to, że miecz był mocno ściśnięty w wąskiej szparze, nie mógł być on przecież obracany na boki i służyć jako ster.

Odkryliśmy sekret w następujący sposób: wiatr wiał jednostajnie i ocean znowu uspokoił się. Kon-Tiki trzymał się swojego kursu przez szereg dni, nawet gdy nie ruszaliśmy uwiązany wiosłem sterowym. Kiedy jednak wetknęliśmy odzyskany miecz w szparę na rufie, Kon-Tiki w jednej chwili zmienił kurs o wiele stopni — z zachodniego na północno-zachodni

— po czym po-żegłował spokojnie i statecznie nowym kursem. Gdy wyciągnęliśmy miecz znowu do góry, tratwa skręciła z powrotem na dawny kurs. Jeżeli jednak wsuwaliśmy miecz tylko do połowy długości, tratwa również zmieniała kurs o połowę kąta. Przez zwykłe opuszczanie i podnoszenie miecza uzyskiwaliśmy więc zmianę kursu, nie tykając sterowego wiosła. To właśnie był genialny sekret Inków. Opracowali oni prosty system zrównoważenia statku, przy którym ciśnienie wiatru na żagiel czyniło maszt osią obrotu. Dwie części tratwy, przed masztem i za masztem, stanowiły dwoje ramion dźwigni. Jeżeli całkowita powierzchnia zanurzonych do wody mieczy na rufie była większa, dziób obracał się do wiatru, lecz jeśli większa była powierzchnia mieczy z przodu, rufa obracała się do wiatru. Miecze znajdujące się najbliżej masztu działały oczywiście najslabiej, ze względu na krótkie ramię siły. Jeżeli wiatr dął prosto z rufy, miecze przestawały działać i wtedy nie można było utrzymać tratwy na kursie bez pomocy wiosła sterowego. Kiedy nasz statek miał wiatr prosto z rufy, nie mieścił się między dwiema falami, a ponieważ wejście do szalasu i miejsce, gdzie jadaliśmy

posiłki, znajdowało się na prawej burcie, ustawiliśmy tratwę zawsze tak, żeby wiatr dął nam w lewą burzę.

Mogliśmy teraz w dalszym ciągu podróży sterować wyciągając i wsuwając miecze w szpary zamiast manewrować wiosłem, ale tak już zdążyliśmy się przyzwyczać do sterowania, że zmienialiśmy kurs za pomocą mieczy tylko z grubsza, a utrzymywaliśmy się potem na kursie posługując się wiosłem.

Następny wielki etap naszej podróży był równie niedostrzegalny dla oka, jak rafa egzystująca tylko na mapie.

Był to czterdziesty piąty dzień w morzu; posunęliśmy się od 78° długości do 108° i przebyliśmy dokładnie połowę drogi do najbliższej wysepki przed nami. Między nami a wybrzeżem Ameryki Południowej na wschodzie było teraz 4 000 km; taka sama odległość dzieliła nas od Polinezji na zachodzie. Najbliższym lądem były Wyspy Żółwie (Galapagos) na północnym wschodzie i Wyspa Wielkanocna na południu, obydwie w odległości ponad 1 000

kilometrów, za bezkresnymi wodami oceanu. Nie widzieliśmy dotąd żadnego statku i nie zobaczyliśmy go do końca podróży, ponieważ znajdowaliśmy się daleko od wszystkich normalnych tras żeglugowych na Oceanie Spokojnym.

W rzeczywistości nie odczuwaliśmy tych olbrzymich odległości, gdyż horyzont poruszał się niepostrzeżenie razem z nami a nasz własny płynący świat pozostawał zawsze ten sam: kolisko wody zwrócone ku sklepieniu nieba z tratwą jako środkiem i te same gwiazdy przetaczające się nad nami noc po nocy.

## VI. PRZEZ OCEAN SPOKOJNY (2)

Zabawny statek \* Na gumowej flinghy \* Niepowstrzymana jazda \* Brak stałych punktów \* Na morzu w bambusowym szałasie \* Na długości geograficznej Wyspy Wielkanocnej \* Tajemnice Wyspy Wielkanocnej \* Olbrzymie bożki i kolosy kamienne \*

Peruki z czerwonego kamienia \* Majstersztyk "długich uszu" \* Tiki przerzuca most \*

Wymowne nazwy miejscowości \* Łowienie rekinów gołymi rękoma \* Papuga \* L-I-2-B woła

\* Żegluga według gwiazd \* Trzy wielkie fale \* Sztorm \* Rzeź w morzu i na tratwie \* Człowiek za burtą \* Jeszcze jeden sztorm \* Kon-Tiki zaczyna się rozlatywać \* Zwiastuny Polinezji \*

Hiedy morze nie było zbyt wzburzone, wypuszczaliśmy się często na małej gumowej *dinghy* i robiliśmy zdjęcia. Pamiętam, jak pierwszy raz — morze było wówczas szczególnie spokojne — dwóch z nas nabrało ochoty do rzucenia na wodę okrągłej jak balonik tratwki i powiosłowania na falach. Oddaliwszy się nieco od tratwy usiedli i wypuścili z rąk wiosła rycząc ze śmiechu. Kiedy zaś długa fala podnosiła ich i opuszczała, a *dinghy* zniknęła i pojawiała się ponownie, śmiali się tak głośno, ilekroć nas mijali, że głosy ich rozlegały się szeroko ponad bezludnym Pacyfikiem. Rozglądaliśmy się ze zmieszaniem minami, ale oprócz naszych zarośniętych twarzy nie widzieliśmy nic komicznego; ponieważ ci dwaj na *dinghy* powinni byli już się do nich przyzwyczać, zaczęliśmy

podejrzewać, że nasi towarzysze nagle zwariowali.

Kto wie, może udar słoneczny? Dwaj wiosłarze wleźli z powrotem na pokład mając ze śmiechu oczy pełne łez i natychmiast zaczęli nas namawiać, abyśmy sami wypuścili się na łódeczce i zobaczyli, o co chodzi.

Dwóch z nas wskoczyło na tańczącą dinghy, którą fale 'pochwyciły i uniosły od tratwy.

Natychmiast gruchnęliśmy na siedzenia, zanosząc się od śmiechu. Musieliśmy wdrapać się co prędzej na pokład i uspokoić dwóch pozostałych, którzy jeszcze nie byli poza tratwą i przypuszczali, że wszyscy czterej zwariowaliśmy. To właśnie nasz dumny statek wprowadził nas w obłąkańczy humor, kiedy po raz pierwszy spojrzeliśmy nań z pewnej odległości. Nigdy dotychczas nie widzieliśmy sami siebie na pełnym morzu. Pnie balsy znikały za najmniejszą falą i jeśli w ogóle było coś widać, to tylko niski szłaś z szerokim wejściem i dachem z liści, który 'wynurzał się z morza. Wyglądało to zupełnie jak stara norweska szopa na siano bezwładnie dryfująca po morzu; v/ykrzywiona szopa pełna opalonych, brudnych włóczęgów.

Gdyby ktoś zjawił się w pobliżu wiosłując przez ocean w wannie, mielibyśmy ten sam powód do spontanicznego śmiechu. Nawet zwykła martwa fala sięgała do połowy wysokości chatki i wyglądała tak, 'jakby miała się wlać za chwilę przez szerokie wejście, w którym sterczeli brodaci faceci. Lecz wtedy zwariowany statek znów wynurzał się na powierzchnię i włóczędzy leżeli tam równie brodaci, nie zmoczeni i obojętni jak przedtem. Kiedy nadbiegła większa fala, szłaś, żagiel i cały maszt znikały za wodną górą, by w następnym momencie znów ukazać się naszym oczom.

Wyglądało to niebezpiecznie i trudno było zrozumieć, dlaczego sprawy szły tak dobrze na pokładzie tego dziwnego statku.

Następnym razem, kiedy odpłynęliśmy nieco, żeby się trochę pośmiać z siebie samych, omal że nie skończyło się to tragicznie. Wiatr i fale były silniejsze, niż się wydawało, i Kon-Tiki przebijał się przez nie znacznie szybciej, niż przypuszczaliśmy. Musieliśmy na *dinghy* dosłownie walczyć o życie i z całej siły wiosłować, ażeby doścignąć trudną do sterowania tratwę, która nie mogła zatrzymać się i czekać, a już w żadnym razie — zawrócić.

Nawet kiedy chłopcy na Kon-Tiki spuścili żagiel, wiatr z taką siłą dał w ścianę szłaś, tratwa dryfowała na zachód tak szybko, że nie mogliśmy jej dopędzić na naszej małej, tańczącej łódeczce z wiosłkami jak zabawki. Wszyscy myśleliśmy tylko o jednym: nie wolno nam się rozłączać. Przeżyliśmy straszne minuty na morzu, zanim dopędziliśmy uciekający statek i wdrapaliśmy się na pokład.

Od tego dnia nikt nie miał prawa odpływać na gumowej łódce bez długiej liny zamocowanej do dziobu, tak że pozostali na tratwie mogli przyciągnąć *dinghy*, gdy okazało się to konieczne. Dlatego też nigdy nie oddalaliśmy się zbyt od statku, chyba że była ładna pogoda i Pacyfik marszczył się jedynie lekką falą. Taka właśnie pogoda nastąpiła, kiedy tratwa przeszła już pół drogi do Polinezji i wszechobecny ocean rozpostarł się łukiem wokół kuli ziemskiej we wszystkich kierunkach świata. Wtedy mogliśmy spokojnie opuszczać Kon-Tiki i wiosłować w błękitnej przestrzeni między niebem a ziemią. Kiedy widzieliśmy, jak sylwetka naszego statku maleje wraz ze zwiększającą się odległością,



a wielki żagiel kurczy się w nieokreśloną, czarną kreskę na horyzoncie, ogarniało nas uczucie samotności. Morze zaokrągliło się pod nami równie ciemnobłękitne jak niebo i oba błękity w miejscu zetknięcia stapały się w jedność. Czuliśmy się niemal zawieszeni w przestrzeni; cały nasz świat był pusty i błękitny, nie było na nim żadnego stałego punktu oprócz złotego i ciepłego tropikalnego słońca opalającego nam karki. Odległy żagiel na samotnej tratwie przyciągał nas wtedy jak magnes. Wiosłowaliśmy szybko, by wejść na pokład, i czuliśmy, że wracamy do naszego własnego świata na stałym i bezpiecznym gruncie. Wewnątrz chatki znajdowaliśmy cień, zapach bambusów i zwiędłych liści. Pełna słońca, czysta i błękitna przestrzeń była tu dawkowana w dostatecznych dozach przez otwór w ścianie chatki. Do takiej byliśmy przyzwyczajeni i tak było nam dobrze przez chwilę, dopóki ogromny, czysty błękit nie skusił

nas znowu do wyjścia.

Ten lekki szałas bambusowy odgrywał w naszym życiu szczególną rolę. Mierzył on zaledwie 8 na 14 stóp i dla zmniejszenia ciśnienia wiatru i fali był tak niski, że nie mogliśmy stać w nim wyprostowani. Ściany i sufit były zbudowane z mocnej trzciny bambusowej, pokrytej solidną plecionką z rozszczepionych bambusów. Te zielone i żółte szczebelki z frędzlą listowia zwisającą z dachu dawały oczom całkiem inne wytchnienie niż biała ściana i mimo że bambusowy domek był po prawej burcie otwarty, a przez dach i ściany widać było słońce i księżyc, ta prymitywna budowla dawała większe poczucie bezpieczeństwa niż malowane na biało ściany kajuty i zamknięte iluminatory. Próbowaliśmy zanalizować ten dziwny fakt i doszliśmy do następujących wniosków: nasza świadomość nie przyzwyczała się do kojarzenia bambusowej chatki z podróżą morską. Nie było naturalnej harmonii między wielkim, rozkołysanym oceanem, a przewiewnym domkiem palmowym, płynącym wśród fal. Dlatego więc albo szałas wydawał się nie na miejscu pomiędzy falami, albo też fale były nie na swoim miejscu wokół szałasów. Im dłużej trwała podróż, tym pewniej czuliśmy się w naszym przytulnym kąciuku i spoglądaliśmy na imponujące pienne grzbiety bałwanów tańczących przed naszymi drzwiami, jakbyśmy je widzieli na filmie, jak gdyby nie przedstawiały one dla nas żadnej groźby. Otwarta ściana domku leżała tylko metr od nie osłoniętej krawędzi tratwy i zaledwie pół metra nad linią wodną. Skoro jednak znaleźliśmy się wewnątrz naszej chatki, czuliśmy się, jakbyśmy odjechali wiele mil od morza i zajmowali domek w dżungli, daleko od niebezpieczeństw morskich. Mogliśmy tu leżeć na plecach, patrząc na zabawny dach wyginający się jak gałęzie na wietrze, rozkoszując się leśnymi zapachami surowego drewna, bambusa i zwiędłych liści palmowych.

Niekiedy wypływaliśmy na gumowej łódce, aby spojrzeć na siebie samych w nocy.

Czarne jak węgiel fale wznosiły się ze wszystkich stron, a błyszczące miriady podzwrotnikowych gwiazd znajdowały odbicie w fosforyzującym planktonie.

Świat był prosty — gwiazdy i ciemność. Nie miało znaczenia, czy był to rok 1947

przed, czy po Chrystusie. Wiedzieliśmy, że żyjemy, i odczuwaliśmy to z niezwykłą intensywnością. Pojmowaliśmy też, że ludzie przed naszym wiekiem techniki żyli pełniejszym życiem niż teraz. Czas zdawał się nie istnieć; wszystko, co było prawdziwe i miało znaczenie, było dziś takie sumo jak niegdyś i jak będzie zawsze. Byliśmy zawieszani w przestrzeni i historii, w nieskończonej i nieprzerwanej ciemności, pod rojami gwiazd. Przed nami, w mroku, Kon-Tiki wzno-Nif się z morza,

żeby *zniknąć* znowu po chwili za czarną masą wody piętrzącej się między nami a tratwą. Światło księżycy wywoływało wokół tratwy szczególną atmosferę.

Grube, lśniące od wody bale, pokryte porostami, czworokątny *A czarny* jak noc profil żagla Wikingów, nastroszona, bambusowa chatka, którą oświetlało żółte światło parafinowej lampy

— wszystko to stwarzało obrazek raczej z książki przygód niż z konkretnej rzeczywistości, Od czasu do czasu tratwa znikła za czarnymi falami, później podnosiła się znowu i rysowała ostrą sylwetę na tle gwiazd, z dali zaś sływały połyskujące strugi wody.

Wczuwając się w atmosferę otaczającą samotną tratwę, widzieliśmy oczyma duszy całą flotyllę takich stateczków, rozsianych w szyku wachlarzowym aż po horyzont, aby zwiększyć szansę ujrzenia lądu, i niosących naszych poprzedników przebywających ten ocean po raz pierwszy. Tuż przed przybyciem Hiszpanów Inka Tupać Yupanąui, który zagarnął władzę w Peru i Ekwadorze, żeglował przez morze na tratwach z balsy z armadą liczącą wiele tysięcy ludzi w poszukiwaniu na Pacyfiku wysp, o których mówiły podania. Znalazł on dwie wyspy —

niektórzy uważają, iż były to wyspy Galapagos — i po ośmiu miesiącach pobytu przedarł się przy pomocy swoich licznych wioślarzy z powrotem do Ekwadoru, walcząc z przeciwnymi wiatrami. Kon-Tiki i jego towarzysze żeglowali z pewnością o kilkaset lat wcześniej w podobnym szyku, lecz nie mieli powodu, by przebywać tę drogę również w odwrotnym kierunku.

Po powrocie na tratwę siadaliśmy często na pokładzie wokół lampy i gawędziliśmy o żeglarzach z Peru, którzy przeżyli to wszystko tysiąc pięćset lat przed nami. Lampa rzucała na żagiel olbrzymie cienie brodatych ludzi, a my rozmyślaliśmy o białych brodaczach z Peru, których drogę śledzić możemy w mitologii i architekturze na całej trasie z Meksyku do Ameryki Środkowej i dalej na północno-zachodnich obszarach Ameryki Południowej aż do Peru. Tutaj tajemnicza ta kultura jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej znikła tuż przed przyjściem Inków i zjawiała się równie nagle na samotnych wysepkach Oceanii, do których zbliżaliśmy się teraz. Może ci wędrujący mistrzowie i nauczyciele byli cywilizowanym ludem śródziemnomorskim, który w zamierzonych czasach w ten sam prosty sposób przybył z zachodnim prądem i pasatem z Wysp Kanaryjskich do Zatoki Meksykańskiej?

Nie wierzyliśmy już w morze jako czynnik izolujący. Wielu uczonych utrzymywało na podstawie ważkich argumentów, że wielkie cywilizacje indiańskie, od Azteków w Meksyku do Inków w Peru, pojawiały się jakby w gotowej formie zza oceanu, ze wschodu, podczas gdy wszystkie zwykłe szczepy indiańskie były azjatyckimi ludami myśliwych i rybaków, które w ciągu dwudziestu tysięcy lat sączyły się po trochu z Syberii do Ameryki. Przemawiałby za tym uderzający fakt, że nie mamy ani śladu stopniowego rozwoju tych wysokich cywilizacji, które kiedyś rozpościerały się od Meksyku do Peru. Im głębiej grzebią archeologowie, tym więcej znajdują oczywistych dowodów, że stare cywilizacje pojawiły się w pewnym momencie bez żadnego fundamentu wśród prymitywnych szczepów.

Kultury te zaś wyrosły tam, gdzie prądy atlantyckie podchodzą do obszarów dżungli i pustyń tropikalnej Ameryki Środkowej i Południowej, miast rozwinąć się w strefach bardziej umiarkowanych, gdzie cywilizacje zarówno dawniej, jak i teraz miały łatwiejsze warunki rozkwitu.

To samo widzimy na wyspach Oceanii. Leżąca najbliżej Peru Wyspa Wielkanocna, nosząca głębokie ślady cywilizacji, jest niepozorną wysepką, bezwodną, nieurodzajną i ze wszystkich wysp Pacyfiku najbardziej oddaloną od Azji.

Kiedy zakończyliśmy pierwszą połowę naszej podróży, przebyliśmy już odległość z Peru do Wyspy Wielkanocnej i znajdowaliśmy się na północ od tej osnutej legendami wyspy.

Wystartowaliśmy z wybrzeża kontynentu amerykańskiego w przypadkowym punkcie na brzegu peruwiańskim, aby znaleźć się w takiej sytuacji jak przeciętna tratwa Inków, wyruszająca kiedyś przez morze. Gdybyśmy wyruszyli z punktu leżącego bliżej do Tia-huanaco — zrujnowanego miasta Kon-Tiki — a więc dalej na południe, mielibyśmy ten sam wiatr, lecz słabszy prąd; w rezultacie tratwa wylądowałaby na Wyspie Wielkanocnej.

Kiedy przekroczyliśmy 110° długości zachodniej, znaleźliśmy się w obrębie mórz polinezyjskich, gdyż polinezyjska Wyspa Wielkanocna była teraz bliżej Peru niż my.

Znajdowaliśmy się na wysokości najdalej na wschód wysuniętej wyspy Oceanii, centrum najstarszej wyspiarskiej cywilizacji. A kiedy nasz płonący przewodnik zsunął się z nieba i z całym swoim tęczowym blaskiem zginął za morzem na zachodzie, łagodny powiew pasatu ożywił historię niezwykłych tajemnic Wyspy Wielkanocnej,

Nocne niebo zatarto wszelkie pojęcie czasu, a olbrzymie cienie brodatych głów znowu pojawiły się na żaglu. Daleko na południe od nas, na Wyspie Wielkanocnej, stały wykute w kamieniu, dumając nad zagadką stuleci, posągi jeszcze większych olbrzymów, o ostrych podbródkach, z długim zarostem i o rysach twarzy jak u białych ludzi. Stały już tam one, kiedy pierwsi Europejczycy odkryli wyspę w roku 1722, i w tym samym miejscu stały też o dwadzieścia dwie generacje polinezyjskie wcześniej, kiedy to ojcowie obecnych

-mieszkańców wyspy wylądowali na swoich łodziach, wyrzynając w pień wszystkich dorosłych mężczyzn, jacy znajdowali się wśród tajemniczego lądu wyspiarskiego, posiadającego własną kulturę. Od tego czasu głowy kamiennych bożków stały się symbolem nierozwiązalnej zagadki dawnej przeszłości. Tu i ówdzie na stokach gór bezleśnej wyspy wznosiły się ku niebu gigantyczne figury kamienne, zmyślnie wyciosane na kształt postaci męskich, wzniesione jak monolity wysokości trzypiętrowych czy czteropiętrowych kamienic.

Jak ci przedhistoryczni ludzie potrafili kształtować, przewozić i wznosić takie gigantyczne posągi? Jak gdyby problem ten nie nastroczał dostatecznych trudności, ustawiali oni jeszcze na głowach figur, na wysokości dwunastu metrów nad ziemią, bloki z czerwonego kamienia, podobne do wielkich rudych peruk. Co to wszystko znaczyło i jakie umiejętności mechaniczne posiadali wymarli budowniczości, którzy opanowali zagadnienia, trudne do rozwiązania nawet dla naszych czołowych inżynierów? Jeżeli złożymy razem wszystkie kamyki tej mozaiki, to na tle wypraw żeglarzy peruwiańskich zagadka Wyspy Wielkanocnej nie jest, być może, nie do rozwiązania. Ta stara cywilizacja pozostawiła na wyspie ślady, których ząb czasu nie potrafił zupełnie skruszyć.

Wyspa Wielkanocna jest szczytem z dawien dawna wygasłego wulkanu. Brukowane drogi, zbudowane przez dawnych cywilizowanych mieszkańców, prowadzą do dobrze zachowanych

przystani na wybrzeżu i wskazują, że poziom oceanu był wówczas dokładnie taki sam jak dzisiaj. Wyspa Wielkanocna nie jest jakąś resztką zatopionego kontynentu, lecz małą, pustą, wulkaniczną wysepką, która była równie niewielka i samotna w czasach, gdy stanowiła centrum cywilizacyjne Oceanu Spokojnego.

W środku wysepki mającej kształt stożka leży krater wygasłego wulkanu, a wewnątrz krateru znajdują się zdumiewające kamieniołomy i warsztaty ówczesnych rzeźbiarzy.

Odnajdujemy je w tych samych miejscach, w których opuścili je dawni budowniczowie i rzeźbiarze, uciekając w popłochu na wschodni kraniec wyspy, gdzie — zgodnie z legendą —

nowoprzybyli napastnicy wyrznęli co do nogi wszystkich mężczyzn. To właśnie nagłe przerwanie pracy artystów daje nam przekrój zwykłego dnia roboczego w kraterze na Wyspie Wielkanocnej. Kamienne topory rzeźbiarzy, twarde jak żelazo, leżały porozrzucane na miejscu pracy i wskazywały, że ten cywilizowany naród równie mało znał użytek metalu, jak lud Kon-Tiki zmuszony do ucieczki z Peru, gdzie pozostawił na płaskowyżu Andów setki podobnych gigantów. W obu miejscach można *znaleźć* kamieniołomy, gdzie legendarni ludzie, biali i brodaci, wykuwali wprost ze skalnego *zbocza* kamienne bloki, długie na dwanaście metrów, za pomocą toporów z jeszcze twardszego kamienia. W obu też miejscach olbrzymie bloki skały, ważące wiele ton, transportowano kilometrami po bezdrożach, a następnie wznoszono pionowo jako ogromne posągi ludzkie, lub też ustawiano jedne na drugich, formując tajemnicze mury i tarasy.

Wiele na wpół gotowych kolosów kamiennych leży w ścianach krateru na Wyspie Wielkanocnej, tam gdzie rozpoczęto ich wykuwanie. Wskazują one, jak przebiegała praca na różnych etapach. Największy posąg ludzki, bliski już ukończenia w chwili, kiedy kamieniarze musieli ratować się ucieczką, miał 22 metry wysokości. Gdyby go ukończono i postawiono pionowo, głowa tego olbrzyma wznosiłaby się na wysokości ośmiopiętrowego domu. Każda poszczególna figura była wykuwana z jednolitego bloku skalnego. Robocze nisze dla rzeźbiarzy, rozmieszczone wokół leżących figur, wskazują, że nie tak wielu ludzi pracowało jednocześnie przy każdej z nich. Leżące na plecach, z rękoma umieszczonymi na brzuchu figury, podobnie jak posągi w Peru, były wykańczane aż do najmniejszych szczegółów, a dopiero potem przenoszono je z warsztatu i transportowano do miejsc przeznaczenia w różnych punktach wyspy. W ostatnim stadium budowy leżący gigant połączony był ze skałą jedynie rodzajem wąskiej stępki wzdłuż grzbietu. W końcu usuwano również i to połączenie, zastępując je podporami z głazów.

Wielkie ilości takich figur zostały przeniesione tylko na dno krateru i ustawione tam na zboczu. Największe z nich przeciągnięto przez ścianę krateru i przetransportowano wiele kilometrów przez trudny teren. W końcu stawiano je pionowo na kamiennej platformie, umieszczając na głowie dodatkowy blok kamienny, wykuty z czerwonej lawy. Już sam transport tych potężnych bloków może wydawać się zupełną zagadką. Nie można jednak zaprzeczyć temu, że odbył się on rzeczywiście, ani temu, że budowniczowie, którzy zniknęli z Peru, pozostawili w Andach posągi tej samej wielkości. Największe i najliczniejsze monolity wykuto na Wyspie Wielkanocnej, tworząc tutaj pewien własny, indywidualny styl. Jednakże i na innych wyspach Oceanii, leżących bliżej Ameryki, ta sama zaginiona cywilizacja wzniosła podobne giganty o ludzkiej postaci, wszędzie zaś monolity te transportowane były do miejsc kultu z odległych kamieniołomów. Na Markizach słyszałem legendy o sposobie przenoszenia bloków skalnych. Odpowiadały one w zupełności opowiadaniom krajowców o

transportie filarów kamiennych dla olbrzymiego portalu na Tongatahu. Można więc przyjąć, że tych s metod używano dla przesuwania monolitów na Wyspie Wielkanocnej.

Praca rzeźbiarzy w kamieniołomie trwała długi czas, lecz wymagała wysiłku tylko niewielu mistrzów. Przenoszenie gotowego posągu było wykonywane znacznie szybciej, lecz wymagało udziału wielkiej gromady ludzi. Mała Wyspa Wielkanocna, stojąca w tych czasach na wysokim poziomie cywilizacyjnym, bogata była w rybę i plantacje peruwiańskich batatów.

Toteż znawcy są zdania, że w czasach swej świetności ten skrawek lądu mógł wyżywić siedem czy osiem tysięcy mieszkańców. Około tysiąca ludzi wystarczało w zupełności dla przeciągnięcia posągu przez stromą ścianę krateru, podczas gdy pięciuset mogło już przesuwać figurę dalej do miejsca przeznaczenia. Z włókien roślinnych umiano splatać mocne liny, za pomocą których gromada przeciągała posąg spoczywający na drewnianych podkładach, przesuując go na drewnianych wałkach i okrągłych kamieniach smarowanych korzeniami taro<sup>30</sup> O tym, że ludy tej dawnej kultury były mistrzami w splataniu grubych lin i powrozów, wiemy dobrze choćby z tego, że na wyspach Oceanii, a zwłaszcza w Peru, pierwsi Europejczycy znaleźli wiszące mosty rozpięte nad wąwozami i strumieniami, długie na kilkaset metrów i powiązane ze skręconych lin grubości ciała ludzkiego.

Kiedy kolosy kamienne znajdowały się już na wybranym miejscu i miały być podniesione, powstawał nowy problem. Gromada ludzi budowała wtedy tymczasową pochylnię z kamieni i piasku i wciągała olbrzyma po łagodniejszym jej zboczu, nogami naprzód. Kiedy statua dosięgała szczytu pochylni, zsuwano ją przez krawędź stromego zbocza, tak aby podstawa ześliznęła się do wykopanego dołu. Figura stała teraz wsparta plecami o stromy stok pochylni z głową na wysokości szczytu. W tej pozycji ustawiano na głowie jeszcze dodatkowy blok skalny, a następnie usuwano pochylnię. Kilka takich gotowych pochylni stoi dotychczas w różnych punktach Wyspy Wielkanocnej i czeka na kamienne olbrzymy, które nie zjawily się już nigdy. Technika pracy była godna podziwu, lecz w żadnym wypadku nie tajemnicza, jeżeli tylko należycie docenimy inteligencję ludzi dawnych czasów oraz ilość czasu i sił, jaką rozporządzali.

Powstaje pytanie, dlaczego w ogóle wznoszono takie figury? I czemu zadawano sobie trud szukania w innym kamieniołomie, odległym często o kilka kilometrów, specjalnego rodzaju czerwonego kamienia, który umieszczano na głowie posągu? Zarówno w Ameryce Południowej, jak i na Markizach wykuwano często całe posągi z czerwonego kamienia, ściągając go z wielkich odległości. Czerwone przybrania głowy były dla osób wysokiej rangi ważnym szczegółem ceremoniału tak w Polinezji, jak i w Peru.

Zobaczmy najpierw, kogo przedstawiały te figury. Kiedy pierwsi Europejczycy odwiedzili wyspę, ujrzeli oni na wybrzeżu tajemniczych "białych" ludzi; w przeciwieństwie do innych podobnych ludów, ludzie ci mieli długie, rozwiane brody. Byli to potomkowie mieszkańców wyspy należących do pierwotnej rasy, pozostawionych przez najeźdźców przy życiu. Krajowcy podawali sami, że niektórzy z ich przodków byli biali, podczas gdy inni —

brązowi. Obliczali oni dokładnie, że brązowoskórzy przybyli z innych wysp Polinezji dwadzieścia dwa pokolenia temu, podczas gdy ci o białej skórze zjawili się ze wschodu na dużych statkach już pięćdziesiąt siedem pokoleń temu, to znaczy około 400 — 500 roku naszej ery. Rasa przybyła ze wschodu otrzymała miano "długich uszu", ponieważ ludzie tej rasy podwieszali u muszli ucha

ciężarki, tak że uszy zwisały im aż do ramion. Te tajemnicze "długie uszy" zostały wymordowane przez "krótkie uszy" przybyłe na wyspę. Wszystkie figury na 30 Taro - tropikalna roślina o jadalnych mączystych korzeniach.

Wyspie Wielkanocnej mają duże uszy zwisające aż do ramion, gdyż takie właśnie uszy mieli rzeźbiarze.

I oto okazuje się, że legendy Inków w Peru mówią, iż król słońca Kon-Tiki panował nad narodem białych, brodatych ludzi zwanych przez Inków "wielkie uszy"; ludzie ci bowiem przedłużali sobie sztucznie uszy. Inkowie podkreślali, że "wielkie uszy", ludzie króla Kon-Tiki, wzniesli samotne, gigantyczne kamienne posągi w Andach, zanim zostali wytopieni lub wygnani przez Inków po bitwie na jednej z wysp jeziora Titi-caca.

A zatem: biały lud Kon-Tiki — "wielkie uszy" — zniknął z Peru i uszedł na zachód, unosząc ze sobą bogate doświadczenie we wznoszeniu olbrzymich kamiennych posągów.

"Długie uszy" Tiki przyszły ze wschodu na Wyspę Wielkanocną, wyposażone w tę właśnie umiejętność. Żadne zaś ślady nie wskazują na stopniowy rozwój umiejętności na wyspie, prowadzący do powstania tych arcydzieł.

Należy tu powiedzieć, że większe podobieństwo zachodzi między monolitami peruwiańskimi a figurami na niektórych wyspach Oceanii, niż między posągami na poszczególnych wyspach całej Oceanii. Na Markizach i Tahiti kolosy te były znane pod wspólną nazwą Tiki. Przedstawiały one przodków zasłużonych w historii wysp, którzy po śmierci zostali bogami. Tu niewątpliwie leży rozwiązanie tajemnicy dziwnych czerwonych peruk na figurach z Wyspy Wielkanocnej. Jak powiedzieliśmy, na wszystkich wyspach polinezyjskich żyli rozproszeni ludzie, odznaczający się rudymi włosami i jaśniejszą skórą.

Wyspiarze opowiadali, że ci wyróżniający się jasnoskórzy pochodzą od pierwotnych mieszkańców tych wysp — białych ludzi.

Na niektórych wyspach urząda się święta religijne, w czasie których krajowcy farbują sobie skórę na białą, a włosy na czerwono, aby upodobnić się do swych dawnych przodków. W

czasie dorocznych uroczystości na Wyspie Wielkanocnej główna osoba ceremoniału goli głowę, farbując ją na czerwono. Potężne peruki z czerwonego kamienia na gigantycznych statuach Wyspy Wielkanocnej były rzeźbione w kształcie tradycyjnego miejscowego uczesania stosowanego przez mężczyzn. Miały one okrągły węzeł na środku głowy, noszony przez krajowców.

Posągi na Wyspie Wielkanocnej miały długie uszy, takie jak ich rzeźbiarze. Zdobiły je czerwone kamienie, przypominające fryzury, gdyż ich twórcy mieli rude włosy. Podbródki figur były wyciosane w ostro wystający szpic, gdyż artyści sami byli brodaci. Miały one wreszcie typowe twarze ludzi białej rasy: wąskie, wysunięte nosy i cienkie, zaciśnięte wargi, gdyż rzeźbiarze nie należeli do brązowej rasy. Jeśli zaś posągi posiadały wielkie głowy, małe nogi i splecione na brzuchu ręce, to dlatego, że tak budowano posągi w Peru. Jediną ozdobą figur na Wyspie Wielkanocnej jest pas wyrzeźbiony zawsze wokół brzucha. Tę samą symboliczną opaskę można znaleźć na każdym posągu

w ruinach antycznego miasta Kon-Tiki, na brzegu jeziora Titicaca. Jest to legendarny symbol boga-słońca, pas tęczy. Na Mangarewie istniał mit głoszący, że bóg-słońca zdjął z siebie tęczę, którą był opasany, i zsunął

się po niej z nieba na Mangarewę, aby zaludnić ją swoimi białoskórymi dziećmi. Słońce było kiedyś uważane za praojca plemion na wszystkich wyspach Oceanii, jak również w Peru.

Siadywaliśmy na pokładzie pod gwiaździstym niebem, przeżywając na nowo dziwną historię Wyspy Wielkanocnej, mimo że tratwa niosła nas prosto do serca Polinezji i — prócz nazwy na mapie — nie mieliśmy ujrzeć tej odległej wysepki. Tak wiele jednak jest na tym skrawku lądu śladów imigracji ze wschodu, że nawet jej nazwa wskazuje na to: "Wyspa Wielkanocna" widnieje na mapie, ponieważ jakiś przypadkowy Holender "odkrył" ją w wielkanocną niedzielę. Zapominamy, że krajowcy, mieszkający tu od dawna, nadali swojej siedzibie nazwę znacznie wymowniejszą i bardziej pouczającą. Ukochane dziecko wiele ma imion — a ta szczególna wyspa posiada w języku poliriezyjski nie mniej niż trzy nazwy.

Pierwsze imię to: Te-Pito-te-Henua, co oznacza "Pępek Wysp". Poetyczne określenie wyraźnie umieszcza tę starą siedzibę cywilizacji w specjalnej pozycji w stosunku do innych, leżących dalej na zachód, i zgodnie z tradycją polinezyjską jest najdawniejszym określeniem.

We wschodniej części wyspy, koło legendarnego miejsca lądowania "długich uszu", leży starannie rzeźbiony okrągły kamień zwany "Złotym Pępkiem", uważany z kolei za centralny punkt wyspy. Każdy, kto zna poetyczne usposobienie Polinezyjczyków, zrozumie, że to symboliczne oznaczenie dotyczy powstania królestwa wyspiarskiego, czyli jego "urodzenia", a wysunięta na wschód Wyspa Wielkanocna była zaszczycona nazwą upamiętniającą jej znaczenie jako członu łączącego wyspiarzy z ich macierzystym krajem.

Druga nazwa wyspy brzmi "Rapa-nui", co oznacza — "Wielka Rapa", podczas gdy inna wysepka tej samej wielkości, położona znacznie dalej na zachód, nosi imię "Rapa-iti", czyli "Mała Rapa". Wiemy, że wiele ludów stosuje praktykę nadawania swej pierwotnej siedzibie nazwy na przykład "Stara Rapa" lub "Wielka Rapa", podczas gdy nowa siedziba jest zwykle chrzczona "Nowa Rapa" albo "Mała Rapa". Na "Małej Rapie" tubylcy pielęgnują podanie, że ich praojcowie przyszedli tu z "Wielkiej Rapy" — Wyspy Wielkanocnej leżącej najbliżej Ameryki. Wszystko to wskazuje znowu na pierwotny kierunek imigracji — ze wschodu.

Trzecie i ostatnie imię tej kluczowej wyspy brzmi "Mata-Kite-Rani", to znaczy "Oko (które) Patrzy (w) Niebo". Na pierwszy rzut oka nazwa ta wydaje się być dość osobliwa, gdyż stosunkowo nizinna Wyspa Wielkanocna wcale nie więcej spogląda w niebo niż inne, bardziej wyniosłe i góryste wyspy, jak na przykład Tahiti, Markizy czy Hawaje. Lecz "Rani" (niebo) ma po polinezyjsku podwójne znaczenie. Określa ono również ojczyznę ich praojców, święty kraj boga-słońca, utracone górskie

królestwo Tiki. Szczególne znaczenie ma tu fakt, że właśnie ten wysunięty na wschód posterunek, jakim jest Wyspa Wielkanocna, został spośród tysięcy wysepek na oceanie nazwany "Okiem patrzącym w niebo". Jest to tym bardziej uderzające, że imię "Mata-Rani", które po polinezyjsku oznacza "Oko nieba", jest zarazem staroperuwiańską nazwą miejscowości leżącej na wybrzeżu

Oceanu Spokojnego, naprzeciw Wyspy Wielkanocnej, niemal u stóp starego, zrujnowanego miasta Kon-Tiki w Andach.

Ta tajemnicza wyspa sama już dostarczała nam wielu tematów do rozmów, kiedy siedzieliśmy na pokładzie pod gwiaździstym niebem i czuliśmy się jakby uczestnikami całej tej dawnej historii. Wydawało się nam niemal, że od czasów Tiki nie robimy nic innego, tylko żeglujemy wciąż po oceanie pod już to słonecznym, już to gwiaździstym niebem Pacyfiku w poszukiwaniu nowych lądów. Nie mieliśmy teraz tak wielkiego respektu dla morza i fal.

Poznaliśmy te żywioty i ich wpływ na tratwę. Nawet rekin stał się częścią naszego powszedniego kolorytu; znaliśmy jego zwyczaje i charakter. Nie myśleliśmy więcej o har-punach i nie oddalaliśmy się od krawędzi pokładu, kiedy żarłacz wychodził tuż przy nas na powierzchnię wody. Przeciwnie raczej, nauczyliśmy się łapać go za płetwę ogonową, prześlizgującą się wzdłuż krawędzi tratwy. Rozwinął się z tego nowy rodzaj sportu, mocowanie się z rekinem bez pomocy harpuna i linki.

Zaczęliśmy zupełnie skromnie. Łowiliśmy o wiele więcej złotych makreli, niż mogliśmy zjeść. Żeby mieć dobrą zabawę bez marnowania żywności, wymyśliliśmy komiczne rybołówstwo bez haczyka, dla wspólnej rozrywki nas samych i naszych makreli.

Przywiązaliśmy zbywającą latającą rybę do sznurka i przeciągaliśmy ją po powierzchni wody.

Złote makrele wyskakiwały na powierzchnię i rzucały się na rybę; ciągnęliśmy ją wtedy każdy w swoją stronę i mieliśmy wspaniałe przedstawienie cyrkowe, bo kiedy jedna złota makrela zmęczyła się, druga przychodziła na jej miejsce. My mieliśmy zabawę, a makrele dostawały w końcu łakomy kęs.

Później rozpoczęliśmy podobną zabawę z żarłaczami. Do końca liny przyczepialiśmy kawał ryby albo woreczek z resztkami obiadu i wyrzucaliśmy za burtę. Zamiast obrócić się na grzbiet rekin wysuwał łeb ponad powierzchnię i płynął z rozwartą paszczą gotową do połknięcia smakołyku. Nie mogliśmy powstrzymać się od pociągania za linę właśnie wtedy, kiedy ryba zamierzała zewrzeć szczęki. Oszukany drapieżnik płynął dalej z niewymownie głupim i cierpliwym wyrazem pyska. Rozwierał na nowo szczęki dla przełknięcia przynęty, ale ta zawsze w ostatniej chwili wyskakiwała mu z gęby. Kończyło się zwykle tym, że rekin wychodził na powierzchnię obok tratwy i jak pies skakał w powietrze po żarcie zawieszony w worku przed jego nosem. Przypominało to karmienie hipopotama rozdziawiającego paszczę w zoologicznym ogrodzie. Pewnego dnia w końcu lipca, po trzech miesiącach pobytu na tratwie, w dzienniku okrętowym pojawiła się notatka:

“Zaprzyjaźniliśmy się z rekinem płynącym dzisiaj za tratwą. Przy obiedzie karmiliśmy go resztkami jedzenia, które wtykaliśmy prosto w otwartą paszczę. Rekin wydawał się być na wpół dobrodusznym i przyjaznym, a na wpół dzikim psem, kiedy tak pływał koło nas. Nie można zaprzeczyć, że rekiny mogą wyglądać dość sympatycznie, póki sami nie wpadamy im w paszczę. Są przyjemnymi towarzyszami zabaw, z wyjątkiem wspólnych kąpieli”.

Bambusowa tyczka z torebką żarcia dla rekinów przyczepioną na sznurku leżała pewnego dnia na pokładzie, kiedy nagle nadeszła fala i zmyła wszystko za burtę. Tyczka płynęła już parę-set metrów za rufą, gdy zauważyliśmy, że w pewnym momencie wzniosła się pionowo w wodzie i popędziła za



nami, jak gdyby zamierzając grzecznie wskoczyć na swoje dawne miejsce. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyliśmy, że tyczka wystaje jak peryskop z pyska płynącego pod wodą rekina, który połknął worek. Wkrótce minęła nas, wyprzedziła statek i zniknęła przed dziobem.

Ale nawet wówczas, kiedy zaczęliśmy już patrzeć na rekiny innymi oczyma, nie pozbyliśmy się nigdy respektu przed pięciu czy sześciu rzędami ostrych jak brzytwy zębów czyhających w potężnej paszczy.

Któregoś dnia Knut odbył mimowolną rundę pływania w towarzystwie żarłacza.

Nikommu z nas nie wolno było odpływać od tratwy, zarówno z powodu dryfu statku, jak i z obawy przed rekinami. W tym dniu morze było wyjątkowo spokojne, wyciągnęliśmy też na pokład prześladowujące nas żarłaczki, mogliśmy więc sobie pozwolić na krótkie nurki do morza.

Knut plusnął w wodę i minęła dość długa chwila, zanim znowu pokazał się na powierzchni, aby powrócić *crawlem* do tratwy. W tym momencie ujrzeliśmy z masztu wielki cień wynurzający się z głębi za pływakiem. Ostrzegliśmy go możliwie cicho, żeby nie stwarzać paniki, i Knut rzucił się ku krawędzi tratwy. Lecz cień w głębinie poruszał się znacznie szybciej. Rekin wystrzelił z głębi i zatrzymał się niemal przy naszym towarzyszu. Dopłynęli do statku jednocześnie. Kiedy Knut wdrapywał się na pokład, dwumetrowy żar łącz prześliznął mu się pod brzuchem, dobijając do burty tratwy. Daliśmy mu smakowity łeb złotej makreli jako podziękowanie za to, że nie połknął Knuta.

Przekonaliśmy się, że to raczej węch niż wzrok budzi drapieżność rekina. Bywało, że siadywaliśmy na krawędzi pokładu z nogami zanurzonymi w wodzie, żeby sprawdzić drapieżność tych ryb, a one podpływały do nas na bliską odległość i spokojnie odwracały się ogonami. Lecz jeśli w wodzie *znalazła* się najmniejsza kropla krwi, jak to się na przykład zdarzało przy patroszeniu ryby, płetwy drapieżników zaczynały poruszać się szybciej i potwory zlatywały się do nas z wielkich odległości. Kiedy wyrzucaliśmy za burtę wnętrzności złowionego rekina, jego krewni szaleli w wodzie i rzucali się wokół tratwy w ślepej wściekłości. Żarłaczki rozdzierały na sztuki wątrobę swego kolegi i jeżeli wtedy zanurzyliśmy stopy w wodzie — rzucały się na nas pędząc jak rakiety i wpijały garnitur zębów w drzewo, tam gdzie przed chwilą spoczywały nasze nogi. Jak widać, rekin rekinowi nie równy, gdyż drapieżnik ten jest na łasce swoich odruchów.

W ostatnim stadium naszego obcowania z żarłaczami zaczęliśmy ciągnąć je za ogony.

Łapanie zwierząt za ogony uchodzi za sport gorszego gatunku prawdopodobnie dlatego, że nikt dotychczas nie próbował go na rekinach. Złapanie rekina za ogon jest wyczynem nie byle jakim.

Najpierw trzeba mu dać coś dobrego na przynętę; chętnie wystawia łeb z wody, aby otrzymać smakołyk. Zwykle dawaliśmy rekinom resztki jedzenia dyndające w torbie na sznurze. Karmienie rekinów z ręki jest zabawne tylko za pierwszym razem. Gdy się karmi w ten sposób psy albo oswojone niedźwiedzie, wsadzają one zęby w mięso, gryzą je i szarpiają, aż urwą kawałek albo dostaną całą sztukę. Lecz kiedy trzymamy wielką makrele w pewnej odległości od głowy rekina, potwór podchodzi bliżej, zwiera szczęki i bez żadnego szarpania połowa dorady znika nagle w paszczy, a my pozostajemy ze szczątkiem ogona w ręku.

Przekrojenie złotej makreli ostrym nożem było dla nas nie lada pracą, lecz rekin robił to w ułamku sekundy. Odcinał kręgosłup trójkątnymi zębami niczym elektryczna maszynka do mięsa. Kiedy żarłacz spokojnie sunął dalej, aby dać nurka, jego płetwa ogonowa wysuwała się na powierzchnię wody i nie trudno było ją uchwycić. Skóra rekina była szorstka jak tarka, a w środku górnej części ogona widniało zagłębienie jakby stworzone do chwytania. Jeżeli się od razu dobrze złapało za to miejsce, zdobycz była pewna. Trzeba było szybko — zanim rekin zebrał siły — szarpnąć i wyciągnąć ogon z wody przeginając go przez pień burtowy tratwy.

Rekin tracił na chwilę orientację, a później zaczynał wić się i rzucać przednią częścią ciała, zresztą dość niemrawo, gdyż bez pomocy ogona ryba nie ma swobody ruchu. Płetwy są bowiem raczej tylko aparatem sterowym żarłacza i pomagają w utrzymaniu równowagi. Po kilku rozpaczliwych szarpnięciach, w czasie których należało mocno trzymać ogon, zaskoczony rekin wpadał w apatię; kiedy zaś luźny worek żołądka osuwał się w rybie w kierunku głowy, rekin cichł zupełnie jak sparaliżowany. Poskromiony żarłacz wisiał teraz łbem do dołu, oczekując dalszego rozwoju wypadków. Trzeba było wyczerpać wszystkie siły, żeby wciągnąć go na pokład. Rzadko udawało się nam od razu wydobyć ciężką rybę z wody. Zanim wyciągnęliśmy ją do połowy, ryba ożywała i sama gwałtownymi szarpnięciami wyrzucała łeb na bale. Wtedy trzeba było tylko trzymać się z daleka, odskakując w bok — i to szybko — żeby ocalić nogi.

Teraz rekin nie był już bowiem w łagodnym humorze. Ciskając się na pokładzie, młócił

ogonem ścianę szałasu, nie szzczędząc swoich stalowych mięśni. Potężne szczęki chwyciły wszystko, czego mogły dosięgnąć. Niekiedy taniec wojenny kończył się powrotem rekina za burtę — i zniknięciem na zawsze po takim haniebnym upokorzeniu. Lecz najczęściej ryba rzucała się chaotycznie na pniach rufy, dopóki nie zarzuciliśmy jej pętli na ogon albo też dopóki nie ustało na zawsze zgrzytanie jej diabelskich zębów. Papuga była zawsze zafrapowana widokiem rekina na pokładzie. Wskakiwała z szałasów i wdrapywała się w szalonym pędzie po ścianie domku, dopóki nie znalazła bezpiecznego punktu obserwacyjnego na palmowym dachu, gdzie siadywała i spoglądała przekrzywiając łebek lub też podskakiwała i pokrzykiwała z podniecenia. Ptak bardzo szybko stał się dobrym marynarzem i tryskał zawsze humorem i dowcipem. Było nas więc siedmioro na pokładzie: sześciu ludzi i zielona papuga. Krab Johannes musiał zadowolić się tym, że uznaliśmy go za zimnokrwisty dodatek do rodziny. W

nocy papuga wchodziła do klatki pod dachem, a w dzień dreptała po pokładzie albo wieszła się na padunach i sztagach<sup>31</sup> wykonując fascynujące łamańce akrobatyczne. Na początku mieliśmy na sztagach podtrzymujących maszt ściągacze, lecz przecierały one liny i trzeba je było zastąpić zwyczajnymi węzłami. Kiedy sztagi wskutek słońca i deszczu rozciągnęły się i obluzowały, wszyscy musieliśmy naciągać takie-lunek tak, aby maszt z twardego i ciężkiego jak żelazo drzewa mangrowego nie rwał lin i żeby się nie przewrócił. Gdyśmy naciągali i utwierdzali liny, w najkrytyczniej szych momentach papuga wołała swoim błazeńskim głosem: "Cięgnij! Hej raaz! Ho-ho-ho, ha-ha-ha!" Kiedy zaczynaliśmy się z tego śmiać, ptak zaśmiewał się również ze swego dowcipu i kręcił się wirując wokół sztagów.

Z początku papuga boczyła się na naszych radiotelegrafistów.

Bywało, że siadywali oni spokojnie w kąci radiowym, z magicznymi słuchawkami an uszach,

szczęśliwi i pogrążeni w rozmowie z jakimś radioamatorem w Oklahomie. Nagle głos w słuchawkach zamierał i nie można było złapać żadnego dźwięku, mimo manewrowania gałkami i drutami. To papuga odgryzała antenę. Zdarzało się to szczególnie często w pierwszym okresie podróży, kiedy antena wisiała na baloniku. Lecz pewnego dnia ptak poważnie zachorował. Siedział w klatce nastroszony i osowiały i nie ruszał jedzenia przez dwa dni, a jego "wizytówki" lśniły złotymi kawałkami drutu od anteny. Wtedy radiotelegrafisci pożałowali swoich gniewnych słów, a papuga swoich psot. Od tego dnia Torstein i Knut stali się jej najlepszymi przyjaciółmi. Ptak zaczął sypiać tylko w kąciku radiowym. Kiedy papuga przybyła na tratwę, jej ojczystym językiem był hiszpański. Bengt twierdził, że ptak zaczął

mówić po hiszpańsku z norweskim akcentem na długo przedtem, zanim nauczył się naśladować ulubione przekleństwa Torsteina w rdzennym, norweskim języku.

Cieszyliśmy się dobrym humorem i jaskrawym upieczeniem papugi *przez* dwa miesiące, aż któregoś razu przyszła z rufy wielka fala właśnie w chwili, kiedy ptak schodził po sztagu ze szczytu. Gdy odkryliśmy, że papuga znalazła się za burtą, było już za późno. Nie ujrzelśmy jej więcej. Kon-Tiki nie można było zatrzymać lub zawrócić; jeżeli cokolwiek znalazło się za burtą, ginęło na zawsze. O tym wiedzieliśmy już z doświadczenia. Pierwszego wieczoru utrata papugi zrobiła na nas deprymujące wrażenie; wiedzieliśmy teraz dokładnie, że to samo stanie się z nami, jeśli któryś z nas wypadnie za burtę w czasie samotnej wachty nocnej.

Zaostrzyliśmy nasze przepisy bezpieczeństwa, linę ratunkową dla nocnej zmiany zmieniliśmy na nową i przekonywaliśmy jeden drugiego, że nie powinniśmy czuć się bezpieczni, mimo że przez pierwsze dwa miesiące wszystko szło nam dobrze. Jeden nieostrożny krok, jeden nieopatrzny ruch i mogliśmy — nawet w biały dzień — znaleźć się tam, gdzie zielona papuga. Wiele razy obserwowaliśmy duże, białe torebki jaj ośmiornicy, podobne do trupich czaszek, pływające na powierzchni błękitnych fal. Któregoś razu zauważyliśmy ośmiornicę wijącą się tuż obok tratwy pod powierzchnią wody. Widzieliśmy śnieżnobiałe kule pływające koło nas i sądziliśmy z początku, że nie trudno będzie je wyłowić płynąc po nie na gumowej *dinghy*. To samo myśleliśmy, kiedy podarła się sieć do łowienia planktonu tak, że cały worek oderwał się i kołysał za nami na falach. Spuściliśmy na wodę *dinghy* uwiązaną na linie, zamierzając odpłynąć wstecz,

lecz ku naszemu zdumieniu wiatr i fale odrzucały *dinghy*, a lina z Kon-Tiki ciągnęła tratwę tak gwałtownie, że nigdy nie mogliśmy wrócić do miejsca opuszczonego przed chwilą. Niekiedy znajdowaliśmy się zaledwie w odległości kilku metrów od przedmiotu, który chcieliśmy dosięgnąć, lecz w tej chwili lina rozwijała się do końca i Kon-Tiki ciągnął nas gwałtownie na zachód. "Raz za burtą — na zawsze za burtą" — tę lekcję życie wypaliło niezatarcie w naszej świadomości. Kto chciał pozostać wśród towarzyszy, musiał trzymać się tratwy, dopóki nasz statek nie dotknie dziobem lądu po przeciwnej stronie oceanu, Papuga pozostawiła po sobie pustkę w kąciku radiowym, lecz kiedy nazajutrz tropikalne słońce zaświeciło znowu nad Pacyfikiem, żałobny nastrój minął. W ciągu następnego dnia wyciągnęliśmy na pokład wiele żarłaczy, znajdując stale w ich żołądkach 31 Paduny i sztagi - liny podtrzymujące maszty.

oprócz głów tuńczyków i innych osobliwości czarne, zakrzywione papuzie dzioby. Po dokładniejszym przyjrzeniu okazywało się jednak zawsze, że czarne dzioby należały do strawionych ośmiornic.

Nasi dwaj radiotelegrafisci mieli ciężki los. Już pierwszego dnia w Prądzie Humboldta baterie ociekały wodą morską tak, że musieli wrażliwy kącik radiowy przykryć brezentami, żeby uratować przed spienionymi falami, co się jeszcze dało. Kłopot był też z urządzeniem odpowiednio długiej anteny na małej tratwie. Usiłowali rozpiąć antenę w powietrzu za pomocą latawca, ale porywy wiatru zбиваły go w dół. W końcu zanurzył się w wodę i znikł.

Wtedy spróbowali puścić w górę balonik z anteną, lecz tropikalne słońce wypaliło w nim dziurę. Balon pękł i zatonął w morzu. Potem przysły kłopoty z papugą. W dodatku do tych wszystkich zmartwień upłynęły dwa tygodnie żeglugi w Prądzie Peruwiańskim, zanim wyszliśmy z martwej strefy wokół łańcucha Andów, w której krótkie fale były tak głuche, jak powietrze w hermetycznej puszcze od konserw.

Wreszcie pewnej nocy krótkie fale przedarły się przez eter i sygnał wywoławczy Torsteina usłyszał radioamator w Los Angeles, który siedział i majstrował przy swoim nadajniku, żeby nawiązać kontakt z innym krótkofalowcem w Szwecji. Chciał najpierw wiedzieć, jaki mamy rodzaj radiostacji, a gdy otrzymał odpowiedź, zapytał z kolei Torsteina, kim jest i gdzie mieszka. Gdy usłyszał, że mieszkaniem Torsteina jest bambusowy szałas na Oceanie Spokojnym, w słuchawkach rozległ się szereg dziwnych trzasków klucza. Kiedy po usłyszeniu dalszych szczegółów od Torsteina rozmówca w eterze zdołał się opanować, powiedział nam, że na imię mu Hal, że ma żonę, której na imię Anna i która jest szwedzkiego pochodzenia, i że zawiadomi nasze rodziny, że żyjemy i czujemy się dobrze.

“Dziwne to — myśleliśmy tego wieczoru — że obcy człowiek imieniem Hal, operator kinowy zagubiony wśród rojowiska ludzkiego w Los Angeles, był oprócz nas samych jedyną osobą na świecie, która wiedziała o tym, iż żyjemy i czujemy się dobrze. Poczynając od tej nocy, Hal — alias Harold Kempel — i jego przyjaciel Frank Cuevas dyżurowali na zmianę nocami i nasłuchiwali sygnałów z tratwy. Herman zaś otrzymał od szefa amerykańskiego instytutu meteorologicznego depeszę z podziękowaniem za swoje codzienne raporty nadawane z obszaru nie objętego dotychczas statystyką meteorologiczną. Później Knut i Torstein prawie każdej nocy nawiązywali kontakty z innymi radioamatorami, ci zaś przekazywali nasze pozdrowienia do Norwegii za pośrednictwem radioamatora Egila Berga w Notondden.

Na środku oceanu do kącika radiowego dostało się po paru dniach zbyt wiele słonej wody i aparat zamarł. Telegrafisci stawali na głowach pracując dnie i noce za pomocą śrubokrętów i lutownic, a radioamatorzy przypuszczali, że dni tratwy zostały już policzone.

Lecz pewnej nocy znowu sygnał L-I-2-B pomknął przez eter i za chwilę kącik radiowy huczał

jak gniazdo os, kiedy setki amerykańskich radioamatorów próbowało jednocześnie odpowiedzieć na nasz sygnał wywoławczy. I rzeczywiście, w kąciku radiowym czuliśmy się czasem naprawdę jak w gnieździe os, jeśli któryś z nas zapaścił się na zastrzeżony teren radiowców. Wszystko było tam tak wilgotne od morskiej wody, która przesiąkała przez drzewo, że chociaż pień, na którym siedział radiotelegrafista, pokryty był kawałkiem surowego kauczuku, to przy dotknięciu do klucza nadajnika intruza łapał prąd elektryczny zarówno w siedzenie, jak i w końce palców. Ile razy ktoś z niepowołanych próbował ukraść ołówek z dobrze wyposażonego kącika, włosy stawały mu dęba na głowie, a z ołówka wyskakiwały długie, kłujące iskry. Tylko Torstein, Knut i papuga mogli bez obawy poruszać się w swoim kąciku; postawiliśmy więc arkusz tektury, żeby oznaczyć niebezpieczną

strefę dla pozostałych.

Pewnej późnej nocy Knut siedział majstrując przy latarni w kąci radiowym, kiedy nagle pociągnął mnie za nogę mówiąc, że wszedł w kontakt z facetem, który mieszka koło Oslo i nazywa się Christian Amundsen. Był to nie lada rekord, gdyż nasza krótkofalówka ze swoimi 13 990 Kc/sek. nie miała większej mocy niż sześć watów, czyli tyle co kieszonkowa latarka elektryczna. Było to 2 sierpnia, kiedy mieliśmy już za sobą przeszło 60 stopni geograficznych, więc Oslo znajdowało się po przeciwnej stronie globu ziemskiego. Następnego dnia przypadało siedemdziesięciopięciolecie urodzin króla Haakona, posłaliśmy mu więc gratulacje z tratwy.

Następnego dnia Christian zjawił się znowu na antenie i nadesłał nam odpowiedź od króla, który życzył nam szczęścia i powodzenia w podróży.

Pamiętamy też inny wypadek kontrastujący z trybem życia na tratwie. Mieliśmy na statku dwa aparaty fotograficzne, a Erik zabrał ze sobą przyrządy do wywoływania zdjęć w czasie podróży, aby można było ponawiać te zdjęcia, które się nie udały. Po odwiedzinach wielorybiego rekina nie mógł się już dłużej powstrzymać i pewnego wieczoru zmieszał

chemikalia z wodą dokładnie według przepisu i wywołał dwa filmy. Negatywy wyglądały jak zdjęcia przesyłane drogą iskrową — nie widać było nic oprócz mętnych plamek i zmarszczek.

Film był zniszczony. Nawiązaliśmy telegraficzny kontakt z radioamatorami prosząc o radę.

Nasze pytania odebrał krótkofalowiec z Hollywood, który /atelefonował do laboratorium fotograficznego, a wkrótce potem połączył się z nami i przekazał informację, że nasz wywoływacz był za ciepły; nie należało używać wody o temperaturze ponad 16°, inaczej negatywy marszczą się. Podziękowaliśmy mu za dobrą radę i stwierdziliśmy, że najniższa temperatura w naszym utoczeniu, to jest temperatura wody w prądzie morskim, liczyła 27°.

Herman był przecież inżynierem techniki chłodniczej, zażądałem więc od niego żartem, żeby obniżył temperaturę wody do 16°. Poprosił o cylinder z dwutlenkiem węgla, służący do nadmuchiwania naszej *dinghy*, i zaczął robić sztuki magiczne w kociołku przykrytym śpiworem i koszulką. Po paru hokus-pokusach zjawił się rzeczywiście z dużym kawałem lodu w kociołku i śladami śniegu na nieogolonej brodzie. Erik na nowo wywołał zdjęcia i uzyskał

doskonały rezultat.

Ale nawet jeśli znaki klucza telegraficznego w eterze, rozszyfrowywane przez Torsteina i Knuta, były luksusem nieznanym w czasach Kon-Tiki, to fale oceanu pod nami pozostały te same. Niosły one tratwę z balsy wytrwale na zachód, podobnie jak to się działo 1 500 lat temu.

Pogoda zaczęła się psuć. Zjawiły się szkwały<sup>32</sup> deszczowe, a gdy zbliżaliśmy się do obszarów Oceanii, pasat zmienił swój kierunek. Dopóki byliśmy w Prądzie Równikowym, wiał

on stale i pewnie z południowego wschodu. Później zmienił powoli kierunek i zaszedł od wschodu. 10 czerwca osiągnęliśmy najdalej wysuniętą na północ pozycję na 6°19' południowej szerokości.

Byliśmy tak blisko równika, iż wydawało się, że żeglujemy na północ od Archipelagu Markizów i zupełnie zgubimy się w morzu nie znajdując lądu. Lecz wtedy właśnie wiatr zaczął dąć z północnego wschodu i popędził nas łukiem ku szerokościom geograficznym wysp Oceanii. Często zdarzało się, że wiatr i fala nie zmieniały się przez szereg dni, wtedy zapominaliśmy zupełnie, komu z kolei wypadła sterowa wachta. Wyjątek stanowiły noce, kiedy wachtowy sternik dyżurował samotnie na pokładzie. Przy stałym wietrze wiosło sterowe sztywno uwiązane spoczywało za rufą, a żagiel Kon-Tiki wypełniał się sam. W takie noce wachtowy mógł siedzieć spokojnie przy drzwiach szalasu obserwując gwiazdy. Jeżeli gwiazdozbiory zaczynały zmieniać swoje pozycje na niebie, był to znak, że należało wyjść na pokład i sprawdzić, czy to wiatr zmienił kierunek, czy wiosło sterowe.

Żeglowanie według gwiazd było nieprawdopodobnie łatwe, jeżeli oglądało się je przez szereg tygodni z rzędu, jak zakreślały łuki na sklepieniu niebieskim. W nocy zresztą nic poza gwiazdami nie było widać. Widzieliśmy, że w miarę jak statek posuwa się na zachód, gwiazdy nad nami zmieniają się ciągle, a kiedy zbliżyliśmy się do równika, Wielka Niedźwiedzica wzniosła się po północnej stronie horyzontu. Gwiazdozbiór ten świecił tak jasno, iż oczekiwaliśmy z napięciem wzejścia Gwiazdy Polarnej widzialnej na północnej półkuli, lecz wtedy właśnie zaczął wiać północno-wschodni pasat i Wielka Niedźwiedzica znikła za horyzontem.

Dawni Polinezyjczycy byli doskonałymi nawigatorami. W dzień brali oni namiary słońca, a w nocy określali pozycję według gwiazd. Ich znajomość ciał niebieskich była zadziwiająca. Wiedzieli, że ziemia jest kulista, i mieli nazwy dla tak abstrakcyjnych pojęć, jak równik, ekliptyka i zwrotniki — północny i południowy. Na Wyspach Hawajskich wycinali oni mapy morskie na ogrąglonych dyniach. Na innych znów wyspach wyrabiali z plecionki szczegółowe mapy, na których wysepki oznaczano kawałeczkami masy perłowej, a prądy morskie — gałązkami. Polinezyjczycy znali pięć planet nazywanych wędrującymi gwiazdami i odróżniali je od stałych gwiazd, dla których mieli około trzystu nazw. Dobry nawigator w dawnej Polinezji wiedział, w której stronie nieba wschodzą poszczególne gwiazdy, znał też ich pozycje o różnych godzinach nocy i w różnych porach roku. Wyspiarze dobrze się orientowali, które gwiazdy kulminowały nad poszczególnymi wyspami, często nadawali wyspom nazwy według gwiazd kulminujących nad nimi noc po nocy i rok po roku.

Kiedy Polinezyjczycy zbadali i podporządkowali sobie morze położone najbliżej Ameryki, utrzymywali oni przez wiele pokoiów komunikację między niektórymi wyspami.

Historyczne tradycje mówią, że gdy wodzowie z Tahiti pojechali w odwiedzinę na Hawaje, leżące przeszło 2000 mil morskich na północ i szereg łuków geograficznych na zachód, sternik żeglował najpierw prosto na północ według gwiazd i słońca, póki gwiazdy nad głową nie powiedziały mu, że znajduje się na szerokości Wysp fawajskich. Wtedy zmienił kurs o 90° i pożeglował prosto na zachód, aż podszedł tak blisko, że ptaki i chmury wskazały mu położenie grupy wysp.

Gdzie wyspiarze zdobyli tak wielką wiedzę astronomiczną i kalendarz obliczony ze zdumiewającą dokładnością? Z pewnością nie od melanezyjskich i malajskich ludów na zachodzie. Znamienne jest, że to samo stare, zaginione, cywilizowane plemię "brodatych, białych ludzi", które przekazało swoją zadziwiającą kulturę Aztekom, Inkom i Mayom w Ameryce, opracowało taki właśnie kalendarz i podobny system astronomiczny, nie znany jeszcze w ówczesnej Europie.

W Peru, gdzie kontynent pochyla się ku Oceanowi Spokojnemu, po dziś dzień stoją w piasku

pustynnym ruiny obserwatorium astronomicznego z pradawnych czasów, pozostałego po tym samym tajemniczym ludzie, który wykuwał kolosy kamienne, wznosił piramidy oraz uprawiał dynie i słodkie kartofle.

2 lipca wachta nocna nie mogła już dłużej siedzieć w spokoju, patrząc na gwiazdy. Po kilku dniach lekkiej, północno-zachodniej bryzy przyszedł silny wiatr, burząc spokojne dotychczas morze. Noc była wietrzna i księżycowa, tratwa żwawo sunęła naprzód.

Mierzyliśmy szybkość naszego statku, licząc sekundy, w ciągu których patyk wyrzucony za burtę przepływał wzdłuż krawędzi tratwy, i obliczyliśmy, że tej nocy osiągnęliśmy nasz rekord szybkości. Podczas gdy przeciętna szybkość wynosiła w żargonie używanym na tratwie 32 Szkwał - nagły, porywisty wiatr lub nagły wzrost siły wiatru.

dwanaście do osiemnastu "patyków", tej nocy wzrosła ona do sześciu "patyków" i fosforyzująca piana wirowała za rufą.

Czterech ludzi leżało i chrapało w bambusowej chatce, Torstein stukał kluczem Morsego, a ja pełniłem wachtę przy sterze. Na krótko przed północą zauważyłem niezwykle wielki bałwan nadbiegający od rufy i zasłaniający mi całe wzburzone pole widzenia. Za nim widać było pieniaące się grzebienie dwóch innych olbrzymich wałów wodnych następujących sobie na pięty. Gdybyśmy nie przepłynęli przed chwilą nad tym miejscem, byłbym przekonany, że widzę przybój rozbijający się o niebezpieczną mieliznę. Kiedy nadeszła pierwsza fala podobna do długiej ściany goniącej nas w księżycowym świetle, wydałem ostrzegawczy okrzyk i ustawiłem tratwę rufą do bałwanów.

Gdy grzywacz nadbiegł, tratwa uniosła nas nad łamiący się grzbiet fali. Grzebień zasyczał. Pędziliśmy przez wiry kipiącej piany, która przelewała się po obu stronach tratwy, podczas gdy ciężka fala toczyła się pod nami. Na koniec fala przeszła, dziób statku poleciał do góry, a rufa ześliznęła się w szeroką dolinę. Zaraz też nadleciał następny wał wodny, podnosząc nas znowu elegancko w powietrze, a w chwili kiedy przerzynaliśmy szczyt grzywacza, przezroczyste masy wody zwały się na rufę tratwy. W rezultacie tratwa odwróciła się bokiem do wiatru i nie łatwo ją było naprowadzić na właściwy kurs. Nadbiegła następna fala narastająca strzępami piany i dosięgnąwszy statku pochyliła swoją górną krawędź nad nami.

Widząc, że masy wodne rzucają się na tratwę, złapałem się mocno bambusowej żerdzi na dachu szałas, wstrzymując oddech. Czułem jednocześnie, że tratwa wlatuje w powietrze, a wszystko wokół rnie pędzi w szumiących fontannach piany. W sekundę później byliśmy wraz z Kon-Tiki znowu ponad wodą i ześliznęliśmy się spokojnie w dół ładnego zbocza grzywacza, na drugą stronę. Teraz fale uspokoiły się. Trzy wielkie wały wodne pędziły daleko przed nami, a za rufą słał się sznur kokosów kołysząc się na falach.

Ostatni bałwan zadał chatce tak potężny cios, że Torstein poleciał na łeb na szyję w swoim kąciku radiowym, a inni obudzili się przestraszeni łoskotem, podczas gdy woda wlewała się strumieniami między balami i przez ściany szałas. Z przodu, po lewej stronie, bambusowa plecionka pokładu była rozdarta tworząc jakby mały krater wulkanu, a kosz nurkowy leżał

spłaszczony na dziobie; poza tym nie ponieśliśmy większych szkód. Nigdy nie potrafiliśmy wyjaśnić,

skąd przyszły te trzy wielkie grzywacze; można było jedynie przypuszczać, że powstały one w rezultacie ruchów dna morskiego, które nie są rzadkie w tych okolicach.

W dwa dni później przeżyliśmy pierwszy sztorm. Zaczęło się od tego, że pasat zamarł

zupełnie, a lekkie, pierzaste obłoczki pasatowe pędzące nad naszymi głowami po błękitnym niebie /ostały nagle zasłonięte przez ciężkie, czarne zwały chmur, które nadciągały z południowej strony horyzontu. Później z najmniej oczekiwanych kierunków nadeszły porywy wiatru, tak że wachtowi przy sterze nie mogli dać sobie zupełnie rady. Jak tylko obracaliśmy statek rufą do wiatru wiejącego z nowego kierunku i żagiel wyrzusał się sztywno, wiatr uderzał z innej strony, żagiel obracał się i łopotał tak mocno, aż strach brał o statek i ładunek.

Nagle wiatr uderzył prosto z południa, a kiedy czarne chmury przewalały się nad nami, bryza wzmogła się do wichury, która z kolei rozwinęła się w prawdziwy sztorm.

W ciągu nieprawdopodobnie krótkiego czasu bałwany wokół nas wzbiły się do wysokości pięciu metrów, a poszczególne grzebienie syczały nawet siedem, osiem metrów powyżej dolin fal, tak że kiedy statek leżał w dolinie, grzebienie dosięgały szczytu masztu.

Musielismy się wszyscy poruszać na pokładzie zgięci wpool, podczas gdy wichur wstrząsał bambusowymi ścianami, gwizdał i wył w olinowaniu.

Rozpostarliśmy brezent na tylnej i lewej ścianie domku, aby osłonić naszą radiostację.

Wszystkie luźne ładunki uwiązaliśmy mocno, a żagiel spuściliśmy i owinęliśmy dokoła bambusowej rei.

Gdy tylko niebo zachmurzyło się, morze stało się ciemne i groźne i w całym polu widzenia ocean zabielił się grzebieniami bałwanów. Rozległe smugi opadłej piany leżały pasmami na zboczach długich fal, a wszędzie, gdzie grzywacze złamały się i opadły, plamy zielonej wody ziały jak otwarte rany na czarnonie-bieskim morzu. Wichur zwiewał łamiące się szczyty bałwanów i bryzgi fal unosiły się nad morzem, jak słony deszcz. Tropikalna ulewa zwałała się na nas w poziomych szkwałach i chłostała powierzchnię oceanu zaciemniając wszystko wokół. Woda lejąca się nam z włosów i bród miała słonawy smak; potykaliśmy się na pokładzie zgięci we dwoje, nadzy i zmarznięci, sprawdzając, czy sprzęt i ładunek są przygotowane na spotkanie burzy. Kiedy burza przekroczyła horyzont i ogarnęła nas po raz pierwszy, w oczach załogi można było odczytać niepokój. Lecz gdy sztorm już na dobre rozszalał się nad statkiem, a Kon-Tiki zaczął lekko i wdzięcznie wzbijać się ponad bałwany, burza stała się podniecającym sportem. Towarzysze rozkoszowali się teraz dzikim żywiołem, z którym tratwa tak swobodnie dawała sobie radę, wzlatując zawsze na szczyty fal jak korek, podczas kiedy główna masa szalejącej wody przelewała się stale kilka cali nad narni. W taką burzę morze miało wiele wspólnego z górami. Odbywaliśmy jak gdyby wspinaczkę wśród burzy na najwyższych, nagich i szarych graniach. Chociaż byliśmy w sercu tropików, tratwa ślizgająca się w dół i w górę po kurzącej się pyłem wodnym pustyni morskiej, przypominała nam zjazdy ze śnieżnych zboczy i żlebów.



Sternicy mieli się na baczności w taką pogodę. Gdy najwyższe wały wodne przechodziły pod przednią częścią tratwy, belki na rufie wyskakiwały z wody, ale już w następnej chwili waliły się w dół, by wspiąć się znowu na nadchodzący grzebień. Za każdym razem, kiedy bałwany szły tak blisko siebie, że drugi zabierał się już do nas od strony rufy, a pierwszy trzymał jeszcze dziób tratwy w powietrzu, ciężkie masy wodne waliły się na sterników ze straszliwym grzmotem. Lecz już w następnej sekundzie belki rufy podnosiły się i powódź ustępowała spływając między pniami tratwy jak między zębami widelca.

Obliczyliśmy, że przy normalnie spokojnym morzu, kiedy przerwa między grzbietami najwyższych fal trwała mniej więcej siedem sekund, przelewało się przez rufę około 200 ton wody na dobę. Niewielkie potoki wody przelewały się w spokojną pogodę między bosymi nogami sterników, znikając szybko w szparach pokładu. W czasie burzy natomiast, w ciągu jednej doby przelało się przez pokład tratwy ponad 10 000 ton wody, która w ilościach od kilku litrów do 2—3 metrów sześciennych waliła się co pięć sekund na pokład statku. Niekiedy bałwany łamały się na tratwie z takim ogłuszającym hukiem i impetem, że sternik stał w wodzie do pasa i czuł się, jak gdyby szedł pod prąd w bystrej r/ece. Tratwa drżała przez chwilę, aż ogromny ciężar, przewalający jej rufę w dół, zniknął wreszcie za burtą w wielkich kaskadach.

Herman mierzył regularnie anemometrem szczytowe nasilenie sztormu, które utrzymywało się całą dobę. Stopniowo sztorm zmniejszył się przechodząc w silny wiatr przeplatany ulewami, który nadal chłostał wokół nas powierzchnię wody. Tratwa zwawo sunęła na zachód. Ażeby między piętrzącymi się bałwanami można było otrzymać dokładne pomiary wiatru, Herman musiał wykorzystywać odpowiednie chwile i wdrapywać się na rozkołysany szczyt masztu, na którym nie łatwo było się utrzymać.

Kiedy wiatr *zelzał*, wydawało się, że wielkie ryby wokół statku oszalały zupełnie.

Morze okalające tratwę było pełne rekinów, tuńczyków, makreli i oszołomionych bonitów, wijących się pod belkami tratwy i na najbliższych falach. W oceanie toczyła się walka na śmierć i życie. Grzbiety wielkich ryb stawały raz po raz nad powierzchnią wody i wystrzelały z niej jak rakiety, podczas gdy omywająca nas woda zabarwiała się gęstą krwią. Najczęściej walczyły ze sobą tuńczyki i złote makrele, które nadchodziły w wielkich ławicach i poruszały się szybciej i żywiej niż zwykle. Atakowały tuńczyki ciskając wysoko w powietrze swoje siedemdziesięciokilowe cielska. Wyskakiwały wysoko w powietrze, z zakrwawionymi łbami makreli w pysku. Pojedyncze złote makrele zmykały wprawdzie przed prześladowcami, lecz ławica nie ustępowała, choć wiele makreli krążyło już z wielkimi ranami na grzbietach. Raz po raz wpadały także rekiny w ślepej pasji i napadały na wielkie tuńczyki, które nie mogły mierzyć się z silniejszym przeciwnikiem.

Nie widać było ani jednej ryby-pilota. Może zostały pożarte przez szalejące tuńczyki, może skryły się w szparach tratwy albo uciekły daleko z pola bitwy. Nie ważyliśmy się wsadzać głów pod wodę, żeby się o tym przekonać. I tak miałem duszę na ramieniu — potem musiałem śmiać się z własnego przestachu — kiedy oddawałem raz hołd naturze. Zdołaliśmy się już przyzwyczaić do fal w naszym "waterkłozecie", lecz nie potrafiłem się opanować, kiedy nieoczekiwanie coś wielkiego, ciężkiego i zimnego jak łeb rekina uderzyło mnie tam, gdzie kończą się plecy. Zanim się opamiętałem, byłem już przy sztagu czując niemal rekina uczeponego tylnej części ciała. Herman, który ze śmiechu zgiął się w pół przy sterowym wiośle, zaledwie zdołał wykrztusić, że był to olbrzymi tuńczyk; wyskoczył z

wody waląc mnie swymi osiemdziesięciu kilogramami w goły tyłek. Później, gdy na wachnię stanęli Herman i Torstein, ta sama ryba próbowała skoczyć z falą na pokład. Dwukrotnie tłuste drabisko opadało na końce pni tratwy, lecz za każdym razem zdążyło przerzucić się znowu za burtę, zanim zdołaliśmy chwycić- śliską zdobycz.

Później zaś jakiś gruby, oszołomiony tuńczyk wpadł na pokład tratwy razem z bałwanem — i to przebrało miarę naszej cierpliwości. Postanowiliśmy zrobić porządek w otaczającym nas chaosie krwi i walki.

Nasz dziennik okrętowy mówi:

„Z początku zahaczyliśmy dwumetrowego rekina i wciągnęliśmy go na pokład.

Ponownie wyrzucony hak został zaraz połknięty przez rekina trzymetrowej długości, którego wciągnęliśmy na tratwę. Hak poszedł znów za burtę i nowy dwumetrowy żarłacz zjawił się nad wodą, ale urwał się w ostatniej chwili i dał nurka. Spróbowaliśmy jeszcze raz i wkrótce ciągnęliśmy innego trzymetrowego rekina. Sprawiał nam niemało kłopotu. Wciągnęliśmy go już łbem na pnie, kiedy wszystkie cztery stalowe liny zostały przegryzione i rekin zniknął w głębinie. Wyrzuciliśmy nowy hak, holując tym razem dwumetrową rybę. Teraz już niebezpiecznie było łowić ryby stojąc na oślizłych belkach rufy, gdyż trzy złowione rekiny rzucały łbami i kłapały szczękami nawet wtedy, kiedy przez dłuższy czas uważaliśmy je już za nieżywe. Pościągaliśmy żarłacza za ogony na kupę przy dziobie. Wkrótce potem na hak złapał

się wielki tuńczyk i zanim dostaliśmy go na pokład, stoczył z nami walkę znacznie bardziej zażartą niż jakikolwiek rekin. Ryba była tak tłusta i ciężka, że żaden z nas nie mógł jej unieść za ogon.

Morze było ciągle pełne szalejących rybich grzbietów. Złowiliśmy jeszcze jednego rekina, ale urwał się przy wyciąganiu na pokład. Potem złapaliśmy i wyciągnęliśmy na pokład dwumetrowego żarłacza. Po chwili przybył jeszcze jeden rekin długi na półtora metra. Potem dwumetrowy, a kiedy hak ponownie poszedł w morze, wyciągnęliśmy żarłacza długości dwa i pół metra”.

Gdzie tylko się ruszyliśmy na pokładzie, wszędzie leżały wielkie rekiny i waliły konwulsyjnie w pokład potężnymi ogonami lub młóciły bambusowe ściany szałasów kłapiąc wokół siebie szczękami. Sztormowe noce zmęczyły nas i sterały, zanim jeszcze rozpoczęliśmy to krwawe rybołówstwo, teraz zaś zupełnie już pomieszało się nam, które ryby były naprawdę martwe, które zgrzytały jeszcze spazmatycznie zębami, gdy się przechodziło obok, a które z nich były pełne życia i leżały jak w zasadzce świecąc swoimi zielonymi, kocimi oczyma. Kiedy dziewięć żarłacza- czy legło między nami wzdłuż i w poprzek pokładu, byliśmy już tak zmęczeni wyciąganiem ciężkich lin i walką z opornymi rekinami, że po pięciogodzinnej walce poddaliśmy się.

Następnego dnia było mniej tuńczyków i złotych makreli, lecz za to wiele rekinów.

Zaczęliśmy znów łowić je na haki i wyciągać na pokład, lecz wkrótce przerwaliśmy polowanie, gdyż zauważyliśmy, że świeża krew żarłaczy, spływająca z tratwy, przyciągała coraz to nowe drapieżne hordy. Wyrzuciliśmy za burtę cielska rekinów i zmyliśmy z krwi pokład do czysta.

Te maty, które były najbardziej zakrwawione i rozdarte zębami oraz szorstką skórą żarłaczy, znalazły się za burtą, a zastąpiliśmy je nowymi złocistożółtymi plecionkami, które przechowywaliśmy ułożone warstwami na przednim pokładzie.

Wieczorem, gdy poszliśmy spać, majaczyły się nam drapieżne, złe paszcze rekinów i gęsta krew. Zapach mięsa żarłaczy tkwił w nozdrzach. Mięso to było jadalne i miało smak wątlusza, jeżeli wymoczyło się je uprzednio w wodzie morskiej przez dwadzieścia cztery godziny. O wiele smaczniejsze jednak były tuńczyki i bonity.

Tego wieczoru po raz pierwszy słyszałem, jak jeden z towarzyszy mówił, że przyjemnie byłoby rozciągnąć się na zielonej trawce pod palmami; miło by było także zobaczyć nareszcie coś innego niż zimne ryby i wzburzone morze. Pogoda znowu się ustaliła, lecz nigdy nie była już tak trwała i niezawodna jak przedtem. Większa część naszego zapasu wody zepsuła się i nabrała zgniłego smaku i zapachu, dlatego też cieszyliśmy się widząc, że niespodziane, gwałtowne porywy wiatru przynoszą ze sobą silne ulewy. Kiedy padał deszcz, stawaliśmy na pokładzie nago i zbieraliśmy wodę z dachu szalasu, zażywając luksusu kąpieli w słodkiej wodzie, która zmywała z naszych ciał sól morską.

Ryby-piloty tańczyły teraz znowu pod tratwą na swoich zwykłych miejscach. Nie wiedzieliśmy jednak, czy byli to nasi starzy towarzysze wracający po krwawej rzezi, czy też nowi, przejęci przez nas w ogniu walki.

21 lipca znowu nagle zamarł wiatr. Powietrze stało się duszne, wokół panowała cisza.

Teraz już wiedzieliśmy, co to oznacza. I rzeczywiście, po kilku gwałtownych podmuchach ze wschodu, zachodu i południa zaczęła wiać bryza z południa i czarne, groźne chmury znowu zakryły niebo. Herman tkwił na pokładzie z anemometrem i stwierdził szybkość w granicach 14 do 16 metrów na sekundę, gdy nagle śpiwór Torsteina poleciał za burtę. To, co się stało w ciągu kilku następnych sekund, odbyło się znacznie szybciej niż można opowiedzieć.

Herman, który próbował złapać uciekający worek, zrobił nieostrożny krok i wypadł za burtę. Usłyszeliśmy słabe wołanie o pomoc zagłuszone szumem fal i ujrzeliśmy głowę Hermana i jedną wymachującą rękę, obok niego coś zielonego i nieokreślonego przewijało się w wodzie. Herman walczył o życie starając się dopłynąć do tratwy poprzez piętrzące się grzywacze, które unosiły go w górę po lewej burcie statku. Torstein sterujący wio-słem i ja na dziobie spostrzegliśmy go pierwsi. Z przerażenia mróz nam przeszedł po skórze. Rycząc;

“Człowiek za burtą”! — pognaliśmy do najbliższego sprzętu ratunkowego. Inni nie usłyszeli wcale krzyku Hermana, zagłuszonego szumem fal, lecz momentalnie na pokładzie zrobił się ruch i gwałt. Wiedzieliśmy, że chodzi tu o życie Hermana, i chociaż był świetnym pływakiem, mieliśmy słabą nadzieję, że zdąży dopłynąć *crawlem* do krawędzi tratwy. Torstein, który był

najbliżej, rzucił się na leżącą pod ręką bambusową szpulę z liną używaną do naszej łodzi ratunkowej. Jeden jedyny raz w czasie całej podróży — teraz właśnie — lina poplątała się.

Wszystko to odbyło się w ciągu sekundy. Herman płynął teraz na wysokości rufy tratwy i jego ostatnią nadzieją było — dopłynąć do wiosła sterowego i uczepić się mocno pióra. Nie udało się —

sięgnął do pióra wiosła, ale odsunęło się od niego. Płynął teraz w nurcie tratwy, z którego, jak wiedzieliśmy dobrze, nic już nie wraca na pokład. Zanim Bengt i ja spuściliśmy tratawkę, Knut i Erik rzucili do wody pas ratunkowy, gotowy do użytku, z przywiązaną doń długą liną. Ale wiatr wiał tak gwałtownie, że wyrzucana za rufę kamizelka wracała zdmuchiwana z powrotem na pokład. Po kilku nieudanych rzutach Herman pozostał już daleko za wiosłem sterowym, rozpaczliwie starając się dopędzić statek. Odległość między nami wzrastała za każdym podmuchem wiatru. Pływak rozumiał, że odległość ta będzie się z każdą chwilą zwiększać, lecz liczył jeszcze na tratawkę, którą właśnie spuściliśmy na wodę. Bez liny, hamującej ruch *dinghy*, istniała możliwość dopłynięcia do Hermana. Wątpliwa była tylko możliwość powrotu — dopędzenia łódką Kon-Tiki. W każdym razie trzech ludzi w *dinghy*

'miało jakąś szansę — samotny pływak w morzu nie miał żadnej. Nagle ujrzeliśmy, jak Knut poderwał się i dał nurka do wody. W ręce miał pas ratunkowy i parł naprzód ku Hermanowi. Za każdym razem, kiedy głowa Hermana wynurzała się unoszona falą, Knut był pod wodą, a gdy widzieliśmy Knuta — Herman znikał. W pewnej chwili obie głowy zjawiły się tuż obok siebie; pływający dopłynęli do siebie *crawlem* i po chwili obaj trzymali się zbawczej kamizelki. Knut pomachał ręką, a ponieważ tratawka w tym czasie była już wyciągnięta, wszyscy czterej złapaliśmy za linę przymocowaną do kamizelki ratunkowej, ciągnąc ją ze wszystkich sił, ze wzrokiem utkwionym w wielki, ciemny przedmiot kręcący się na falach za naszymi przyjaciółmi. Płynąc do Hermana przed chwilą Knut doznał wstrząsu na widok czarnego trójkąta za plecami kolegi, gdyż tylko ten ostatni wiedział, że trójkąt nie był płetwą żadnego rekina czy innego potwora morskiego, a po prostu — wydętym' rogiem śpiwora Torsteina. W

chwilę po wciągnięciu obu pływaków żywych i zdrowych na pokład, śpiwór zniknął. To coś, co wciągnęło go do wody, straciło właśnie dwa smaczniejsze kąski.

— Dobrze, że mnie nie było w tym śpiworze — powiedział Torstein chwytając znowu opuszczone wiosło sterowe.

Tego wieczoru słyszeliśmy jednak niewiele wesołych żartów; przez dłuższy czas wszyscy czuliśmy jeszcze zimne dreszcze przebiegające po plecach. Mieszały się one z ciepłym uczuciem radości, że znowu wszyscy byliśmy razem na tratwie; Knut usłyszał w tym dniu od Hermana i od nas wiele przyjemnych słów.

Niewiele czasu mieliśmy jednak na rozmyślania o tym, co się zdarzyło. Niebo ciemniało nad naszymi głowami, porywy wiatru krzepły i zanim zapadła noc, mieliśmy już nowy sztorm. Teraz wyrzuciliśmy pas ratunkowy na długiej linie do wody, tak że płynął on za wiosłem sterowym. Gdyby ktoś z nas został zmyty do morza przez nagły szkwał, miałby możliwość ratunku. Gdy nadeszła noc, ciemność stała się nieprzenikniona. Kołysząc się w mroku czarnym jak smoła słyszeliśmy i czuliśmy tylko wichurę świszczącą w olinowaniu; , porywy wiatru waliły z miążdzącą siłą w wiotką ścianę chatki, której w każdej chwili groziło zwianie za burtę. Na szczęście szalas był okryty brezentem i zamocowany linami do pokładu.

Czuliśmy, jak Kon-Tiki unosi się na spienionych bałwanach, a pnie balsy poruszają się w górę i w dół jak klawisze. Dziwiliśmy się zawsze, że z odstępów między pniami nie tryskają kaskady wody, lecz szpary działały tylko jak miechy pompujące wilgotne powietrze tam i z powrotem.

Przez całych pięć dni i nocy pogoda wahała się między prawdziwym sztormem a lekkim wichrem; morze pokryło się szerokimi dolinami wypełnionymi wodną kurzawą powstałą z pieniających się szarobłękitnych fal, które wiatr zdawał się płaszczyc i wydłużać. Piątego dnia pomiędzy chmurami ujrzeliśmy skrawek błękitu i złowieszcze, czarne opary chmur ustąpiły miejscem zwycięskiemu, wiecznie błękitnemu niebu. Uszliśmy burzy tanim kosztem. Wiosło sterowe zostało złamane, żagiel poszarpany, a miecze wisiały luźno i tłukły się bezwładnie o belki, gdyż fale zerwały liny, które je usztywniały. Ładunek został nietknięty.

Dwa kolejne sztormy osłabiły złącza Kon-Tiki. Wszystkie wiązania napinane przy każdym wejściu tratwy na strome zbocza fal rozciągnęły się, nieustanny ruch pni spowodował, że liny przytrzymujące belki wżarły się w drewno. Dziękowaliśmy losowi, że idąc za przykładem Inków nie użyliśmy stalowych lin, które w czasie burzy porznęłyby całą tratwę na drzazgi. Gdybyśmy zaś przy starcie użyli zupełnie suchych pni balsy, ledwie zanurzających się w wodzie, tratwa od dawna nasiąkłaby wodą i zatonała pod naszym ciężarem w morzu. Sok przesycający wnętrza świeżych pni impregnował drewno i zapobiegał przesączeniu się wody do wnętrza porowatych bali. Wiązania tratwy obluźowały się tak bardzo, że obsunięcie się stopy w szparę groziło zmiażdżeniem przez gwałtownie uderzające o siebie belki. Na dziobie i na rufie, gdzie nie było bambusowego pokładu, musieliśmy zginać kolana, stojąc stopami jednocześnie na dwóch belkach. Rufowe dłużyce pokryte były przez zielone porosty morskie, wskutek czego stały się śliskie jak liście bananów. Wydeptaliśmy co prawda na rufie ścieżkę wśród zieleni i położyliśmy szeroką deskę jako oparcie dla sternika, lecz mimo to nie łatwo było utrzymać się na nogach, gdy fale biły w tratwę. Na lewej burcie jeden z dziesięciu olbrzymich pni dniami i nocami walił z głuchym łomotem i pluskiem o poprzeczne belki.

Słychać było również jakieś nowe, groźne skrzypienie lin łączących szczyty dwóch pochyłych masztów, których stopy poruszały się niezależnie od siebie, gdyż spoczywały na dwóch różnych pniach.

Naprawiliśmy i obwiązaliśmy wiosło sterowe, wzmacniając je długimi łatami z drzewa mangrowego, twardego jak żelazo. Przy pomocy naszych żaglomistrzów, Erika i Bengta, Kon-Tiki wkrótce znowu podniósł głowę na żaglu i wypiął pierś w kierunku Polinezji, podczas gdy wiosło płało za rufą na łagodnych falach kołysanych przez lekki wietrzyk. Nie zdołaliśmy jednak doprowadzić do dawnego stanu wysuwanych mieczy. Wisiały one luźno pod tratwą, tłukąc o belki i nie stawiając wodzie dostatecznego oporu. Wiązania na spodzie tratwy były tak pokryte wodorostami, że nie można było sprawdzić, czy są w porządku. Zdjęliśmy bambusowy pokład i zauważyliśmy, że pękły tylko trzy główne wiązania przekręcone i przetarte przez ładunek. Bale nasiąkły wodą i stały się cięższe; natomiast ciężar ładunku zmniejszył się, gdyż większa część prowiantu, wody i baterii dla radiostacji została zużyta, tak że ogólna waga tratwy nie zmieniła się wiele.

W każdym razie było teraz jasne, że statek utrzyma się na powierzchni wody po ostatnim sztormie i nie rozpadnie się pod nami na niewielkiej przestrzeni dzielącej nas jeszcze od Oceanii. Na czoło wysunął się natomiast inny problem: jak zakończy się nasza podróż?

Kon-Tiki będzie nieustannie dążyć na zachód, póki nie uderzy dziobem o skałę czy inną przeszkodę, która powstrzyma nasz dryf. Podróż nie może się skończyć, zanim cała załoga nie wyląduje zdrowo i bezpiecznie na jednej z licznych wysp Polinezji leżących przed nami.

Byliśmy teraz równie daleko od Archipelagu Markizów, jak od grupy wysp Tuamotu, i znajdowaliśmy się w takiej pozycji, że mogliśmy przejść pomiędzy tymi grupami wysp, nie ujrzawszy nawet żadnej z nich. Najbliższa wysepka z Archipelagu Markizów leżała 300 mil morskich na północny zachód, a najbliższa wyspa Archipelagu Tuamotu — 500 mil morskich na południowy zachód. Wiatr zaś wiał z zachodniej ćwiartki horyzontu.

Od północnego zachodu najbliższa była Fatuhira, mała, górzysta wysepka pokryta dżunglą. Mieszkałem tam kiedyś na wybrzeżu w chatce na palach i słuchałem ciekawych opowiadań starca o jego prarodzicu i bogu Tiki. Gdyby Kon-Tiki wylądował na tym samym wybrzeżu, spotkałbym wielu znajomych, może z wyjątkiem starca, który prawdopodobnie od dawna już odszedł w wieczność z niepełną nadzieją spotkania się z bogiem Tiki. Być może, że nasza tratwa zdążyła w kierunku skalistych wysepek Archipelagu Markizów, położonych daleko od siebie, gdzie fale waliły nieustannie o pionowe skały. Nasi sternicy musieliby tam pilnie baczyć, żeby nie ominąć ujścia nielicznych dolin kończących się wąskim skrawkiem plaży.

Może też dryfowaliśmy w kierunku koralowych raf Archipelagu Tuamotu, gdzie liczne wysepki gęsto pokrywały ogromny obszar oceanu. Ta grupa wysp jest znana także jako

“Niskie” albo “Niebezpieczne Wyspy”, gdyż cała ta formacja zbudowana jest przez polipy koralowe. Archipelag ów składa się ze zdradzieckich raf podwodnych i porośniętych palmami atoli 33, które wznoszą się zaledwie 2—3 metry nad powierzchnią morza. Niebezpieczne pierścienie raf otaczają tu każdy atol i zagrażają żegludze. Lecz wszystkie te > wyspy, zarówno atole Tuarnotu zbudowane przez koral, jak i wyspy Markizy zdradzające wulkaniczne pochodzenie — są zaludnione przez to samo polinezyjskie plemię, a w rodach władców obu archipelagów Tiki uważany jest za praojca.

Już 3 lipca, kiedy od Polinezji dzieliło nas jeszcze 1 000 mil morskich, sama przyroda wskazała nam — podobnie jak kiedyś ludom pierwotnym z Peru — że istotnie gdzieś tam za oceanem znajduje się ląd. Kiedy oddaliliśmy się o dobre tysiąc mil morskich od Peru, zauważyliśmy małe stadko fregat 34. Zniknęły one, kiedy osiągnęliśmy 100° zachodniej długości geograficznej, i później widywaliśmy tylko małe petrele<sup>35</sup> żyjące na morzu. Lecz 8

lipca, na 125° długości zachodniej, fregaty zjawily się znowu i odtąd widzieliśmy często małe stadka tych ptaków szybujących wysoko na niebie lub pikujących nad grzebienie fal, aby zła-pać latające ryby, które skakały w powietrze w ucieczce przed makrelami. Ponieważ ptaki te nie przyleciały z Ameryki leżącej za rufą tratwy, musiały one przybyć z kraju leżącego przed nami. 16 lipca natura dała nam jeszcze wyraźniejsze oznaki zbliżania się do lądu. W tym dniu wyciągnęliśmy na pokład trzymetrowego żarłacza, który wyrzucił z żołądka wielką, nie str-33 Atol - wyspa koralowa na morzach podzwrotnikowych o kształcie pierścienia.

34 Fregata - duży ptak na Wodach podzwrotnikowych, spokrewniony z pelikanem. Należy do najlepiej latających ptaków morskich.

35 Petrele - niewielkie ptaki morskie. Odznaczają się długimi skrzydłami i potrafią odlatywać daleko od lądu.

wioną rozgwiazdę pożartą niedawno na jakimś wybrzeżu oceanu. Następnego zaś dnia mieliśmy

pierwsze odwiedziny gości przybywających prosto z wysp Oceanii.

Była to wielka chwila na tratwie: zobaczyliśmy nad horyzontem dwa wielkie głuptaki<sup>36</sup>

lejące z zachodu; po chwili szybowały one na niewielkiej wysokości nad naszym masztem.

Wielkie ptaki o dwumetrowej rozpiętości skrzydeł okrążyły wielokrotnie tratwę, a następnie złożyły skrzydła i usiadły obok nas na wodzie. Żółte makrele pomknęły do nich natychmiast i krążyły z zaciekawieniem dokoła wielkich ptaków, lecz żadna ze stron nie zaatakowała drugiej.

Byli to pierwsi żywi wysłańcy przynoszący nam pozdrowienie z Polinezji. Nie powróciły one tego wieczoru na ląd, lecz odpoczywały na wodzie i jeszcze po północy słyszeliśmy ich ochryple krzyki i szelest skrzydeł nad masztem.

Latające ryby, które spadały teraz na pokład, należały do innego, większego niż dotąd gatunku; znałem je już, kiedy łowiłem ryby z krajowcami na wybrzeżu Fatuhiva.

Przez trzy dni i trzy noce zdążaliśmy prosto ku tej wyspie, lecz w końcu nadszedł

mocny, północno-wschodni wiatr, który pędził nas w kierunku atoli Tuamotu. Gnani wiatrem wyszliśmy teraz z obszarów Południowego Prądu Równikowego, wchodząc w strefę działania prądów zmiennych, które jednego dnia dawały się odczuć, drugiego — znikwały, krzyżowały się i rozgałęziały, jak niewidzialne rzeki płynące w morzu. W szybkim prądzie woda była zwykle nieco zimniejsza, a martwa fala wyższa niż w otaczającym morzu. Mierzyliśmy każdego dnia kierunek i siłę prądu, uwzględniając różnicę między pozycjami prawdziwymi, a obliczonymi przez Erika.

Na progu Polinezji wiatr powiedział "stop", przekazując nas słabemu odgałęzieniu prądu płynącemu ku naszemu przerażeniu w kierunku Antarktydy. Mimo wszystko pasat nie zrobił nam zawodu w ostatniej chwili. Zameldował się do służby następnego dnia, popychając i posuwając rozklekotany statek przygotowujący się na wejście do nowej, niezwyklej części świata. Należy dodać, że w ciągu podróży nie mieliśmy ani jednego dnia absolutnej ciszy, a kiedy wiatr był słaby, rozpinaliśmy wszystkie posiadane szmaty, żeby pomóc żaglom i zwiększyć naszą szybkość. Ani jednego dnia nie dryfowało nas z powrotem do Ameryki i najmniejszy przebieg dzienny wynosił 9 mil morskich, czyli około 17 kilometrów, a przeciętny przebieg na przestrzeni całej podróży wyniósł 42,5 mili morskiej, czyli 78,5 kilometra na dobę.

Teraz każdego dnia nadlatywały wielkie stada ptaków morskich i krążyły nad nami we wszystkich kierunkach. Pewnego wieczora, kiedy słońce miało zanurzyć się w morzu, zauważyliśmy wyraźnie, że ptaki uległy jakiemuś gwałtownemu impulsowi. Odlatywały na 36 Głuptaki - morskie ptaki płetwonogie, gnieźdzące się gromadnie na nadmorskich skałach. Odżywiają się rybami, na które rzucają się z lotu. Żyją w krajach tropikalnych i nad północnym Atlantykiem.

zachód, nie zwracając uwagi na nas ani na latające ryby. Ze szczytu masztu mogliśmy zobaczyć, że wszystkie leciały prosto, dokładnie w tym samym kierunku. Z wysokości lotu mogły one widzieć rzeczy niedostępne dla naszego oka. Może też działały pod wpływem instynktu. W każdym razie ptactwo leciało w planowym ordynku, powracając do swoich gniazd na najbliższej wysepce.

Przełożyliśmy ster i obraliśmy kurs według lotu ptaków. Kiedy już zapadł zmrok, słyszeliśmy krzyk maruderów lecących nad nami pod wygwieżdżonym niebem, dokładnie tym samym kursem, jakim sterowaliśmy teraz. Była to cudowna noc.

Następnego dnia zjawilo się nad nami jeszcze więcej ptaków, ale tym razem nie potrzebowaliśmy czekać, aż wieczorem znowu wskażą nam drogę. Odkryliśmy bowiem ponad horyzontem niezwykle, nieruchomą chmurkę. Inne obłoki wyglądały jak niewielkie, pierzaste kłęby z wełny, które zjawiały się na wschodzie, przechodziły przez sklepienie niebieskie, gnane pasatem, a w końcu znikaly na zachodzie. Takie obłoczki pędzone przez pasat widziałem już kiedyś na Fatuhiva. Te same pasatowe chmurki płynęły nad nami dniami i nocami w czasie podróży na Kon-Tiki. Lecz samotny obłok nad południowo-wschodnim horyzontem był

nieruchomy; wznosił się on jak słup dymu pośród dryfujących pasatowych chmurek. Takie chmury mają łacińską nazwę *cumulunimbus*. Polinezyjczycy nie znali tej nazwy, ale wiedzieli, że pod takimi chmurami leży ląd. Gdy tropikalne słońce praży gorący piasek, strumienie ciepłego i wilgotnego powietrza wznoszą się do góry, gdzie zgęszczają się w zimniej szych warstwach atmosfery.

Sterowaliśmy w kierunku obłoku, póki nie zniknął po zachodzie słońca. Wiatr ustalił się teraz i Kon-Tiki sam trzymał się na kursie, z wiosłem sterowym uwiązany na stałe, jak często robiliśmy w morzu podczas dobrej pogody. Zadaniem sterników było teraz siedzieć godzinami na wypolerowanej od częstego używania deseczce u szczytu masztu i wypatrywać wszystko, co wskazywałoby obecność lądu.

Tej nocy słyszeliśmy przez cały czas ogłuszający krzyk ptaków lecących nad nami, a księżyc — po raz trzeci od początku wyprawy — był niemal w pełni.

## VII. DO WYSP OCEANII

Dostrzegamy ląd \* Dryfujemy z Puka-Puka \* Festyn przy rafie Angatau \* U progu rajy

\* Pierwsi krajowcy \* Nowa załoga Kon-Tiki \* Wolny dzień Knuta na lądzie \* W walce z przemożną siłą \* Znowu dryfujemy w morze \* Na niebezpiecznych wodach \* Od Takumi do Raroia \* W stronę diabelskiej kipieli \* Na łasce przyboju \* Awaria \* Rozbitkowie na koralowej rafie \* Znajdujemy bezludną wyspę #

W nocy na 30 lipca wokół Kon-Tiki wyczuwało się nową, niezwykle atmosferę. Może wpływał na to ogłuszający krzyk ptaków morskich, lecących nad nami, który oznaczał, że dzieje się coś nowego. Ich wielogłośnie wołanie było bowiem niezwykle żywe i bardzo związane z ziemią, w odróżnieniu od martwego skrzypienia wiązań, towarzyszącego łoskotowi fal w ciągu trzech miesięcy naszej podróży. Także i księżyc wydawał się szczególnie duży i okrągłej szy niż zwykle, kiedy płynął wokół naszego obserwatora siedzącego w bocianim gnieździe masztu. W naszej wyobraźni światło księżycy wywoływało obrazy pierzastych palm i gorących amatorów; takiego żółtego, ciepłego blasku nie roztaczał księżyc nad zimnymi rybami w morzu.

O godzinie szóstej Bengt zeszedł z masztu, obudził Hermana i zdał mu wachtę. Kiedy Herman wdrapał się na trzeszczący, kołyszący się maszt, już dniało. W dziesięć minut później zbiegł on



szybko po drabince sznurowej i pociągnął mnie za nogę.

— Wyjdź i popatrz na twoją wyspę!

Twarz Hermana promieniała. Razem z Bengtem, który jeszcze nie zdążył zasnąć, wyskoczyliśmy na pokład. Następując sobie na pięty, wdrapaliśmy się na bocianie gniazdo i skuliliśmy się w miejscu skrzyżowania masztów. Wokół nas latało wiele ptaków, błękitnofioletowy brzask nieba odbijał się w morzu niczym resztką odchodzącej nocy. Wzdłuż całego horyzontu na wschodzie widniał czerwony, rozszerzający się brzeżek, który na południowym wschodzie formował krwiste, czerwone tło dla lekkiego cienia; przypominało to kreskę namalowaną błękitnym ołówkiem na horyzoncie.

Łąd! Wyspa! Pożeraliśmy ją chciwie oczyma i obudziliśmy innych, którzy wyszli na pokład potykając się i patrząc we wszystkie strony, jak gdyby dziób statku miał się już zderzyć z brzegiem. Krzyżące ptaki morskie wyglądały na niebie jak most rozpięty między nami a daleką wyspą, która rysowała się coraz ostrzej na horyzoncie, podczas kiedy czerwone tło rozszerzało się i żółkło w miarę podnoszenia się słońca. Pierwszą naszą myślą było, że wyspa leży nie tam, gdzie powinna. Ponieważ zaś łąd nie mógł zdryfować, tratwa została widocznie zniesiona w ciągu nocy przez północny prąd. Wystarczyło rzucić okiem na morze, by z kierunku fal zorientować się, że w nocy straciliśmy wszystkie szansę lądowania. Wiatr uniemożliwiał teraz skierowanie tratwy na kurs do wyspy. Obszary wokół Archipelagu Tuamotu były pełne silnych, lokalnych prądów biegnących we wszystkie strony i zmieniających kierunki przy zetknięciu się z lądem; wiele zaś z nich zmieniało się wskutek

'działania przyływów przelewających się przez rafy i laguny 37.

Położyliśmy ster na burzę, wiedząc zresztą, że nie da to żadnego rezultatu. O wpół do siódmej słońce wynurzyło się z morza i wzbilo w górę, jak zwykle w tropikach. Wyspa leżała zaledwie o kilka mil morskich od nas i wyglądała teraz jak niskie pasemko lasu, ledwo widzialne na horyzoncie. Drzewa skupiały się ciasno za wąską, jasną plażą, która była położona tak nisko, że stale zakrywały ją fale. Zgodnie z pozycją geograficzną, określoną przez Erika, była to wyspa Puka-Puka, czołowa forpoczta Archipelagu Tuamotu. Locja Wysp Pacyfiku z roku 1940, dwie mapy morskie i obserwacje astronomiczne Erika — dawały nam w sumie cztery różne pozycje geograficzne, ponieważ jednak w sąsiedztwie nie znajdowała się żadna inna wyspa, nie mieliśmy wątpliwości, że to była Puka-Puka.

Nie zrobiło to na nas szczególniejszego wrażenia. Po obróceniu żagla i przełożeniu wiosła, wszyscy zgrupowali się przy maszcie i stali na pokładzie z oczyma wlepionymi w łąd, który nagle wynurzył się z nieskończonego, wszechobecnego morza. Nareszcie mieliśmy naoczny dowód, że tratwa rzeczywiście poruszała się w ciągu tych trzech miesięcy, że nie leżała kołyszając się w środku wiecznie tego samego pola widzenia. Przepelniało nas kojące zadowolenie, że dotarliśmy aż do samej Polinezji. Uczucie to zaprawione było przez chwilę żalem, że musimy bezsilnie spoglądać na wyspę, która mijała nas jak fata morgana<sup>38</sup>, podczas gdy kontynuowaliśmy nasz wieczny dryf na zachód.

Zaraz po wschodzie słońca ciężki, czarny słup dymu uniósł się nad wierzchołkami drzew, na lewo od środka wyspy. Śledziliśmy go myśląc, że krajowcy już wstali i gotują sobie śniadanie. Nie mieliśmy wtedy pojęcia o tym, iż wyspiarze spostrzegli nas i zapraszali sygnałami dymnymi do lądowania.

Około godziny siódmej dym począł łaskotać nasze nozdrza.

37 Laguna - obszar wód wewnątrz koralowej wyspy zamknięty pierścieniem atolu.

38 Fatamorgana - złudzenie optyczne polegające na pozornym widzeniu odległych krajobrazów w miejscu bliskim.

Inaczej miraż. Występuje przede wszystkim na pustyniach i na morzu.

Wywołało to we mnie uśpione wspomnienia o ogniu na wybrzeżu Fatuhiva. W pół godziny później poczuliśmy zapach lasu i świeżo ściętego drzewa. Wyspa zaczęła teraz maleć w naszych oczach i przesunęła się za rufę, wysyłając do nas podmuchy lądowej bryzy. Przez kwadrans Herman i ja czepialiśmy się szczytu masztu łowiąc nozdrzami ciepły zapach liści i zieleni. To była Polinezja, wspaniała, życiodajny zapach żyznego lądu, po dziewięćdziesięciu trzech słonych dniach spędzonych wśród fal. Bengt chrapał już w swoim śpiworze, Erik i Torstein leżeli na plecach w szałasie i rozmyślali, a Knut biegał tam i z powrotem, wachał

zapach liści i pisał coś w swoim dzienniku.

O wpół do dziesiątej Puka-Puka znikła w morzu za rufą, lecz jeszcze o godzinie jedenastej można było ujrzeć z masztu ledwie widoczną, niebieską kreskę na wschodniej stronie horyzontu. Później znikło i to — tylko wysoka chmura *cumulunimbus*, wznosząca się w górze, wskazywała położenie wyspy. Ptaki także znikły. Trzymały się zwykle nawietrznej strony wyspy tak, aby szybować z wiatrem, kiedy będą wracały do domu z pełnym żołądkiem.

Złote makrele również pojawiały się rzadziej, a i pod tratwą było znowu mniej ryb-pilotów.

Tej nocy Bengt zwierzył się nam, że tęskni za stołem i krzesłem, gdyż męczyło go przewracanie się z pleców na brzuch przy czytaniu. Poza tym rad był, że napotkaliśmy ląd —

miał bowiem jeszcze tylko trzy książki do przeczytania. Torstein poczuł nagle apetyt na jabłko, ja zaś obudziłem się w nocy, gdyż poczułem zapach befsztyka z cebulką. Okazało się, że była to tylko brudna koszula.

Następnego ranka odkryliśmy dwa nowe obłoki wznoszące się zza horyzontu, jak słupy pary z dwóch lokomotyw. Mapa wyjaśniła nam, że obłoki wskazują na koralowe wyspy Fangahina i Angatau. Obłok nad Angatau leżał na podwietrznej, dlatego też z łatwością wzięliśmy kierunek na wyspę, uwiązaliśmy wiosło sterowe i zażywaliśmy czarownego spokoju i swobody na Oceanie Spokojnym. W piękną pogodę życie na bambusowym pokładzie Kon-Tiki było tak cudowne, że tym bardziej upajaliśmy się wrażeniami przewidując szybkie zakończenie podróży niezależnie od tego, co nas jeszcze czekało.

Przez trzy dni i trzy noce sterowaliśmy na obłok ponad Angatau; pogoda była wspaniała, wiosło samo trzymało kurs, a prąd nie szczędził swej pomocy. Czwartego ranka Torstein złuzował Hermana po wachcie między godziną czwartą a szóstą i dowiedział się, że w świetle księżycowym dostrzegalne były zarysy niskiej wyspy. Kiedy wkrótce potem wzeszło słońce, Torstein wsadził

głową w drzwi szalasu i zawołał:

— Łąd na kursie!

Wyskoczyliśmy wszyscy jak jeden mąż na pokład, a to, cośmy ujrzeli, zmusiło nas do wywieszenia wszystkich flag. Na rufie podnieśliśmy norweską banderę, na maszcie —

francuską, gdyż zdążaliśmy do francuskiej kolonii. Wkrótce cały nasz zasób flag powiewał na rześkim wietrze: amerykańska, peruwiańska, szwedzka i brytyjska oraz proporczyk Klubu Odkrywców — nie było więc wątpliwości, że Kon-Tiki płynął w pełnej gali. Tym razem wyspa leżała idealnie wprost na naszym kursie, trochę dalej niż Puka-Puka, która cztery dni temu wynurzyła się zza horyzontu o wschodzie słońca. Kiedy słońce podniosło się na niebie prosto w górę, za rufą ujrzeliśmy jasnozielony odbłask na zamglonym niebie ponad wyspą. Było to odbicie cichej, zielonej laguny wewnątrz pierścienia raf. Niektóre z atoli rzucają tego rodzaju lustrzane odbicia na tysiące metrów w górę, wskazując w ten sposób położenie wyspy tubylczym żeglarzom na wiele dni przedtem, nim łąd wynurzy się zza horyzontu.

no

Około dziewiątej wzięliśmy się za wiosło sterowe i musieliśmy zdecydować, do której części wyspy chcemy przybić. Można było już rozróżnić korony pojedynczych drzew i rzędy skąpanych w słońcu pni, wyraźnie rysujące się n» tle gęstego, ciemnego listowia.

Wiedzieliśmy, że gdzieś między nami a wyspą leży niebezpieczna podwodna rafa, która czyha na wszystko, co zbliża się do niewinnej wyspy. Rafa ta podcinała olbrzymie, głębokie fale idące ze wschodu, a kiedy wielkie masy wód załamywały się nad płycizną, fale piętrzyły się wówczas i opadały spienione na koralową rafę. Wiele statków wciągnęły już straszliwe wiry wokół podwodnych raf Archipelagu Tuamotu; rozbiły się tam na kawałki o ostry koral.

Ta zdradziecka pułapka nie była widoczna z morza. Żeglowaliśmy w kierunku fal i widzieliśmy zakrzywione, lśniące grzbiety bałwanów biegnących w kierunku wyspy. Szerokie grzywy fal zakrywały przed naszym wzrokiem zarówno rafę, jak i całe to piekielne kotłowisko kipieli. Tylko na obu końcach wyspy, gdzie plaża rysowała się z profilu od północy i południa, widzieliśmy, jak o kilkaset metrów od łądu białe masy wodne gotowały się i pienily zderzając się i piętrząc w powietrzu.

Wytyczyliśmy nasz kurs tak, aby zaledwie dotknąć kipieli na południowym cyplu wyspy, i mieliśmy nadzieję, że uda się nam sterować wzdłuż atolu. Chcieliśmy dojść do podwietrznej strony wyspy, a w każdym razie wejść na płyciznę, gdzie można by było prowizorycznie zakotwiczyć i czekać zmiany wiatru, który zniósłby nas na podwietrzną wyspy.

Około południa można było rozróżnić przez lornetę młode, zielone palmy kokosowe tkwiące ciasno, korona przy koronie, ponad falującą gęstwiną bujnego podszycia. Na plaży leżały wielkie bloki koralowe, rozsiane na jasnym piasku. Poza białymi ptakami, szybującymi nad koronami drzew, nie było widać śladu życia.

O drugiej zbliżyliśmy się do wyspy o tyle, że zaczęliśmy sterować wzdłuż brzegu, tuż obok czyhającej rafy. Zbliżając się stopniowo, słyszeliśmy ryk przyboju rozbijającego się jak wodospad o rafę. Wkrótce łoskot bałwanów upodobił się do szumu i łoskotu ekspresu pędzącego stale równoległe do nas, o parę-set metrów od prawej burty. Widać już było fontanny białej piany wyrzucanej wysoko w powietrze poza kędzierzawe grzebienie fal nad rafę, gdzie grzmiał przelatujący "pociąg".

Teraz już dwóch ludzi sterowało wiosłem. Znajdowali się oni za bambusowym domkiem i nie widzieli, co się dzieje przed dziobem. Erik stał na kuchennej skrzyni i jako nawigator rzucał komendy dwóm ludziom ciągnącym ciężkie sterowe wiosło. Zamierzaliśmy dopłynąć tak blisko niebezpiecznej rafy, jak tylko to było możliwe. Obserwator z masztu wypatrywał przejścia w rafie, przez które można by było wprowadzić tratwę do laguny. Prąd płynął teraz naszym kursem i pomagał nam w tym przedsięwzięciu. Luźne miecze pozwalały na sterowanie najwyżej pod kątem 20° do wiatru, który wiał wzdłuż rafy.

Podczas gdy Erik wytyczał kurs podchodząc zakosami do rafy na tyle, na ile pozwalało ssące działanie wirów, Herman i ja usadowiliśmy się w gumowej *dinghy* uwiązanej na linie za rufą statku. Kiedy tratwa szła halsem<sup>39</sup> zbliżającym nas do wyspy, tańczyliśmy za nią na holu i podchodziliśmy tak blisko grzmiącej rafy, że można było widzieć szklistozieloną ścianę wodną, przetaczającą się obok. Widać też było, jak fale cofając się na płyciźnie obnażają rafę podobną do wyszczerbionej barykady zbudowanej ze stosu zardzewiałego żelastwa. Jak daleko sięgał wzrok, nie widać było przejścia ani przesmyku. Erik obrasował<sup>40</sup> żagiel, luzu jąc lewe szkoty i naciągając prawe, a sternicy pomogli mu wiosłem, tak że Kon-Tiki odwrócił dziób i pokulał, oddalając się od niebezpiecznej mielizny, aż do następnego halsu.

Za każdym razem gdy statek zbliżał się do wyspy i robił zwrot przechodząc na przeciwny hals, gumową tratwę, w której siedzieliśmy, odrzucało tak blisko kipieli, że słyszeliśmy, jak rośnie łoskot fal zderzających się ze sobą i wznoszących się coraz wyżej. Za każdym razem byliśmy przekonani, że tym razem Erik posunął się za daleko, że teraz nie uda mu się już wyprowadzić Kon-Tiki z objęć przyboju pędzącego nas na diabelską, rudą rafę. Ale nasz nawigator wykonywał zwinny manewr i statek wybiegał bezpiecznie w otwarte morze, uciekając ze szponów kotłowiska. Cały czas krążyliśmy wokół wyspy na tak niewielkiej odległości, że widać było każdy szczegół na lądzie — a jednak te rajskie uroki pozostawały niedostępne, oddzielone od nas spienioną fosą. Około godziny trzeciej gaje palmowe na brzegu przeredziły się i przez szeroką przerwę można było ujrzeć błękitną, lustrzaną lagunę. Lecz rafa leżała wciąż równie zwarta i złowieszczo szczyrzyła swe krwawe zęby wśród piany. Przejścia 39 Hals - lina naciągająca dolny róg żagla rejowego. Kon-Tiki szedł na przemian, to prawym to lewym halsem, to znaczy zmieniał kierunek w stosunku do wiatru, który działał na statek raz z prawej, drugi raz z lewej burty.

<sup>40</sup> Obrasować żagiel - obrócić go wraz z reją dokoła osi pionowej, którą stanowi maszt, dla ustawienia żagla pod innym kątem do wiatru.

nie było i kiedy dalej posuwaliśmy się wzdłuż wyspy, żeglując z pomyślnym wiatrem, las palmowy znowu przesłonił nam widok. Stopniowo jednak palmy znowu zrzędy i odsłoniły wnętrze wyspy przedstawiające przepiękną, czystą lagunę przypominającą wielkie, ciche jezioro otoczone rozchwianymi kokosowymi palmami i świetlistymi plażami. Czarująca'

wysepka, pokryta zielonymi drzewami, otaczała gościnną lagunę szerokim, piaszczystym pierścieniem. Drugi zewnętrzny pierścień biegnący wokół całej wyspy tworzyła rafa, która przypominała zardzewiały miecz broniący dostępu do wrót raju.

Cały dzień żeglowaliśmy zakosami wzdłuż Angatau i wspaniałości tej wyspy mieliśmy tuż przed drzwiami naszej chatki. Słońce prażyło palmy, raj na łodzi dyszał radością i spokojem. Kiedy nabraliśmy wprawy w naszych manewrach pod żaglem, Erik wyciągnął gitarę i stanął na pokładzie w olbrzymim peruwiańskim *sombrero*, grając i śpiewając sentymentalne piosenki mórza południowych, Bengt zaś podał na krawędzi tratwy smakowity obiad.

Otworzyliśmy stary orzech kokosowy zabrany z Peru i piliśmy mlekiem zdrowie młodych, świeżych orzechów wiszących nie opodal na koralowym atolu. Cała atmosfera dokoła wysepki, spokój panujący nad zielonym gajem palmowym mocno wrosłym korzeniami w stały ląd, spokój, z jakim białe ptactwo szybowało nad koronami drzew, cisza lustrzanej laguny i miękkiego piasku plaży oraz złośliwość czerwonej rafy otoczonej grzmotem kanonady

— wszystko to zrobiło olbrzymie wrażenie na naszej szóstce przybywającej prosto z morza.

Wrażenie, które nie zatarło się nigdy w naszej pamięci. Nie ulegało wątpliwości, że jesteśmy już po drugiej stronie oceanu; trudno było o autentycznie j szą wyspę mórza południowych. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jak nam się uda lądowanie, ale przybyliśmy do Polinezji; otchłanie wodne oceanu pozostały za nami na zawsze.

Przypadek zrządził, że piękny dzień koło Angatau był dziewięćdziesiątym siódmym dniem podróży, a właśnie na dziewięćdziesiąt siedem dni ocenialiśmy w New Yorku czas podróży potrzebny w idealnych warunkach dla osiągnięcia najbliższej wyspy Oceanii.

Około piątej minęliśmy dwie chatki kryte palmowymi liśćmi, stojące między drzewami na wybrzeżu. Nie widać było dymu ani innego znaku życia ludzkiego.

O wpół do szóstej znaleźliśmy się znowu przy rafie; zbliżaliśmy się teraz do zachodniego krańca wyspy i zamierzaliśmy ostatni raz rozejrzeć się dokoła, w nadziei odnalezienia jakiegoś przejścia. Słońce stało już tak nisko na niebie, że raziło oczy, lecz w miejscu gdzie fale uderzały o skałę, kilkaset metrów od najdalszego przylądka wyspy, widać było w powietrzu niewielką tęczę. Sylwetka przylądka leżała przed nami. Na plaży w lagunie odkryliśmy grupkę nieruchomych czarnych plamek. Jedna z nich poruszyła się nagle, zbliżając się pomału do wody, podczas gdy kilka innych rzuciło się do lasu. To byli ludzie! Sterowaliśmy teraz wzdłuż rafy tak blisko, jak się tylko dało. Wiatr osłabł i wydawało się, że przechodzimy na podwietrzną wyspy. Na plaży ujrzeliśmy teraz czółno spuszczone na wodę; wskoczyły doń dwie postacie i powiosłowały ku rafie. Oddaliwszy się od brzegu łódź zawróciła i za chwilę ujrzeliśmy, jak przechodzi przez przesmyk w rafie, gdzie fale uniosły ją w górę i opuściły za kipiłą.

Tam więc leżało przejście przez mieliznę — nasza jedyna nadzieja. Teraz widać było także całą wioskę leżącą pośród drzew palmowych, których cienie zaczęły się już wydłużać.

Dwaj wiosłarze w czólnie machali ku nam rękami. Odpowiedzieliśmy im zaraz tak samo i łódź

pomknęła szybciej. Było to polinezyjskie czółno, w którym siedziały dwie brunatne postacie i wiosłowały z pochylonymi głowami. Spodziewaliśmy się trudności językowych; jedyny z całej załogi znałem kilka słów miejscowego języka z czasu pobytu na Markizach, lecz narzecze polinezyjskie nie jest łatwe, zwłaszcza że niezbyt często go się używa w naszych północnych krajach.

Toteż lżej się nam zrobiło na duszy, kiedy czółno uderzyło o krawędź tratwy i wiosłarze wskoczyli na pokład, a jeden z nich uśmiechnął się szeroko i wyciągając brązową rękę zawołał

po angielsku:

— *Good night!*

— *Good night* — odparłem zdumiony. *Do you speak English?* Człowiek uśmiechnął się znowu i skinął głową.

— *Good night* — powtórzył — *good night!*

Na tym jednak kończyła się jego znajomość języków obcych, skromniejszy zaś krajowiec stał milcząc z tyłu i uśmiechał się z szacunkiem widząc wystąpienie bardziej doświadczonego towarzysza.

— *Angatau?* — zapytałem wskazując na wyspę.

— *H'angatau* — odpowiedział wyspiarz potwierdzająco. Erik miał dumną minę. Jego nawigacja zdała egzamin; byliśmy istotnie na tej pozycji, którą określiło nam słońce.

— *Meimai hee iuta* — rzuciłem, co na podstawie znajomości języka zdobytej na Fatuhiya miało mniej więcej oznaczać: "Chcę iść na ląd".

Obaj przybysze wskazali na niewidzialne przejście w rafie, chwyciliśmy więc za ster próbując nowego manewru.

W tym momencie wionęło ze środka wyspy świeże tchnienie wiatru. Nad laguną płynęła mała chmurka deszczowa. Wiatr groził nam odrzuceniem od rafy, a ponadto zauważyliśmy, że *Kon-Tiki* zbyt słabo reaguje na ster, aby dało się dotrzeć do ujścia przesmyku w rafie. Próbowaliśmy zakotwiczyć, lecz lina kotwiczna nie dosięgła dna. Teraz należało wziąć się za wiosła i to szybko, zanim wiatr nie zacznie znosić nas na dobre. Momentalnie spuściliśmy żagiel i każdy z nas chwycił za wiosło.

Chciałem dać zapasowe wiosła krajowcom, którzy stali na pokładzie rozkoszując się naszymi papierosami. Tubylcy potrząsnęli jednak żywo głowami i wskazując w kierunku naszego kursu, zrobili zdziwione miny. Pokazywałem na migi, że musimy wiosłować wszyscy, i powtarzałem słowa: "Chcę iść na ląd". Wtedy bardziej doświadczony spośród nich pochylił

się w przód, zakręcił ?.'J w powietrzu prawą ręką i rzekł:

— *Brrrrrrrrrr!*

Było jasne jak słońce, że chciał, abyśmy puścili w ruch motor. Wydawało im się, że stoją na pokładzie niezwykłego, głęboko załadowanego statku. Wzięliśmy krajowców na rufę i pokazaliśmy im, że nie mamy pod balami żadnej śruby okrętowej ani kadłuba statku. Wydawali się być zaskoczeni, zgasili papierosy i przycupnęli na krawędzi tratwy, gdzie siedzieliśmy we czterech, każdy na swoim pniu, przebierając w wodzie wiosłami. W tej chwili słońce zniknęło za cyplem wyspy i powiew lądowej bryzy wzmógł się. Nie wyglądało na to, żebyśmy się mieli posunąć chociaż o cal.

Krajowcy wskoczyli z powrotem do czółna i znikli. Zapadał zmrok, byliśmy teraz znowu samotni i rozpaczliwie machaliśmy wiosłami, aby nie dać się zepchnąć na nowo w morze.

Kiedy nad wyspą zapadła ciemność, zza rafy wyłoniły się cztery czółna tańczące na fali i za chwilę mieliśmy na pokładzie Polinezyjczyków pragnących powitalnego uścisku ręki i papierosów. Mając na statku ludzi obeznanych z miejscowymi warunkami, mogliśmy się niczego nie obawiać; tubylcy nie zezwoliliby przecież na zdryfowanie nas w morze. Tego wieczora będziemy więc na lądzie!

Szybko przywiązaliśmy linami rufy łodzi do dziobu Kon-Tiki i cztery mocne czółna jak psi zaprzęg rozeszły się w szyku wachlarzowym przed tratwą. Knut wskoczył do *dinghy* i zajął

miejsce "czołowego psa" pomiędzy czółnami, a my rozmieściliśmy się z wiosłami na skrajnych pniach Kon-Tiki. W ten sposób zaczęły się zapasy ze wschodnim wiatrem, który dotychczas był naszym sprzymierzeńcem.

Dęła mocna bryza i aż do wzejścia księżyca ciemno było jak w smole. Na lądzie mieszkańcy wioski rozpalili wielkie ognisko, żeby wskazać nam kierunek wejścia. Grzmoty kipieli otaczały nas w ciemności, jak wieczny, coraz głośniejszy huczący wodospad.

W mroku nie widać było ciągnących nas łodzi, słychać było tylko wioślarzy śpiewających na całe gardło podniecające poli-nezyjskie pieśni wojenne. Słyszeliśmy również wtórującego im

Knuta, gdyż jak tylko przerywała się polinezyjska melodia, do uszu naszych dochodził

pojedynczy głos śpiewający norweską pieśń ludową: "Wędrujemy odważnie naprzód". Dla dopełnienia kakofonii my na tratwie zanuciliśmy angielską piosenkę: "Brzdąc Toma Browna miał bąbel na nosie" — i tak brązowi jak i biali wioślarze ze śmiechem i pieśniami pochylali się nad wiosłami. Byliśmy w świetnych humorach. Dziewięćdziesiąt siedem dni. Przybyliśmy do Polinezji. Wieś urządzi wieczorem festyn.

Krajowcy krzyczeli i śpiewali. Statki zachodziły na Angatau tylko raz do roku, kiedy szkuner z Tahiti przybijał dla załadowania kopry 41. Teraz z pewnością urządzi tańce wokół

ogniska.

Lecz złośliwy wiatr stawał się uparty. Pracowaliśmy aż do bólu we wszystkich mięśniach. Nie pozwalaliśmy się znieść, lecz ogień na wybrzeżu nie przybliżał się ani na jotę, a grzmot z rafy nie wzmagał się. Po trochu śpiew przycichł. Wszyscy mieli już dosyć wiosłowania. Ogień był wciąż

daleko i unosił się tylko w dół i w górę, w miarę naszego kołysania na falach. Minęły trzy godziny, była już dziewiąta. Zmęczeni, z wolna zaczęliśmy się cofać. .

Wyjaśniliśmy krajowcom, że potrzebujemy pomocy z lądu. Powiedziano nam, iż na lądzie było wielu ludzi, lecz wieś ma tylko te cztery czółna zdolne do wyjścia na otwarte morze.

Wtedy Knut wynurzył się z ciemności w *dinghy*. Przyszedł mu do głowy nowy pomysł; należało wiosłować na wyspę i przywieźć stamtąd w *dinghy* więcej wyspiarzy. Pięciu lub sześciu ludzi mogło w ostateczności stłoczyć się na naszej gumowej łódce.

Pomysł wydał nam się ryzykowny. Knut nie znał okolicy i w tej nieprzeniknionej ciemności mógł nie trafić do przesmyku. Zaproponował wtedy, że zabierze ze sobą przywódcę krajowców jako przewodnika. Ten plan również nie wydał mi się dobry, gdyż tubylcy nie mają doświadczenia w manewrowaniu niezgrabną gumową tratwą przez wąskie i niebezpieczne przejścia. Prosiłem Knuta, żeby ściągnął przywódcę, który wiosłował przed nami w ciemności

— chciałem omówić z nim sprawę. Stało się jasne, że nie oprzemy się dłużej dryfowi.

Knut zniknął w ciemności, żeby odszukać wodza. Kiedy minęła dłuższa chwila i żaden z nich nie wracał, zawołałem Knuta, lecz nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Knut zniknął w ciemnościach.

W tej chwili pojęliśmy, co się właściwie stało. W całym tym szumie i zamęcie Knut nie zrozumiał moich instrukcji i powiosłował na ląd razem z przywódcą. Nasze okrzyki były bezowocne, gdyż w miejscu gdzie była teraz *dinghy*, wszystkie dźwięki tłumił grzmot przy boju.

Szybko wyciągnąwszy lampę sygnalizacyjną zaczęliśmy nadawać błyskami znaki Morsego, a jeden z nas wdrapał się na maszt sygnalizując: "Wracaj! Wracaj!"

Lecz nikt nie wracał.

Nasz dryf w kierunku rafy zwiększył się- i reszta wiosłarzy poczuła się porządnie zmęczona. Rzucając za burtę patyki, przekonaliśmy się, że posuwamy się powoli, lecz stale wstecz. Ogień na wybrzeżu zmniejszył się, a szum kipieli wydawał się przygłuszony. Im dalej odsuwaliśmy się od osłony, którą tworzył palmowy las, tym mocniej chwytał nas odwieczny wschodni wiatr. Czuliśmy teraz, że wiatr wieje już niemal tak jak na pełnym morzu. Stopniowo doszliśmy do przekonania, że nie ma już żadnej nadziei. Znosiło nas na ocean. Lecz nie wolno nam było zmniejszać wysiłków. Należało wiosłować dalej i powstrzymywać dryf, ile się tylko da, dopóki Knut nie powróci bezpiecznie na pokład.

Uplłynęło pięć minut. Dziesięć minut. Pół godziny. Ogień małał znikając chwilami zupełnie, kiedy statek staczał się w dolinę fali. Szum przyboju ścichł, zmienił się w odległe mruczenie. Wszedł księżyc — widzieliśmy przebliski jego tarczy za koronami palm na lądzie, lecz niebo było mgliste i do połowy zakryte chmurami.

Krajowcy zaczęli szeptać i naradzać się. Nagle zauważyliśmy, że jedno z czółen rzuciło hol do morza i znikło. Ludzie w trzech innych łodziach byli zmęczeni, przestraszeni i nie wiosłowali już z całych



sił. Kon-Tiki dryfował teraz na pełne morze. Wkrótce trzy pozostałe liny holownicze zwisły luźno i trzy łodzie stuknęły o krawędź tratwy. Jeden z krajowców wszedł na pokład i powiedział spokojnie, potrząsając głową:

— luta! Na ląd!

Wyspiarz spojrział zmartwiony na ognisko znikające teraz na dłuższy przeciąg czasu i błyskające tylko niekiedy jak iskierka. Znosiło nas szybko.

Przybój ucichł, słyszeć było tylko zwykły szum fal, a wszystkie wiązania tratwy trzeszczały i skrzypiały.

Daliśmy krajowcom dużo papierosów, a ja nagryzmoliłem pośpiesznie kilka słów na karteczce, którą mieli oddać Knutowi, gdyby go spotkali. Napisałem:

*“Weź ze sobą dwóch krajowców w czólnie, z dinghy na holu. Nie wracaj sam w dinghy”.*

Liczyliśmy na to, że uczynni wyspiarze wezmą ze sobą Knuta do łodzi, jeżeli wyjście w morze będzie możliwe. Gdyby tego nie uczynili, samotna jazda w gumowej łódce za zbiegłą tratwą byłaby ze strony naszego towarzysza czystym szaleństwem.

Wyspiarze wzięli świstek, skoczyli do czólen i zniknęli wśród nocy. Ostatnim 41 Koprą - suszone jądra orzechów kokosowych bogate w tłuszcz. Wyrabia się z nich olej kokosowy.

dźwiękiem, jaki słyszeliśmy, był przenikliwy głos naszego pierwszego przyjaciela, który wołał uprzejmie:

— Good *night!*

Dobiegł nas jeszcze pomruk uznania ze strony mniej zaawansowanych lingwistów, a później nastąpiła cisza.

Byliśmy znowu tak samo odcięci od odgłosów zewnętrznego świata, jak wówczas, kiedy znajdowaliśmy się o dwa tysiące mil od najbliższego lądu.

Wiosłowanie pod wiatr w otwartym morzu było już bezcelowe, wysyłaliśmy jednak w dalszym ciągu sygnały świetlne ze szczytu masztu. Nie wazyliśmy się więcej sygnalizować:

*“Wracaj”*, nadawaliśmy tylko regularne błyski. Dokoła panowała nieprzenikniona ciemność.

Księżyc pojawiał się tylko chwilami w pojedynczych przerwach między chmurami. Musiał to być *cumuluriimbus* nad Angatau, który teraz wisiał nad nami.

O dziesiątej straciliśmy ostatnią nadzieję ujrzenia Knuta. Usiedliśmy w ciszy na krawędzi tratwy i żuliśmy biszkopty; każdy z nas po kolei nadawał sygnały świetlne z masztu, który wydawał się dziwnie goły bez szerokiego żagla Kon-Tiki.

Postanowiliśmy sygnalizować przez całą noc tak długo, aż się dowiemy, gdzie jest Knut. Nie chcieliśmy dopuszczać do siebie myśli, że pochwyciły go bałwany kipieli. Knut zawsze padał na cztery łapy. Poradził sobie z "ciężką wodą", poradzi i z przybo-jem. Nie zginął

na pewno. Głupio nam było zostawiać go między Polinezyjczykami, na odległej wyspie zagubionej na Oceanie Spokojnym. Co za historia! Po tak długiej podróży zostawić człowieka na zatraconej wysepce! Zaledwie uśmiechnięci Polinezyjczycy zdążyli zjawić się na tratwie, a już musieli ratować się ucieczką, żeby uniknąć towarzyszenia nam w tym pędzie na zachód.

Sytuacja była diabelna. Wiązania skrzypiały tej nocy złowieszczo. Nikt z nas nie miał nawet zamiaru zmrużyć oka.

Było już wpół do jedenastej. Bengt zakończył swój dyżur i schodził z kołyszącego się bocianiego gniazda. Naraz skoczyliśmy na równe nogi. Usłyszeliśmy najwyraźniej głosy dobiegające nas z ciemności. Rozmawiano po polinezyjsku. Krzyknęliśmy z całej siły.

Odpowiedziano nam z mroku — usłyszeliśmy głos Knuta! Szaleliśmy z podniecenia, nasze zmęczenie minęło od razu, zniechęcenie — znikło. Cóż z tego, że wiatr odegnał nas od Angatau? Były przecież inne wyspy na morzu. Teraz, gdy cała szóstka była znowu razem, rozmiłowane w podróży pnie balsy • mogły nas nieść gdzie tylko chciały.

Trzy czółna z drewnianymi pływakami wynurzały się z ciemności jadąc okrakiem na fali i Knut na czele sześciu brązowych ludzi pierwszy wskoczył na pokład kochanego, starego Kon-Tiki. Niewiele mieliśmy czasu na wyjaśnienia. Krajowcy czekali na prezenty, żeby odbić od tratwy i rozpocząć karkołomny powrót na wyspę. Bez pomocy, jaką daje widok światła, lądu, czy gwiazd musieli odnaleźć drogę i zmagać się z wiatrem i falami, dopóki nie zabłyśnie im światełko ogniska. Obdarzyliśmy ich hojnie prowiantem, papierosami i innymi drobiazgami, a każdy z nich potrzasał nam serdecznie ręce na pożegnanie.

Było widać, że obawiają się o nasz los. Wskazując na zachód, ostrzegali, że zdążamy w kierunku niebezpiecznych raf. Przywódca miał łzy w oczach i ucałował mnie w policzki tak czule, że dziękowałem opatrności za moją długą brodę. Potem krajowcy usadowili się Iw czółnach, a my, sześciu przyjaciół, znowu tkwiliśmy sami na tratwie.

Pozostawiliśmy statek własnemu losowi i słuchaliśmy opowiadania Knuta.

Knut pełen dobrych myśli udał się na ląd w *dinghy* w towarzystwie przywódcy wyspiarzy. Krajowiec usiadł do wiosel

i prowadził *dinghy* w kierunku przesmyku. W pewnej chwili Knut spostrzegł ku sv^emu zdziwieniu sygnały z Kon-Tiki, zlecające mu powrót. Poprosił na migi wiosłarza, żeby go odwieźć z powrotem — lecz b6zskutecznie. Knut próbował więc odebrać wiosła wyspiarzowi, zaś ten odepchnął go, a w tak niebezpiecznej sytuacji pomiędzy rafami nie można było rozpocząć walki. *Dinghy* wskoczyła prosto w przesmyk, wpłynęła do środka, a fale przyboju uniosły ją i złożyły na plaży, na wielkim bloku koralowca. Gromada wyspiarzy złapała *dinghy* odciągając ją od wody i Knut został oto^ony przez wielki tłum krajowców paplających nieznanym mu narzeczem. Brązowi bosonodzy mężczyźni,

kobiety i dzieci w różnym wieku, stłoczyli się wokół niego, macając palcami materiał koszuli i spodni. Wyspiarze byli odziani w stare, zniszczone, europejskie ubrania, lecz na wyspie nie było ani jednego Europejczyka.

Knut zwrócił się do kilku okazalszych mężczyzn perswadując im na mię, żeby go odwiezli w *dinghy*. Wtedy kołysząc się, podszedł wielki, tusty chłop, który zdaniem Knuta musiał

być wodzem, gdyż nosił starą wojskową czapkę i przemawiał silnym, władcym głosem.

Wszyscy ustępowali mu z drogi. Knut próbował wytłumaczyć wodzowi po norwesku i angielsku, że potrzebuje ludzi, którzy mogliby go odwieźć na tratwę, zanim wiatr zdryfuje Kon-Tiki w r<sup>o</sup>rze. Wódz rozpromienił się, ale nie rozumiał ani słowa. Mimo gwałtownych protestów Knut został zaciągnięty przez całą tę krzyzącą gromadę do wioski. Tam przyjęły go psy, świnię, łfury i piękne dziewczęta Mórza Południowych, które nadeszły piosąc świeże owoce. Widać było, że krajowcy chcą w miarę możliwości umilić mu pobyt, lecz nasz towarzysz nie dał się skosić, myśląc ze smutkiem o dryfującej na zachód tratwie. Zamiał

wyspiarzy były oczywiste. Pragnęli towarzystwa gościa i wiedzieli, że na statku białych ludzi przywieziono wiele dobrych rzeczy. Jeśli uda im się zatrzymać Knuta we wsi, to reszta załogi i dziwny statek z pewnością przybędą na wyspę. Żaden okręt nie zostawi przecież białego człowieka na tak odciętej od świata Wyspie, jak Angatau.

Po różnych zabawnych perypetiach Knut wyszedł ze wsi i pośpieszył do *dinghy*, otoczony przez wielbicieli obu płci. Jego mię-

dzynarodowe słowa i gesty zostały w końcu zrozumiane; wyspiarze pojęli, że przybysz musi powrócić na dziwny statek zgubiony w ciemności.

Wtedy krajowcy zdobyli się na kawał. Powiedzieli mu na mię, że reszta załogi Kon-Tiki ląduje właśnie po drugiej stronie przylądka. Knut przez chwilę nie wiedział, co robić, gdy nagle rozległa się wrzawa na plaży, gdzie kobiety i dzieci podsycaly gasnące ognisko. Trzy łodzie wróciły na wyspę przywoząc kartkę do Knuta. Nasz towarzysz znalazł się w rozpaczliwej sytuacji. Otrzymał instrukcję, by nie wracać samotnie na tratwę, a krajowcy odmawiali mu wszelkiej pomocy.

Tubylcy rozpoczęli głośną, krzykliwą dyskusję. Ci z nich, którzy byli na tratwie, rozumieli doskonale, że zatrzymywanie Knuta nie przyda się na nic. Kon-Tiki nie mógł wrócić na wyspę. W końcu obietnice i groźby Knuta wypowiedziane za pomocą gestów skłoniły załogę trzech łodzi do odwiezienia go na statek. Puścili się w morze w pogoni za nami gumową tratawką kołyszącą się na holu, pozostali zaś mieszkańcy wsi stali nieruchomo obok gasnącego ogniska, patrząc na odjazd nowego, jasnowłosego przyjaciela, który zniknął równie prędko, jak się pojawił.

Na pełnym morzu wiodły Knuta słabe sygnały świetlne z tratwy, w chwilach kiedy fale unosiły łodzie. Długie, wąskie czółna Polinezyjczyków, wsparte na zastrzonych pływakach, przecinały wodę jak noże, lecz Knutowi wydawało się, że upłynęła wieczność, zanim stopy jego znowu dotknęły okrągłych pni Kon-Tiki.

— Dobrze się bawiłeś na łódce? — zapytał z zazdrością Torstein.

— Ach, żebyś ty widział tamtejsze tancerki *hula* 41 — drażnił go Knut.

Spuściliśmy żagiel, wciągnęliśmy na pokład wiosło sterowe i wleźliśmy wszyscy do szałasów. Spaliliśmy twardo jak bloki skalne na wybrzeżu Angatau.

Przez trzy dni dryfowaliśmy przez morze, nie widząc śladu lądu.

Dryfowaliśmy prosto na osławione rafy Takuma i Raroia, które razem tworzyły przed nami barykadę długości 70—80 kilometrów. Robiliśmy rozpaczliwe wysiłki sterowania na północ od tych niebezpiecznych raf i szło nam jakiś czas dobrze, aż pewnej nocy wachtowy wpadł do szałasów i obudził wszystkich.

Wiatr zmienił się. Niosło nas prosto na rafę Takuma. Zaczęło dżdzyc i widzialność była bardzo słaba. Rafa musiała być gdzieś w pobliżu.

W środku nocy zwołaliśmy radę wojenną. Chodziło teraz o uratowanie naszego życia.

Nie mieliśmy już więcej możliwości opłynięcia rafy od północy, należało próbować forsowania jej od południa.

Obrasowaliśmy żagiel, przełożyliśmy wiosło sterowe i rozpoczęliśmy niebezpieczną żeglugę z niepewnym wiatrem północnym, który wiał nam w plecy. Gdyby wiatr wschodni powrócił, zanim zdążylibyśmy ominąć osiemdziesięciokilometrową fasadę rafy, byłibyśmy wpędzeni w kipieli i zdani na jej łaskę.

Uzgodniliśmy, co należy zrobić w razie awarii. Należało za wszelką cenę trzymać się pokładu Kon-Tiki. Gdy fale przyboju rzucą się na nas, nie będziemy wchodzić na maszt, skąd spadlibyśmy jak zgniłe owoce z drzewa, lecz mocno uczepimy się sztagów. Na pokładzie przygotowaliśmy naszą gumową łódkę i zamocowaliśmy na niej mały, wodoszczelny nadajnik radiowy, trochę prowiantu, butle z wodą i apteczkę. Wszystko to zostałoby zniesione przez falę na ląd niezależnie od nas, gdybyśmy musieli ratować się wpław. Na rufie Kon-Tiki zamocowaliśmy długą linkę z pływakiem, który zostałby również zmyty na ląd. Moglibyśmy ewentualnie próbować przeciągnąć całą tratwę, jeśli uwięźniemy na rafie. Potem wpełzliśmy do śpiworów pozostawiając na pokładzie moknącego sternika.

Dopóki wiał północny wiatr, płynęliśmy wolno, lecz pewnie wzdłuż frontu koralowej rafy, która leżała zaczajona za horyzontem. Lecz pewnego popołudnia wiatr zamarł zupełnie, a kiedy zaczął znowu wiać, pojawił się od wschodu. Według obliczeń Erika, zaszliśmy już tak daleko na południe, że mieliśmy nadzieję opłynięcia południowego cypla rafy Raroia. Należało spróbować opłynąć ją dokoła i dostać się na podwietrzną przed zdryfowaniem na inne rafy.

Minął nasz setny dzień na oceanie. Późną nocą obudziłem się ze złym samopoczuciem, byłem niespokojny. W ruchu fal było coś niezwykłego. Kon-Tiki poruszał się jakby trochę inaczej niż zwykle w takich okolicznościach. Byliśmy wrażliwi na zmianę rytmu pni balsy.

Pomyślałem zaraz o fali odbitej przez zbliżający się ląd i stale wychodziłem na pokład lub w górę na

maszt. Nie widać było nic oprócz morza. Ale spać spokojnie nie mogłem. Czas upływał.

Kiedy już przed szóstą zaczęło szarzeć, Torstein spiesznie ześliznął się ze szczytu masztu. Zobaczył przed sobą w dali szereg małych, porośniętych palmami wysepek. Przede wszystkim położyliśmy wiosło na południową burtę tak daleko, jak tylko było można. Torstein widział koralowe wysepki nanizane jak perły na nitkę za rafą Raroia. Widocznie zniósł nas znowu jakiś północny prąd.

O wpół do ósmej zjawiał się łańcuch pokrytych palmami wysepek wzdłuż całego horyzontu od zachodu. Wysepka leżąca najdalej na południe znajdowała się wprost na naszym kursie, a dalej widniały wysepki i grupki palm wzdłuż całego horyzontu po prawej burcie, malejąc i znikając w północnym kierunku. Najbliższa z nich leżała cztery czy pięć mil morskich od nas.

Jeden rzut oka ze szczytu masztu wyjaśnił nam, że chociaż południowa wyspa leżała przed dziobem, to dryf boczny jest tak wielki, iż nie posuwamy się w tym kierunku. Znosiło nas po przekątnej prosto na rafę. Z dobrze umocowanymi mieczami mielibyśmy pewną szansę na obejście przeszkody. Rekińszy sły jednak tuż za statkiem, tak że nie można było nurkować pod tratwę, by usztywnić luźne miecze.

Wiedzieliśmy, że pozostało nam tylko parę godzin na pokładzie Kon-Tiki. Należało ten czas wykorzystać w celu przygotowania się do nieuniknionej awarii na koralowej rafie. Każdy z nas dowiedział się, co do niego należy, gdy nadejdzie decydująca chwila. Każdy z nas znał

swoją ściśle określoną strefę odpowiedzialności, tak że nie potrzebowaliśmy następować sobie wzajemnie na pięty, gdy nadejdzie czas i o wszystkim będą decydować sekundy. Kon-Tiki kołysał się w górę i w dół, a wiatr spychał nas coraz bliżej

"rafy. Nie ulegało wątpliwości, że kotłowisko fal pochodziło stąd, że fale odbijały się od rafy po bezsilnym ataku na koralowy mur.

Płynęliśmy ciągle pod pełnym żaglem, mając nadzieję, że jeszcze się wydostaniemy. W

miarę bowiem jak znosiło nas coraz bliżej, widzieliśmy z masztu, że cały ten naszyjnik z pereł

łączy się z koralową rafą leżącą częściowo pod wodą. Było to jakby molo, o które biły fale pieniać się i wznosząc w górę. Rafa Raroia ma owalny kształt i średnica jej wynosi około czterdziestu kilometrów. Dłuższą stroną jest obrócona na wschód, skąd właśnie nadchodziła rozkołysana tratwa. Sama rafa ma paręset metrów szerokości, a poza nią leżą wewnątrz cichej laguny idylliczne wysepki.

Z niepokojem patrzyliśmy na błękitny Pacyfik bezlitośnie unoszony w powietrze na całym horyzoncie przed nami. Zdawałem sobie sprawę z tego, co nas czeka. Odwiedziłem już przedtem grupę wysp Tuamotu i patrzyłem tam bezpiecznie z lądu na groźne widowisko na wschodzie, gdzie przybój z otwartego oceanu przelatywał przez rafę. Stopniowo na południu ukazywały się nowe wysepki i rafy. Musieliśmy znajdować się chyba pośrodku całego tego koralowego muru.

Na pokładzie Kon-Tiki przygotowano się do zakończenia podróży. Wszystko, co przedstawiało jakąś szczególną wartość, zostało zniesione do szalasu i zamocowane linami.

Dokumenty i papiery zapakowaliśmy w wodoszczelne worki, razem z filmami i innymi przedmiotami, które trzeba było chronić przed wodą. Cały szalasa pokryliśmy żaglowym płótnem i ściągnęliśmy szczególnie mocnymi linami. Kiedy zobaczyliśmy, że znikła już nadzieja obejścia rafy, podnieśliśmy bambusowy pokład i przecięliśmy machetarni wszystkie wiązania przytrzymujące wysuwane miecze. Nie łatwo było wyciągnąć miecze pokryte obficie małżami.

Z wyciągniętymi mieczami tratwa zanurzała się nie głębiej, niż sięgały pnie, łatwiej więc mogła być przerzucona przez rafę. Bez mieczy i ze spuszczoneymi żaglami płynęła ona bokiem i była całkowicie na łasce wiatru i fal.

Przywiązaliśmy najdłuższą z posiadanych lin-do kotwicy zmajstrowanej na tratwie; drugi koniec liny przymocowaliśmy do podnóża masztu. W razie Wyrzucenia kotwicy za burtę, Kon-Tiki powinien dryfować na kipiela rufą naprzód. Kotwica składała się z pustych baniek na wodę, wypełnionych zużytymi bateriami radiowymi i ciężkim złodem, przy czym wystawały z niej osadzone na krzyż solidne bale z drzewa mangrowego.

Rozkaz numer jeden, który był naszym pierwszym i ostatnim, brzmiał: "Trzymać się mocno tratwy!" W każdym wypadku mieliśmy mocno przywrzeć do tratwy, pozwalając dziewięciu wielkim balom przyjąć na siebie uderzenie o rafę. Gdybyśmy skoczyli za burtę, stalibyśmy się bezbronnymi ofiarami wirów, które wciągnęłyby nas i rzuciły o ostry koral.

Gumowa trawka wywróciłaby się na stromych falach, a obciążona, "zostałaby podarta na strzępy o rafę. Lecz drewniane bale musiały być wcześniej czy później wyrzucone na ląd — a my z nimi, jeżeli tylko potrafimy się na nich utrzymać.

Następnie cała załoga miała włożyć buty po raz pierwszy od stu dni i przygotować pasy ratunkowe. Te ostatnie nie miały zresztą większego znaczenia — człowiekowi za burtą groziło jeśli nie utonięcie, to zmiżdżenie. Mieliśmy też dość czasu na rozmieszczenie po kieszeniach naszych paszportów i niewielu pozostałych nam jeszcze dolarów. Lecz nie brak czasu martwić

nas.

W ciągu pełnych napięcia godzin dryfowaliśmy bezradnie bokiem w kierunku rafy. Na pokładzie panowała pełna skupienia cisza; wszyscy krążyliśmy po pokładzie tam i z powrotem wchodząc w milczeniu do szalasa i wykonując swoją robotę. Nasze skupione twarze wskazywały, że nikt nie miał wątpliwości co do powagi oczekujących nas wydarzeń, a brak zdenerwowania wskazywał, iż wszyscy mieliśmy niewzruszalne zaufanie do tratwy, nabyte stopniowo w czasie podróży. Jeżeli przeprawiła nas przez morza, przeniesie nas również żywych na ląd.

Wewnątrz szalasa, wśród pudeł z prowiantem i przywiązanego ładunku, panował

zupełny chaos. Torstein siedział ciągle w kątku radiotelegraficznym, gdzie pracowała krótkofalówka. Znajdowaliśmy się teraz w odległości 8 000 kilometrów od naszej starej bazy w Callao — gdzie peruwiańska Szkoła Marynarki Wojennej utrzymywała z nami stały kontakt radiowy — i dalej jeszcze od krótkofalowców w Stanach Zjednoczonych. Przypadek chciał, że poprzedniego dnia weszliśmy w kontakt z pewnym doświadczonym radioamatorem, który przebywał ze swoją

stacją

w Rarotonga na Wyspach Cooka i nasi radiotelegrafści wbrew zwykłej praktyce umówili się na temat dodatkowego kontaktu tego ranka. Przez cały czas, kiedy dryfowaliśmy coraz to bliżej i bliżej rafy, Torstein siedział stukając kluczem i nawołując Rarotonga.

Zapisy w dzienniku okrętowym Kon-Tiki brzmiały:

Godz. 8.15.

“Zbliżamy się zwolna do lądu. Można teraz rozróżnić gołym okiem poszczególne palmy po prawej burcie”.

Godz. 8.45.

“Wiatr wieje obecnie z jeszcze bardziej niekorzystnego dla nas kierunku, nie mamy więc nadziei wydostania się. Na pokładzie żadnej nerwowości, oprócz gorączkowych przygotowań. Na rafie przed nami leży coś, co wygląda jak wrak żaglowca, ale może jest to tylko sterta naniesionego drewna”.

Godz. 9.45.

“Wiatr znosi nas teraz w kierunku przedostatniej wysepki widocznej za rafą. Widzimy już wyraźnie całą rafę koralową. Wygląda ona jak biało i czerwono nakrapiany mur, który jak okiem sięgnąć wystaje z wody, przed pasmem wysp. Wzdłuż całej rafy biała, pieniaca się linia przyboju wzbija się ku niebu. Bengt częstuje nas właśnie krzepiącym, gorącym posiłkiem —

ostatnim przed wielkim wydarzeniem! Wewnątrz rafy leży jednak wrak. Jesteśmy już tak blisko, że możemy rozróżnić zarysy innych wysp po drugiej stronie laguny”.

Głuchy huk przyboju zbliżył się znowu; szedł od całej rafy rozciągającej się przed nami i wypełniał powietrze jak podniecający werbel bębna, zapowiadającego niezwykle finał

Kon-Tiki.

Godz. 9.50.

“Jesteśmy już bardzo blisko. Dryfujemy wzdłuż rafy. Już tylko około 100 metrów.

Torstein wciąż rozmawia z gościem na Rarotonga. Wszystko gotowe. Muszę już pakować dziennik. Wszyscy są w dobrym nastroju. Sytuacja przedstawia się groźnie, lecz damy sobie radę”.

W kilka minut później kotwica poszła za burtę i zaczepiła o dno, a Kon-Tiki obrócił się rufą do kipieli. Wstrzymało nas to przez kilka cennych minut; Torstein tymczasem walił jak szalony kluczem Morsego. Złapał wreszcie Rarotonga. Ryk przyboju wypełnił powietrze, a fale wznosiły się i opadały z sykiem. Na pokładzie wszyscy byli w ruchu, a Torstein nadał wreszcie swój komunikat. Uprzedził on, że gna nas na rafę Raroia i prosił Rarotongę o nasłuch na tej samej fali co godzinę.

Gdybyśmy nie dali znaku życia w ciągu trzydziestu sześciu godzin, należało zawiadomić norweską ambasadę w Waszyngtonie. Ostatnie słowa Torsteina brzmiały:

“Wszystko w porządku. Zostało 50 metrów. Idziemy naprzód. Do widzenia”. — Potem zamknął aparat. Knut zapieczętował papiery i obydwaj wyleźli prędko do nas na pokład, gdyż było już jasne, że kotwica nie utrzyma nas.

Fale rosły coraz większe, podzielone głęboko dolinami, i czuliśmy, że tratwa leci w górę i w dół, w górę i w dół, coraz wyżej i wyżej.

Znowu zabrzmiał rozkaz: “Trzymać się, mniejsza o ładunek, trzymać się!”

Byliśmy teraz tak blisko wodospadu fal, że nie słyszeliśmy już równomiernego grzmotu z rafy dokoła nas. Słyszać było teraz tylko oddzielne łaskoty za każdym razem, kiedy najbliższy bałwan walił się na rafę.

Załoga stała w pogotowiu, każdy mocno uczeplił się swojej liny, która wydała mu się najpewniejsza. Tylko Erik wpełzł jeszcze w ostatniej chwili do szałas. Nie wypełnił bowiem ostatniego punktu programu — nie znalazł dotychczas swoich butów! Nikt z nas nie stał na rufie, gdyż z tamtej strony właśnie spodziewaliśmy się uderzenia o rafę. Nie były również bezpieczne dwa mocne sztagi biegnące ze szczytu masztu w dół do rufy. Gdyby maszt upadł, musiałyby one zwisnąć za burtę, nad rafą. Herman, Bengt i Torstein wdrapali się na jakieś skrzynie zamocowane przed przednią ścianą domku, Herman uczeplił się gai biegnącej u szczytu dachu, a dwaj pozostali trzymali się lin, którymi przedtem wciągaliśmy żagiel na szczyt masztu. Knut i ja wybraliśmy sztag biegnący od dziobu do szczytu, gdyż sądziliśmy, że jeżeli maszt, szałas i wszystko inne mogło pójść za burtę — to liny na dziobie pozostaną na pokładzie; byliśmy bowiem teraz odwrócenii dziobem do fal. Kiedy zmiarkowaliśmy, że fale przyboju pochwyciły nas, przecięliśmy kotwiczną linę i ruszyliśmy w drogę. Fala wzniosła się prosto pod nami i poczęliśmy wraz z Kon-Tiki unosić się w powietrzu. Nadszedł wielki moment; gnaliśmy na grzbiecie fal w tak szalonym pędzie, że rozklekotany statek trzeszczał, stękał i dygotał. Krew zawrzała nam w żyłach z podniecenia. Pamiętam, że nie mając innych pomysłów, machałem ręką rycząc: “Hura!” na całe gardło; dawało mi to pewne odprężenie, a w każdym razie nie czyniło szkody. Być może, iż inni myśleli, że zwariowałem, ale twarze ich jaśniały entuzjastycznym uśmiechem. Pędziliśmy, aż gwizdało za nami; był to ogniowy chrzest Kon-Tiki; wszystko na pewno pójdzie dobrze.

Lecz nasze upojenie bliskim zwycięstwem zostało wkrótce przytłumione. Nowa fala wyrosła wysoko za nami jak lśniąca, zielona, szklana ściana i kiedy opuszczaliśmy się w dół, zaczęła walić się na nas. W tej samej sekundzie ujrzałem ją wysoko nad sobą, odczułem gwałtowne pchnięcie i zginąłem w masach wodnych. Całym ciałem czułem, jak woda ciągnie mnie z taką ogromną siłą, że musiałem naprężyć każdy mięsień i myśleć tylko o jednej rzeczy: trzymać się, trzymać się! Sądzę, że w takiej rozpaczliwej sytuacji raczej ramiona i nogi zostałyby wyrwane ze stawów, nim umysł zgodziłby się na zwolnienie chwytu. Wtem wyczułem, że góra wodna przechodzi i zwalnia swój diabelski chwyt, w którym mnie trzymała.

Kiedy sunęła już dalej z ogłuszającym hukiem i grzmotem, zobaczyłem Knuta zwiniętego w kłębek i wiszącego obok mnie. Widziana z tyłu, wielka fala była prawie płaska i szara; tocząc się dalej



przeszła ponad zrębem dachu, który wynurzył się z wody. Wisieli tam trzej pozostali, przyciśnięci do dachu szałas, podczas gdy woda przelewała się nad nimi.

Wciąż jeszcze byliśmy na powierzchni.

W następnej chwili ponowiłem mój chwyt obejmując rękami i nogami grubą linę. Knut ześliznął się w dół i tygrysim skokiem znalazł się z innymi na skrzyniach, gdzie szałas odbierał

nacisk wody. Usłyszałem ich uspokajające okrzyki, lecz jednocześnie ujrzałem, jak nowy, zielony wał wodny wznosi się i piętrzy nad nami. Krzyknąłem ostrzegawczo i skurczyłem się, jak tylko mogłem, przy mojej linie. W jednej chwili piekło znowu rozszalało się nad nami, a Kon-Tiki zniknął zupełnie pod masami wód. Morze napierało z całą siłą. Szła już nad nami druga fala, a za nią ruszyła trzecia tej samej wielkości.

Wtedy usłyszałem triumfujący okrzyk Knuta, który wisiał teraz na sztorm-trapie:

— Patrzcie na tratwę, trzyma się!

Po przejściu trzech fal jedynie podwójny maszt i szałas zostały trochę zwichrowane.

Znowu doznaliśmy uczucia triumfu i to dodało nam nowych sił.

Wtedy zobaczyłem następną wielką falę, jak nadchodziła piętrząc się wyżej niż pozostałe i znowu rzuciłem ostrzeżenie dla innych, wdrapując się jednocześnie na sztag tak wysoko, jak tylko się dało. Przywarłem mocno do liny i za chwilę zniknąłem we wnętrzu zielonego wału wodnego, wznoszącego się nad nami. Inni, którzy byli bliżej rufy i widzieli, jak zniknąłem pierwszy, ocenili wysokość fali na osiem metrów, ale pieniający się grzebień bałwanu przeszedł o pięć metrów ponad tym punktem, w którym zniknąłem. Zaraz też ściana wodna dosięgnęła pozostałych. Wszyscy żywiliśmy tylko jedną, jedyną myśl: "Wytrzymać, wytrzymać, wytrzymać!" \*

Musieliśmy tym razem uderzyć o rafę. Poczułem, jak sztag napiął się od wielkiego nacisku wód, ugiął się i poddawał stopniowo. Nie potrafiłbym jednak określić, czy uderzenia przychodziły z dołu, czy też z góry. Wszystko to trwało tylko przez kilka sekund, lecz wymagało ogromnego wysiłku. Na szczęście prócz mocy mięśni człowiek ma jeszcze inne siły.

Postanowiłem, że jeśli mam umrzeć, to umrę w tej właśnie pozycji. Morze grzmiało nad nami, przed nami i za nami, a cofając się odsłaniało okropny widok. Kon-Tiki jak gdyby za uderzeniem czarodziejskiej różdżki uległ całkowitej zmianie. Nie mieliśmy już statku, który znaliśmy od tygodni i miesięcy spędzonych w morzu; w ciągu kilku sekund nasz przytulny domek stał się zharatanym wrakiem.

Spostrzegłem tylko jednego człowieka na pokładzie. Leżał przyciśnięty płasko do dachu szałas, twarzą w dół, z rozpostartymi ramionami, sama zaś chatka była od strony rufy i prawej burty zgnieciona jak domek z kart. Tą nieruchomą figurą był

Herman. Poza nim nikogo nie dostrzegłem, a góra wodna waliła już znowu przez rafę.

Twardy jak żelazo maszt po prawej burcie był złamany niczym zapalka, a górny jego koniec przebił dach domku; cały takielunek wisiał z prawej burty ukośnie nad rafą. Na rufie kłoc sterowy był przekręcony, górny poprzeczny pień złamany, a sterowe wiosło rozbite w drzazgi.

Mocne deski sosnowe na dziobie były strzaskane jak pudełko od cygar, a cały bambusowy pokład zdarty i przylepiony jak mokry papier do przedniej ściany domku, a z nim skrzynie, bańki, płótno żaglowe i inny ładunek. Zewsząd sterczały bambusowe tyki i końce lin.

Wszystko razem sprawiało wrażenie zupełnego chaosu.

Czułem, jak ogarnia mnie lodowate przerażenie. Co mi przyjdzie z trzymania się?

Jeślibym tu stracił choć jednego człowieka, wszystko byłoby na nic, a właśnie po ostatnim uderzeniu fali można było dostrzec zaledwie jedną istotę ludzką. W tej sekundzie skurczona postać Torsteina ukazała się zza chatki. Wisiał ucepiony jak małpa lin zwisających ze szczytu masztu i kiedy udało mu się znowu zejść na pnie pokładu, wczuł się na kupę rupieci przed szaląsem. Herman odwrócił teraz głowę i z wysiłkiem posłał mi uśmiech otuchy nie ruszając się z miejsca. Począłem wywoływać innych i usłyszałem spokojny głos Bengta oznajmiający, że cała *załoga* jest na pokładzie. Leżeli za barykadą utworzoną *przez* mocną plecionkę z bambusa i trzymali się wiązań tratwy.

Wszystko to odbyło się w ciągu kilku sekund, w których Kon-Tiki wychynął z diabelskiego kotła fal i wirów, ale już nowy bałwan zwał się na nas. Wśród grzmotów przyboju po raz ostatni zarzycałem z całej siły: "Trzymać się!" Zniknąłem w masach wodnych, przelewających się przez statek w ciągu nie kończących się 2—3 sekund. Miałem już tego dość.

Widziałem, jak końce pni waliły i tłukły się o ostry próg koralowej rafy, przez którą tratwa nie mogła przejść. Znowu wiry pociągnęły nas za sobą. Ponownie ujrzałem tych dwóch, którzy leżeli rozpostarci w poprzek dachu chatki, lecz żaden z nas nie śmiał się już więcej. Spoza sterty bambusu usłyszałem spokojne wołanie: "Nic z tego nie będzie!"

Ja sam również czułem, że upadam na duchu. W miarę jak szczyt masztu przechylał się coraz dalej na prawą burtę, zawisłem w końcu na luźnej linie poza krawędzią tratwy. Nadeszła następna góra wody. Kiedy wreszcie przeszła, czułem się już śmiertelnie zmęczony i moim jedynym życzeniem było wejść na bale i położyć się za barykadą. Kiedy odbita fala odeszła, zobaczyłem po raz pierwszy pod nami nagą, poszarpaną, rdzawą rafę i zauważyłem, że Torstein zgięty wpół stał na czerwonych, błyszczących koralach i trzymał się pęku lin zwisających z masztu. Knut stojąc na rufie szykował się do skoku. Krzyknąłem, że musimy wszyscy trzymać się na tratwie, więc Torstein, zmyty za burtę przez napór wody, wskoczył z powrotem jak kot.

Jeszcze dwa czy trzy bałwany przewaliły się przez nas, lecz już z mniejszym impetem.

Nie pamiętam, co się działo później, wiem tylko, że spieniona woda zalewała tratwę, a ja zsuwałem się coraz niżej i niżej ku czerwonej rafie, na którą nas wyrzuciło. Wreszcie pojawiały się już tylko płyty piany, wirujące w powietrzu. Wydostałem się na tratwę, gdzie wszyscy posuwaliśmy się ku rufowej części pni, która leżała na rafie najwyżej.

W tym samym momencie Knut przykucnął i zeskoczył na skałę, trzymając koniec liny zwiniętej na rufie. Kiedy odbita fala odpłynęła z tratwy, przebiegł pędem ze trzydzieści metrów i stanął w bezpiecznym miejscu, z końcem liny w rękach. Następna fala podbiegła ku niemu, zapieniła się, opadła i jak szeroki strumień spłynęła z płaskiej rafy z powrotem.

Dopiero teraz wyczołgał się z rozbitego szałasu Erik w butach. Gdybyśmy wszyscy zrobili tak jak on, kosztowałyby nas to mniej wysiłku. Ponieważ szałas nie został zmyty za burtę, lecz leżał rozplaszczony pod żaglowym płótnem, Erik rozpostarł się dogodnie między ładunkiem i słuchał huczącego ponad nim grzmotu fal, podczas gdy zapadnięte bambusowe ściany uginały się pod naporem wody. Bengt doznał lekkiego wstrząsu mózgu od upadającego masztu, lecz udało mu się wczołgać pod zawalony szałas do Erika. Tam powinniśmy byli leżeć wszyscy, gdybyśmy z góry wiedzieli, że tak dobrze będą się trzymać pod naporem wody pnie balsy, wiązania i plecione maty bambusowe.

Erik stał teraz w pogotowiu na rufowych pniach i kiedy fala oddaliła się, również i on skoczył na rafę. Teraz nadeszła kolej na Hermana, a później na Bengta.

Za każdym razem tratwę popychało trochę głębiej na rafę, a kiedy przyszła kolej na Torsteina i na mnie, tratwa leżała już daleko na rafie, tak że nie było powodu opuszczania jej.

Cała załoga wzięła się teraz do prac ratowniczych.

Znajdowaliśmy się więc na rafie o dwadzieścia metrów od diabelskiego progu, zza którego biegły ku nam długim szeregiem grzywacze, jeden za drugim. Polipy koralowe zbudowały atol tak wysoko, że tylko same wierzchołki bałwanów zasilały nowymi strumieniami wody lagunę obfitującą w ryby. Tu, po drugiej stronie rafy, istniał własny świat koralu o najdziwniejszych kształtach i kolorach.

Daleko na rafie chłopcy odnaleźli dryfującą, gumową tratawkę pełną wody. Opróżnili ją i przyciągnęli z powrotem do wraku, gdzie naładowaliśmy ją do pełna najważniejszymi przedmiotami: radiostacją, prowiantem i butlami z wodą. Przeciągnęliśmy to wszystko w głąb rafy i ułożyliśmy w stos na szczycie wielkiego, koralowego bloku, który leżał samotnie jak wielki meteoryt. Potem wróciliśmy do wraku po nowy ładunek. Trudno było przewidzieć, jak wysoko wzniesie się poziom wody, kiedy ogarnie nas przyływ.

Na płytkiej wodzie wewnątrz rafy zauważyliśmy coś jasnego, błyszczącego w słońcu.

Kiedy brodząc po wodzie podeszliśmy bliżej, okazało się ku naszemu zdumieniu, że były to dwie puste puszkę od konserw. Nie to spodziewaliśmy się znaleźć na koralowej rafie. Nasze zdziwienie wzrosło jeszcze bardziej, kiedy zobaczyliśmy, że puszkę były nowiutkie, świeżo otwarte i miały napis "ananasy" — taki sam, jaki widywaliśmy na racjach polowych, które mieliśmy wypróbować dla kwatermistrzostwa. Były to nasze własne puszkę, wyrzucone za burtę po ostatnim posiłku na Kon-Tiki. Płynęliśmy za nimi aż do rafy.

Bloki koralu, na których znajdowaliśmy się, były ostre i poszarpane. Brodziliśmy po nierównym dnie, zanurzając się po kostki, a niekiedy aż do piersi, gdyż w rafie były kanały i łożyska prądów. Algi, anemony i koralę nadawały rafie wygląd skalnego ogrodu pokrytego mchem, kaktusami,

czerwonymi, zielonymi, żółtymi i białymi skamieniałymi roślinami. Korale, muszle, porosty i dziwaczne ryby morskie mieniły się we wszystkich kolorach. W głębszych kanałach małe, metrowe rekiny skradały się ku nam w kryształowo czystej wodzie. Wystarczyło jednak uderzyć dłonią o powierzchnię wody, a robiły w tył zwrot i trzymały się w pewnej odległości.

Tam gdzie nas wyrzuciło, widać było tylko duże kałuże wody i kępy mokrych koralów, dalej zaś leżała spokojna, niebieska laguna. Był to właśnie odpływ i widzieliśmy, jak stopniowo coraz więcej koralów wystaje dokoła nas z wody, podczas gdy przybój wałący bezustannie o rafę jak gdyby obniżył się o jedno piętro. Nie wiadomo, co będzie się dziać na rafie, kiedy morze znowu zacznie podnosić swój poziom. Należało zabierać się stąd.

Rafa rozciągała się na północ i południe jak na wpół zatopiony mur forteczny. Hen na południe leżała druga wyspa, gęsto porośnięta lasem palmowym. Tuż przed nami, na północ, w odległości zaledwie 600—700 metrów, znajdowała się inna, znacznie mniejsza wysepka palmowa. Leżała ona po wewnętrznej stronie rafy, ze szczytami palni wznoszącymi się ku niebu i z białymi jak śnieg piaszczystymi plażami wchodzącymi w cichą lagunę. Cała wyspa wyglądała jak zielony kosz pęczniejący od kwiatów albo kawałeczek skoncentrowanego rajju.

Wybraliśmy tę wyspę.

Herman stał obok mnie i brodata jego twarz jaśniała jak słońce. Nie wyrzekł ani słowa, wyciągnął tylko rękę ku wyspie i uśmiechał się uszczęśliwiony. Kon-Tiki leżał wciąż daleko na rafie, otoczony latającymi wokół bryzgami piany. Był to wrak, lecz wrak dostojny. Wszystko na pokładzie zostało rozbite, ale dziewięć pni balsy z puszczy Quivedo w Ekwadorze było nietkniętych jak przedtem. One uratowały nam życie. Morze zabrało nam nieco ładunku, ale wszystko, co załadowaliśmy do szałasów, pozostało na swoim miejscu. Ogołociliśmy tratwę z wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość; leżało to teraz w bezpiecznym miejscu na szczycie wielkiej, spieczonej przez słońce skały, wewnątrz rafy.

Kiedy zeskoczyłem z tratwy, straciłem z oczu widok ryb-pilotów wijących się przed dziobem statku. Teraz grube pnie balsy leżały wprost na rafie, na pół stopy w wodzie; brunatne porosty morskie wiły się pod dziobem. Odeszły ryby-piloty. Odeszły złote makrele. Tylko nieznana nam płaska ryba, wzorzysta jak paw i z ogonem jak welon, przewijała się z zaciekawieniem pomiędzy balami. Weszliśmy w nowy świat. Johannes opuścił swoją dziurę.

Znalazł on tutaj niewątpliwie inne schowki.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na pokład statku i na dnie zgniecionego kosza zobaczyłem małą palmę. Sterczała ona z oka kokosu na jakie pół metra, a poniżej wystawały dwa korzenie.

Z orzechem w dłoni ruszyłem w bród ku wyspie. Niedaleko ujrzałem Knuta, jak z modelem tratwy pod pachą — zrobionym z wielkim mozołem podczas podróży — szedł wesoło ku lądowi. Wkrótce minęliśmy Bengta. Był on doskonałym kucharzem. Ze szmatą na czole i wodą morską kapiącą z brody szedł zgięty we dwoje i popychał skrzynię, która tańczyła przed nim za każdym razem, kiedy bałwany wysyłały przez rafę nowe strumienie wody w lagunę. Z dumą podniósł pokrywę: była to skrzynia kuchenna, w której znajdowała się kuchenka naftowa i różne utensylia gospodarcze — wszystko w

dobrym stanie.

Nie zapomnę nigdy tego brodzenia przez rafę do rajskiej wysepki palmowej, która rosła w oczach wychodząc na nasze powitanie. Kiedy dotarłem do słonecznej, piaszczystej plaży, zdjąłem buty i zagłębiłem gołe palce nóg w gorący, suchy jak pieprz piasek. Po prostu rozkoszowałem się każdym śladem stopy w dziewiczym piasku plaży, która prowadziła \_do pni palmowych. Wkrótce korony palm zwały się nad moją głową, ja zaś szedłem dalej prosto do środka małej wysepki. Zielone orzechy kokosowe wisały pod pióropuszem palm, a jakieś bujne krzaki były gęsto pokryte śnieżnobiałym kwieciem pachnącym tak słodko, że zrobiło mi się słabo. Nad wyspą fruwały dwie mewy i krążyły wokół moich ramion. Były one lekkie i białe jak kłęby obłoczków. Małe jaszczurki uciekały mi spod stóp, a najważniejszymi mieszkańcami wyspy były wielkie krwawoczerwone raki-pustelniki, które dreptały we wszystkich kierunkach chroniąc swe miękkie odwłoki w ukradzionych muszlach.

Byłem zupełnie oszołomiony. Upadłem na kolana i zanurzyłem dłonie głęboko w suchy, gorący piasek.

Podróż skończyła się, wszyscy byliśmy przy życiu. Wylądowaliśmy na małej niezaludnionej wysepce mórz południowych. I jakiej wysepce!

Torstein przyszedł, zwałił z ramion worek, rzucił si<sup>^</sup> na ziemię i zaczął podziwiać korony palm i białe ptaki, lekkie jak puch, kołujące bezszelestnie przed naszymi nosami.

Wkrótce leżała tu cała szóstka. Herman, zawsze energiczny, wdrapał się na małą palmę i ściągnął grono wielkich, zielonych kokosów. Odcieśliśmy machetami ich miękkie wierzchołki i wlewaliśmy do gardeł najwspanialszy, najbardziej orzeźwiający napój na świecie — słodkie, zimne mleko kokosowe z młodych owoców palmowych. Na rafie, na zewnątrz, huczały monotonne bębny gwardii strzegącej bram rajy.-

— Czyściec był odrobinę wilgotny — rzekł Bengt — lecz niebo wygląda mniej więcej tak, jak sobie wyobrażałem.

Przeciągaliśmy się rozkosznie na ziemi, uśmiechając się do białych pasatowych obłoków pędzących na zachód ponad szczytami palm. Teraz nie musieliśmy już podążać bezradnie za nimi; leżeliśmy na stałej, nieruchomej wyspie w najprawdziwszej Polinezji.

A kiedy tak leżeliśmy, przybój na morzu szumiał jak pociąg, zbliżając się i oddalając wzdłuż całego horyzontu.

Bengt miał rację — byliśmy w niebie.

VIII.

WŚRÓD POLINEZYJCZYKÓW

Robinsonada \* Grozi nam odsiecz \* Wszystko w porządku, Kon-Tiki! \* Inny wrak \*

Bezludne wyspy \* Walka z morskimi węgorzami \* Krajowcy znajdują nas \* Upiory na rafie \*

Poseł do wodza \* Wódz składa nam wizytę \* Kon-Tiki został poznany \* Wysoka woda \*

Łądowy rejs tratwy \* Tylko czterech na wyspie \* Krajowcy zabierają nas \* Przyjęcie we wsi \*

Przodkowie ze wschodu \* Festyn "hula" \* Znachorzy w eterze \* Otrzymujemy królewskie imiona \*  
Inni rozbitkowie \* "Tamara" ratuje "Maoae" \* To Tahiti \* Spotkanie na wybrzeżu \*

Królewski pobyt \* Sześć wieńców \*

Nasza mała wysepka była nie zamieszkana. Wkrótce poznaliśmy każdą grupkę palni i każdą plażę, gdyż wyspa miała zaledwie 200 metrów średnicy. Najwyższy punkt wznosił się o niecałe dwa metry ponad laguną.

Nad naszymi głowami wisiały w koronach palm wielkie grona zielonych kokosowych orzechów, których skorupy izolowały chłodne mleko kokosowe od tropikalnego słońca, tak że przez pierwsze tygodnie na pewno nie zaznalibyśmy pragnienia. Były również dojrzałe kokosy, rój raków-pustelników i wszelkiego rodzaju ryby w lagunie; nie będzie nam się tu powodziło źle.

W północnej części wyspy znaleźliśmy szczątki starego krzyża z niemalowanego drzewa, na wpół zagrzebanego w koralowym piasku. Mieliśmy stąd widok na północną część rafy, aż do wraku ogołoczonego z poszycia, który spostrzegliśmy już między nami a rafą, niedaleko miejsca awarii. Jeszcze dalej na północ siniały mgliście korony palm na innej wysepce. Wyspa na południe od nas, gęsto porośnięta palmami, leżała znacznie bliżej. Również i tam nie ujrzeliśmy nawet śladu życia. Lecz na razie trzeba było myśleć o innych sprawach.

Zjawił się, kulejąc, Robinson Hesselberg, w swoim wielkim, słomkowym kapeluszu, trzymając w rękach pełno żywych raków-pustelników. Knut rozpałił ognisko z chrustu i wkrótce mieliśmy potrawkę z raków oraz kakao na mleku kokosowym.

— Przyjemnie być na lądzie, chłopcy? — zapytał zadowolony Knut. Ledwie to wyrzekł, potknął się i wylał pół kociołka gorącej wody na nogi Bengta. Po 100 dniach na pokładzie tratwy czuliśmy się pierwszego dnia na lądzie trochę niepewnie. Ni stąd, ni zowąd zaczynaliśmy się zataczać wśród palmowych pni, gdyż nagle wysuwaliśmy stopę, żeby przeciwstawić się fali, która nie nadchodziła.

Kiedy Bengt podał każdemu z nas przybory do jedzenia, Erik uśmiechnął się szeroko.

Przypomniałem sobie, że po ostatnim posiłku na tratwie przechyliłem się przez krawędź i jak zwykle opłukałem talerz w morzu; Erik zaś popatrzał na rafę i powiedział:

— Nie sądzę, żeby mi się chciało dzisiaj zmywać naczynia.

Kiedy *znalazł* swoje przybory do jedzenia w skrzyni kuchennej, były one równie czyste, jak moje.

Po posiłku i wypoczynku zaczęliśmy składać przemoknięty aparat radiowy; musieliśmy robić to szybko, tak żeby Torstein i Knut mogli nawiązać kontakt, zanim człowiek z Rarotonga wyśle raport o

żałosnym końcu naszej wyprawy.

Większa część ekwipunku radiowego została już przeniesiona na ląd, a pomiędzy tym, co jeszcze dryfowało na rafie, Bengt znalazł skrzynię, do której zaraz się zabrał. Nie było wątpliwości, że zawartość jej należała do działu radiowego, bo kiedy dotknął skrzyni, coś go niemal podrzuciło w powietrze. Podczas gdy radiotelegrafisci odśrubowywali, łączyli i składali części aparatu, my zaczęliśmy rozbijać obóz.

Na wraku znaleźliśmy ciężki żagiel i wydostaliśmy go na brzeg. Rozciągnęliśmy go między dwiema wielkimi palmami na małej polance zwróconej ku lagunie i dwa jego końce podparliśmy bambusowymi tykami, które zostały zniesione z wraku. Gęsty żywopłot kwitnących krzaków otaczał żagiel; tworzyło to dach i trzy ściany z otwartym widokiem na lśniąca lagunę. Nasze nozdrza wypełniał przenikliwy zapach kwiatów. Dobrze tu było żyć.

Uśmiechaliśmy się i cieszyliśmy odpoczynkiem; każdy z nas zrobił sobie posłanie ze świeżych liści palmowych, wybrawszy wpierw luźne gałązki koralowca, sterczące z piasku. Zanim noc zapadła, urządziliśmy sobie zupełnie przyzwoite legowisko. Nad głowami mieliśmy wielkie, brodate oblicze starego, kochanego Kon-Tiki. Nie wypinał on teraz swoich piersi pod oddechem wschodniego wiatru, tylko leżał nieruchomo na plecach i spoglądał na gwiazdy, które mrugały nad Polinezją.

Na krzakach wokół nas wisały mokre flagi i śpiwory, a przemoczone *rzeczy* schły na piasku.

Jeszcze jeden taki słoneczny dzień, a wszystko pięknie wyschnie. Nawet nasi chłopcy od radia musieli przerwać pracę i poczekać, aż słońce wysuszy następnego dnia wnętrza aparatów. Zdjęliśmy śpiwory z drzew i wsunęliśmy się do nich, urządzając konkurs na najsuchszy worek. Wygrał Bengt, gdyż w jego worku nie pluskało, kiedy się obracał. Boże, jak to przyjemnie znowu wypoczywać!

Gdy następnego ranka obudziliśmy się o wschodzie słońca, żagiel był wybrzuszony ku dołowi i pełen deszczowej wody czystej jak kryształ. Bengt zajął się tym bogactwem, a później podreptał do laguny i złowił na śniadanie jakieś dziwaczne rybki, które zwabił do kanalików wygrzebanych w piasku.

Tej nocy bolał Hermana kark i plecy, potłuczone jeszcze przed startem z Limy, a Erikowi powróciło jego zapomniane lumbago. Poza tym przebyliśmy rafę tanim kosztem, gdyż odnieśliśmy tylko zadrapania i skaleczenia, z wyjątkiem Bengta, którego padający maszt uderzył w czoło i przyprawił o silny ból głowy. Sam wyglądałem nader osobliwie; ramiona i nogi miałem posiniaczone przez liny.

Nikt z nas jednak nie był aż w tak złym stanie, żeby czysta, błyszcząca laguna nie zachęciła go do orzeźwiającej kąpieli przed śniadaniem. Laguna okazała się olbrzymią. W dali była ona niebieska, pomarszczona *przez* pasat i tak szeroka, że mogliśmy widzieć tylko szczyty mglistych, błękitnawych palmowych wysp, które znaczyły krzywiznę atolu po drugiej stronie.

Tutaj, na pod-wietrznej stronie wyspy, pasat szumiał spokojnie w postrzępionych wierzchołkach palm, laguna zaś leżała jak nieruchome zwierciadło. Gorzkosłona woda była tak jasna i przezroczysta, że korale i barwne ryby na trzymetrowej głębokości wydawały się znajdować tuż pod powierzchnią. Obawialiśmy się więc pokaleczyć o nie palce nóg w czasie pływania. Znaleźliśmy się w świecie przygód. Woda była w sam raz chłodna, a powietrze ciepłe i suche od słońca. Ale tego

dnia należało szybko wracać na brzeg: musieliśmy uzyskać połączenie z Rarotongą.

Cewki i części aparatu leżały na kawałkach koralu i suszyły się w tropikalnym słońcu, a Torstein i Knut łączyli je i dokręcali. Minął cały dzień. Atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. Zostawiliśmy wszystkie inne zajęcia i zbiliśmy się wokół naszych radiooperatorów w nadziei okazania im pomocy. Musieliśmy wysłać meldunek przed dziesiątą wieczór. Upłynie wtedy trzydzieści sześć godzin i radioamator na Rarotongą nada wezwanie o pomoc do samolotów i wypraw ratunkowych.

Minęło południe i popołudnie, wreszcie słońce zaszło. Gdyby tylko człowiek na Rarotongą zechciał wstrzymać się trochę... Siódma, ósma, dziewiąta. Napięcie stało się nie do zniesienia. Ani śladu życia w nadajniku, tylko w odbiorniku typu NC-173 słychać było cichą muzykę gdzieś na dole skali, lecz nie na amatorskiej długości fal. Muzyka przebijała się jednak w górę skali; być może, że jakaś mokra cewka wysychała stopniowo z jednego końca. Nadajnik był ciągle głuchy jak pień, wszędzie powstawały tylko iskry i krótkie spięcia.

Pozostała jeszcze niecała godzina. Nie szło nam. Zostawiliśmy nadajnik i znowu zaczęliśmy próbować małą krótkofalówką używaną w czasie wojny dla celów sabotażu.

Sprawdzaliśmy ją wiele razy przedtem w ciągu dnia, lecz bez rezultatu. Może teraz aparat trochę wysechł. Wszystkie baterie były kompletnie zniszczone, energię uzyskiwaliśmy kręcąc korbką małego, ręcznego generatora. Szło to ciężko i czterej laicy w sprawach radiowych zmieniali się po kolei, przez cały dzień kręcąc to paskudztwo. Za chwilę upłynie trzydzieści sześć godzin. Pamiętam, jak ktoś szepnął, że zostało jeszcze siedem minut, jeszcze pięć minut, a potem żaden z nas nie chciał już spojrzeć na zegarek. Nadajnik był wciąż niemy, lecz trzaski w odbiorniku — coraz silniejsze. Nagle trzasnęło coś na falach amatora z Rarotongą. Stawało się jasne, że był on już w kontakcie z radiostacją na Tahiti. Wkrótce potem złapaliśmy następujący urywek komunikatu z Rarotongą:

“...żadnego samolotu po tej stronie Samoa. Jestem zupełnie pewny...”

2CW

I znowu głos zamarł. Napięcie stało się nie do zniesienia. Co się tam działo? Czyżby zaczęto już wysyłać samoloty i wyprawy ratunkowe? Bez wątpienia meldunki latały teraz w eterze we wszystkich kierunkach.

Dwaj radiotelegrafisci pracowali gorączkowo. Pot spływał im z twarzy tak jak i nam przy kręceniu korbką. Powoli antena nadajnika zaczęła odbierać energię i Torstein pokazywał

entuzjastycznie na strzałkę wskaźnika, która zwolna szła w górę, kiedy naciskał na klucz Morsego. Nareszcie ruszyło.

Kręciliśmy jak szaleni, a Torstein wołał Rarotongą. Nikt nas nie słyszał. Jeszcze raz.

Teraz odbiornik ocknął się znowu, ale •w Rarotongą nie słyszeli nas. Wołaliśmy Hala i Franka w Los Angeles oraz Szkołę Marynarki Wojennej w Limie, lecz nikt nas nie słyszał.



Wtedy Torstein wysłał meldunek CQ, to znaczy wezwał wszystkie stacje na świecie, które mogły słyszeć nas na specjalnej częstotliwości amatorskiej. To pomogło. Jakiś słaby głos zaczął teraz nawoływać nas w eterze. Znowu odezwaliśmy się i oznajmiliśmy, że go słyszymy.

Powolny głos w eterze powiedział: "Na imię mi Paul, mieszkam w Kanadzie, jak się nazywasz i gdzie mieszkasz?"

Był to radioamator. Torstein rzucił się do klucza i odpowiadał:

— Tutaj Kon-Tiki, wyrzuciło nas na bezludną wyspę na Oceanie Spokojnym.

Paul ani trochę nie uwierzył tej informacji. Myślał, że to radioamator na sąsiedniej ulicy próbuje go nabierać — i nie pojawił się już wcale. Wyrywaliśmy sobie włosy z głowy. Oto siedzieliśmy pod palmami w gwiazdzistą noc na samotnej wyspie i nikt nie chciał w to uwierzyć.

Torstein nie poddał się, znowu złapał klucz i nadawał bez końca: "Wszystko w porządku, wszystko w porządku, wszystko w porządku". Za wszelką cenę musieliśmy wstrzymać cały mechanizm wypraw ratunkowych startujących na Pacyfik.

Wtem usłyszeliśmy słaby głos w odbiorniku: "O co tyle hałasu, skoro wszystko jest w porządku?"

Później znowu w eterze zapanowała cisza. Z rozpaczy chciało się nam skakać w powietrze i strząsać wszystkie kokosy z drzew — i Bóg wie co byśmy zrobili, gdyby nie to, że zarówno Rarotonga, jak i kochany stary Hal nagle usłyszeli nas. Hal łkał z radości słysząc znowu nasz sygnał wywoławczy L-I-2-B. Wszystkie kłopoty skończyły się natychmiast; byliśmy znowu samotni i nikt już nam nie miał zamącić pobytu na naszej wyspie mórz południowych. Wyczerpani położyliśmy się spać na łożu z palmowych liści.

Następny dzień spędziliśmy beztrosko, ciesząc się życiem. Jedni kąpali się, inni łowili ryby albo ruszali na odkrywcze wyprawy w poszukiwaniu dziwnych stworzeń morskich, a najbardziej energiczni robili porządek w obozie i upiększali jego otoczenie.

Na przyłładku zwróconym ku wrakowi Kon-Tiki wykopaliśmy dołek u skraju palmowego lasu, wymościliśmy go liśćmi i posadziliśmy kiełkujący kokos z Peru. Tuż obok, w pobliżu miejsca gdzie Kon-Tiki rozbił się na rafie, wznieśliśmy piramidkę z koralowca. W

nocy Kon-Tiki został splukany jeszcze dalej w głąb rafy i leżał teraz prawie suchy w kałużach wody, wciśnięty między grupy wielkich koralowych bloków.

Wygrzawszy się porządnie w gorącym piasku, Erik i Herman odzyskali humor i poszli wzdłuż rafy na południe, aby *znaleźć* drogę do leżącej tam większej wyspy. Ostrzegałem ich przed węgorzami raczej niż przed rekinami, więc każdy z nich wetknął za pas długi nóż-machete. Rafy koralowe są schroniskiem straszliwych węgorzy uzbrojonych w długie, jadowite zęby, którymi z łatwością mogą rozszarpać nogę człowieka. Ruszają one do ataku z szybkością błyskawicy i są postrachem nawet tych krajowców, którzy nie obawiają się pływać wśród rekinów.

Erik i Herman przebrnęli przez długie odcinki wzdłuż rafy, ale gdzieniegdzie istniały głębsze

kanaliki, biegnące w różne strony, i tam trzeba było rzucać się do wody i płynąć.

Dotarli bezpiecznie do dużej wyspy i brodząc wyszli na ląd. Długa i wąska wyspa, pokryta lasem palmowym, rozciągała się w południowym kierunku pod osłoną rafy, obrzeżona słonecznymi plażami. Przeszli wzdłuż całej wyspy i doszli do jej południowego cypla. Stąd, pokryta białą pianą, rafa biegła dalej na południe, w kierunku innych, odległych wysp. Znaleźli tu wrak wielkiego statku, który miał cztery maszty i leżał na brzegu rozcięty na dwoje. Był to stary hiszpański żaglowiec załadowany kolejowymi szynami, które rdzewiały rozrzucone wzdłuż rafy. Poszli z powrotem z drugiej strony wyspy, lecz nie znaleźli nawet żadnego śladu na piasku. W powrotnej drodze przez rafę płoszyli stale osobliwe ryby i próbowali je łapać, aż nagle napadło ich osiem wielkich węgorzy. Zobaczyli je, gdy podeszły w przezroczystej wodzie, i wskoczyli na wielki blok koralowca, który otoczyły wijące się węgorze.

Śliskie te bestie były grube jak ludzka noga i nakrapiane zielono i czarno jak jadowite węże; miały małe głowy, złośliwe oczy, a zęby długie na cal i ostre jak szydła. Chłopcy poczęli siec machetami po małych głowach przewijających się dokoła i udało im się odciąć łeb jednemu węgorzowi, a drugiego zranić. Krew w morzu znęciła całe stado młodych, niebieskich rekinów, które zaatakowały węgorze; wówczas udało się Erikowi i Hermanowi zeskoczyć z koralowego głazu i uciec.

Tego samego dnia, kiedy brodziłem przy wyspie, coś błyskawicznym ruchem złapało mnie mocno za obie kostki. Była to niewielka ośmiornica. Z obrzydzeniem patrzyłem na owinięte wokół mnie zimne macki i złe, małe oczy tkwiące w sinoczer-wonym, dziobatym worku stanowiącym ciało zwierzęcia. Szarpnąłem nogą tak mocno, jak tylko mogłem, ale ośmiornica mająca zaledwie metr długości nie zwalniała chwytu. Prawdopodobnie zwabił ją bandaż na stopie. Wycofywałem się zrywami w kierunku plaży ze wstrętnym cielskiem wiszącym u stopy. Dopiero kiedy dotarłem do skraju suchego piasku, ośmiornica puściła nogę i wycofała się zwolna na płytką wodę z rozcapierzonymi ramionami i oczyma skierowanymi na mnie, jak gdyby gotując się do nowego napadu, jeśli bym się tylko odważył ruszyć. Rzuciłem w nią odłamkami koralowca i wtedy dopiero znikła w wodzie.

Nasze przygody na rafie były tylko przyprawą do niebiańskiej egzystencji na wyspie.

Lecz nie mogliśmy tu spędzić całego życia, należało pomyśleć o powrocie do świata. Po tygodniu Kon-Tiki przeorał drogę do środka rafy, gdzie leżał zagrzebany i zaryty w suchym koralu. Przebijając sobie drogę do laguny wielkie bale odepchnęły i połamały bryły koralowca; teraz jednak tratwa leżała nieruchomo i mimo żeśmy ją pchali i ciągnęli, nie mogliśmy ruszyć jej z miejsca. Gdyby tylko udało się zepchnąć wrak z rafy, można by naprawić maszt i takielunek, a później poże-głować z wiatrem przez spokojną lagunę i zobaczyć, co znajdziemy na drugiej stronie. Jeżeli któraś z wysp była zaludniona, musiała to być jedna z tych, które widniały na horyzoncie w zachodnim kierunku, gdzie rafa zwracała swoje czoło ku pod-wietrznej.

Dnie mijały.

Pewnego ranka któryś z chłopców nadbiegł z pośpiechem i powiedział, że ujrzał na lagunie biały żagiel. W górze wyspy, między pniami palm, można było zobaczyć małą, białą plamkę odcinającą się od opalowobłękitnej laguny. Tak, był to żagiel poruszający się wzdłuż lądu po drugiej stronie. Widzieliśmy, że lawirował. Wkrótce zjawił się jeszcze jeden. Rosły one w ciągu poranka i

podchodziły bliżej. Szły prosto na nas. Podnieśliśmy francuską flagę na palmie i powiewaliśmy naszą własną, norweską, na tyczce. Jeden z żagli był tak blisko, iż mogliśmy rozpoznać, że należał do polinezyjskiego czółna. Ożaglowanie było jednak nowszego typu. Dwie brązowe postacie stały w czółnie i gapiły się na nas. Zamachaliśmy rękoma na powitanie. Odpowiedzieli nam tym samym i skierowali czółno prosto ku płytkiej wodzie.

— *la ora na* — powitaliśmy ich po polinezyjsku.

— *la ora na* — odpowiedzieli chórem, a jeden z nich wyskoczył i brodząc przez piaszczystą mieliznę na nasze spotkanie, ciągnął czółno za sobą.

Na brunatnych ciałach mieli europejskie ubrania. Byli bosy, dobrze zbudowani i nosili słomiane kapelusze własnej roboty, chroniące ich od słońca. Wylądowali i zbliżyli się do nas dość niepewnie, lecz kiedy uśmiechnęliśmy się i uścisnęliśmy im po kolei ręce, rozpromienili się, ukazując rzędy białych jak perły zębów. To było wymowniejsze od słów.

Nasze polinezyjskie powitanie zdziwiło i ośmieliło dwóch wioślarzy. Wyrzucili z siebie całą rapsodię polinezyjskich słów, zanim spostrzegli, że ich wylewność nie osiąga celu.

Wówczas nie rzekli już nic więcej, tylko uśmiechali się uprzejmie, wskazując na drugie zbliżające się czółno.

W łodzi było trzech ludzi, a gdy wyszli na ląd, okazało się, że jeden z nich umiał trochę mówić po francusku. Dowiedzieliśmy się, że na jednej z wysp po drugiej stronie laguny była wieś krajowców i Polinezyjczycy zauważyli odbłask naszego ogniska kilka dni temu. Przez rafę Raroia do kręgu wysp dokoła laguny wiodło tylko jedno jedyne przejście, a ponieważ biegło ono obok wsi, nikt nie mógł dostać się do wysp wewnątrz rafy, nie będąc widzianym przez jej mieszkańców. Dlatego też starzy ludzie we wsi doszli do wniosku, że światło na rafie, widziane przez nich od wschodu, nie może być dziełem rąk ludzkich; musiały tam widocznie straszyć jakieś upiory. To odebrało im wszelką chęć zbadania sprawy. Aż tu morze przyniosło przez lagunę wieko od skrzyni z jakimiś namalowanymi znakami. Dwaj krajowcy, którzy bywali na Tahiti i znali alfabet, odcyfrowali napis i odczytali nazwę "TIKI" wypisaną wielkimi, czarnymi literami na desce. Nie było już wówczas wątpliwości, że na rafie straszło, gdyż Tiki był dawno zmarłym praojcem ich własnej rasy — o czym wiedzieli wszyscy. Lecz później zdryfowało przez lagunę chleb w puszkach, papierosy, kakao i skrzynkę ze starymi butami. Wtedy wyspiarze zrozumieli, że na wschodniej stronie rafy rozbił się statek i wódz wysłał dwie łodzie w poszukiwaniu rozbitków, którzy palili ogień na wyspie.

Przynaglany przez innych, brązowy wyspiarz mówiący po francusku zapytał, dlaczego na desce zdryfowanej przez lagunę widniał napis "Tiki". Wyjaśniliśmy, że napis ten jest umieszczony na całym naszym wyposażeniu i że jest to nazwa statku, na którym przybyliśmy.

Nasi nowi przyjaciele dali głośny wyraz swemu zdziwieniu, kiedy usłyszeli, że wszyscy uratowaliśmy się w czasie awarii i że splaszony wrak na rafie był właśnie naszym statkiem.

Zaraz też chcieli wsadzić nas do łodzi i przewieźć przez lagunę do wsi. Podziękowaliśmy im, odmawiając, gdyż zamierzaliśmy tu zostać tak długo, dopóki nie ściągniemy Kon-Tiki z rafy.

Krajowcy patrzyli zdumieni na płaski wrak — z pewnością nie należało nawet marzyć o wodowaniu tego rozbitego kadłuba.

Ostatecznie tłumacz rzekł z patosem, że musimy iść z nimi, wódz dał im surowy rozkaz, by nie wracali bez nas.

Zdecydowaliśmy wtedy, że jeden z nas uda się do wodza jako poseł, a później wróci i zda sprawę ze stosunków na drugiej wyspie. Nie chcieliśmy zostawiać tratwy na rafie i nie mogliśmy zostawić na naszej małej wysepce całego wyposażenia. Bengt ruszył z krajowcami.

Łodzie zostały zepchnięte z piasku i wkrótce znikły na zachodzie, żeglując z pomyślnym wiatrem.

Następnego dnia horyzont zaroił się od białych żagli. Teraz chyba krajowcy przychodzą po nas z całą swoją flotą.

Konwój zrobił zwrot w naszym kierunku i kiedy łodzie podeszły bliżej, zobaczyliśmy w pierwszym rzędzie naszego dobrego przyjaciela Bengta otoczonego przez brązowe postacie i powiewającego kapeluszem. Zawołał, że jest z nim sam wódz, stanęliśmy więc z szacunkiem w ordynku na plaży, dokąd zmierzali przybysze brodząc ku brzegowi.

Bengt przedstawił nas wodzowi z całym ceremoniałem.

— Wódz nazywa się Tepiuraiarii Teriifaatau — oświadczył Bengt — lecz zrozumie, kogo mamy na myśli, jeżeli będziemy go nazywać Teka. — Nazywaliśmy go więc Teka.

Wódz był wysokim, smukłym Polinezyjczykiem o niezwykle inteligentnych oczach.

Był on ważną osobą, potomkiem starej królewskiej rodziny na Tahiti i wodzem na wyspach Raroia i Takuma. Chodził do szkół na Tahiti, mówił po francusku, umiał czytać i pisać.

Powiedział mi, że stolica Norwegii nazywa się Chrystiania, i zapytał, czy znam Binga Crosby.

Zakomunikował nam poza tym, że tylko trzy cudzoziemskie statki odwiedziły Raroia w ciągu ostatnich dziesięciu lat, lecz do wsi przybywał wiele razy w ciągu roku szkuner z Tahiti, ładujący krajową koprę i przywożący towary. Oczekiwali szkunera już od dawna, tak że mógł

on teraz nadejść lada dzień. Podsumowując raport Bengta należało wnosić, że na Raroia nie było szkoły ani radiostacji, ani też białych ludzi, ale że stu dwudziestu polinezyjskich mieszkańców wsi robi wszystko, co można, by zapewnić nam wszelkie wygody, i przygotowuje wielkie przyjęcie na nasz przyjazd do wsi.

Wódz zażądał przede wszystkim, żeby pokazać mu statek, który przeniósł nas żywych przez rafę. Poszliśmy więc w bród do Kon-Tiki, ze sznurem krajowców za nami. Gdy podeszliśmy bliżej, krajowcy nagle zatrzymali się i poczęli wszyscy naraz wołać coś z ożywieniem. Widać już było wyraźnie pnie Kon-Tiki i jeden z krajowców wybuchnął:

— To nie jest statek, to *pae-pae!*

— *Pae-pae!* — powtórzyli wszyscy razem.

Pluszcząc, pobiegli galopem przez rafę, wdrapali się na Kon-Tiki i rozsypali się wszędzie jak rozbawione dzieci dotykając pni, bambusowej plecionki i wiązań. Wódz był

równie podniecony jak inni. Wrócił do nas i powtórzył patrząc badawczo:

— Tiki nie jest wcale statkiem, to jest *pae-pae*.

*Pae-pae* to polinezyjska nazwa tratwy lub platformy, a na Wyspie Wielkanocnej oznacza ona również łodzie krajowców. Wódz opowiedział nam, że takich *pae-pae* nie ma już dzisiaj, lecz że najstarsi ludzie na wyspie opowiadają o nich legendy. Przekrzykiwali oni jeden drugiego, podziwiając wielkie pnie balsa, lecz kręcili nosem na widok naszych wiązań. Takie liny nie wytrzymają wiele miesięcy w słońcu i słonej wodzie. Pokazali oni nam z dumą wiązania ich własnych pływaków, splecione z włókna kokosowego. Mogą one wytrzymać w wodzie morskiej przez pięć lat.

Kiedy dobrnęliśmy z powrotem do naszej wysepki, ochrzczono ją Fenua Kon-Tiki, czyli Wyspa Kon-Tiki. Wymawianie tej nazwy nie sprawiało nam trudności; odwrotnie — nasi brązowi przyjaciele mieli niemało kłopotu próbując wymówić nasze krótkie, nordyckie imiona.

Ucieszyli się też, kiedy im powiedziałem, że mogą nazywać mnie Terai Mateata, gdyż wielki wódz na Tahiti nadał mi to imię, kiedy po raz pierwszy byłem w tych stronach.

Krajowcy wyciągnęli z czółen kury, jajka i owoce, inni zaś za pomocą trójzębnych oszczepów złowili w lagunie duże ryby. Urządziliśmy więc sobie wielką ucztę wokół ogniska obozowego. Musieliśmy opowiadać o wszystkich naszych przeżyciach na *pae-pae* w morzu. O

wielorybim rekinie trzeba było opowiadać parę razy. Za każdym razem, gdy dochodziliśmy do momentu, w którym Erik wsadził potworowi harpun w czaszkę, wydawali oni te same okrzyki.

Wyspiarze poznawali od razu wszystkie ryby, które szkicowaliśmy im, i szybko wymieniali nam polinezyjskie brzmienia ich nazw. Lecz nigdy nie widzieli i nie słyszeli o wielorybim rekinie ani o *gempylusie*.

Wieczorem, ku wielkiej radości wszystkich zgromadzonych, uruchomiliśmy radiostację. Najbardziej podobała im się muzyka kościelna aż do chwili, w której ku naszemu zdziwieniu złapaliśmy prawdziwą muzykę hula z Ameryki. Wtedy najżywszy z nich zaczął

tańczyć i wywijać ramionami zgiętymi nad głową i wkrótce całe towarzystwo tańczyło *hula-hula* w rytm muzyki. Kiedy nadeszła noc, rozłożyliśmy się wokół ogniska na plaży. Dla tubylców wszystko to było równie wielką przygodą, jak i dla nas. Kiedy następnego ranka obudziliśmy się, wyspiarze smażyli już świeżo złowioną rybę, a sześć otwartych orzechów kokosowych czekało, by ugasić nasze poranne pragnienie.

Tego dnia rafa grzmiała głośniejsz niż zwykle. Wiatr wzmagał się, a fale przyboju rozbijały się za wrakiem wysoko w powietrze.

— Tiki przyjdzie dzisiaj — rzekł wódz wskazując na wrak — będzie wysoka woda.

Około godziny jedenastej woda zaczęła spływać obok nas do laguny, która wypełniała się jak wielki basen, i morze podnosiło się wokół wyspy. Później z morza nadeszła prawdziwa powódź. Woda zalewała taras za tarasem i rafa, stopniowo zanurzała się. Masy wodne toczyły się wzdłuż obu brzegów wyspy. Znosiły wielkie bloki koralowca, rozmywały piaszczyste ławice, które znikwały jak mąka na wietrze, i usypywały inne. Luźne szczątki wraku przepływały obok nas i Kon-Tiki wreszcie zaczął się ruszać. Musieliśmy przenieść na środek wyspy wszystko, co było złożone na brzegu, żeby uratować rzeczy przed zmyciem przez powódź.

Wkrótce pozostały nad wodą tylko największe głazy na rafie — wszystkie plaże wokół wyspy zniknęły, woda zaś wspinała się ku porośniętej trawą płaskiej części wysepki. Był to niesamowity widok: odnosiliśmy wrażenie, że całe morze idzie na nas. Kon-Tiki obrócił się dokoła i począł dryfować, lecz zaczepił się znowu o kilka bloków koralu.

Krajowcy rzucili się do wody i płynąc lub brodząc od ławicy do ławicy przez prądy i wiry dostali się wreszcie do tratwy.

Knut i Erik ruszyli za nimi. Liny leżały gotowe na pokładzie tratwy, a gdy statek przewrócił kilka ostatnich bloków koralowych i oderwał się od rafy, krajowcy wskoczyli na pokład i starali się zatrzymać uciekiniera. Nie znali oni Kon-Tiki i jego niepohamowanego pędu na zachód, i zupełnie bezradnie płynęli na tratwie. Wkrótce Kon-Tiki przewędrował

szybko przez całą rafę do laguny. Tratwa była trochę zdezorientowana po wyjściu na spokojną wodę, wyglądało to, jakby się zastanawiała nad dalszymi możliwościami. Zanim zaczęła się znowu poruszać i odkryła wyjście przez lagunę, krajowcom udało się nareszcie zamocować linę do palmy na lądzie. Teraz już Kon-Tiki tkwił przywiązany mocno na lagunie. Statek, który przeszedł przez ląd i wodę, przebił się teraz przez barykadę rafy do wewnętrznej laguny Raroia.

Wznosząc podniecające okrzyki bojowe z powtarzającym się płomiennym refrenem: *Ke-ke-te-huru-huru* przyciągnęliśmy wspólnymi siłami Kon-Tiki do brzegu wyspy noszącej tę samą nazwę. Przyływ sięgał cztery stopy ponad normalny poziom wysokiej wody. Wydawało się nam, że cała wyspa zniknie.

Sieczone wiatrem fale buszowały po całej lagunie. Niewiele z naszego ekwipunku mogliśmy zabrać ze sobą do wąskich, mokrych czółen. Wyspiarze musieli na łeb na szyję spieszyć do wsi, a Bengt i Herman udali się z nimi, żeby zająć się małym chłopcem, który leżał

umierający. Miał on ropień na głowie, a my mieliśmy penicylinę.

Następnego dnia było nas tylko czterech na wyspie Kon-Tiki. Wschodni wiatr wiał

teraz tak gwałtownie, że krajowcy nie mogli przebyć laguny usianej koralowymi blokami i mieliznami. Wysoka woda podnosiła się i opadała jak fale powodzi.

Nazajutrz było znowu spokojnie. Mogliśmy teraz nurkować pod tratwę dla upewnienia się, czy

wszystkie jej pnie są całe, gdyż rafa zheblowała spód tratwy na cal czy dwa. Wiązania leżały tak głęboko w rowkach, że tylko cztery spośród wielu lin zostały przecięte przez koral.

Zaczęliśmy robić porządek na pokładzie. Kiedy ustawiliśmy na powrót szalasy i naprawione maszty, nasz dumny statek wyglądał pięknie.

W ciągu dnia żagle zjawily się znowu na horyzoncie. Przybywali krajowcy, żeby zabrać nas i resztę ładunku. Herman i Bengt

byli z nimi i oznajmili nam, że wyspiarze przygotowują we wsi wielką uroczystość.

Kiedy znajdziemy się na drugiej wyspie, nie powinniśmy opuszczać czóten, dopóki sam wódz nie da nam znaku.

Pędziliśmy przez lagunę, która w tym miejscu miała 10 kilometrów szerokości, gnani silną bryzą. Z prawdziwym żalem patrzyliśmy na powiewające ku nam palmy z wyspy Kon-Tiki. Stopniowo malały i zbiegały się w jedną grupę, a później w małą, trudną do odróżnienia wysepkę podobną do innych, leżących wzdłuż wschodniej rafy. Wyspy przed nami rosły natomiast coraz bardziej, a na jednej z nich zauważyliśmy falochron i dym unoszący się z chatki pomiędzy palmami.

Wieś wyglądała jak wymarła; nie było widać żywej duszy. Co się tu działo? W dole na plaży, za falochronem z koralowych bloków, stały dwie samotne postacie. Jedna wysoka i smukła, a druga duża i gruba jak beczka. Kiedy podeszliśmy bliżej, poznaliśmy obie. Był to wódz Teka i jego zastępca Tupuhoe. Wszyscy byliśmy pod urokiem szerokiego uśmiechu Tupuhoe. Teka miał jasny umysł i był dyplomatą, a Tupuhoe był prawdziwym dzieckiem natury i złotym chłopem pełnym humoru i pierwotnej siły, jaką spotyka się rzadko. Ze swoim potężnym ciałem i królewskim obliczem wyglądał jak uosobienie rasowego polinezyjskiego wodza. Właściwie wodzem wyspy był Tupuhoe, lecz Teka stopniowo uzyskał nad nim przewagę, gdyż umiał mówić po francusku, liczyć i pisać, skutkiem czego wieś nie była oszukiwana przez szkuner przychodzący z Tahiti po kopwę.

Teka wyjaśnił, że mamy maszerować razem do domu zebrania we wsi, i kiedy wszyscy chłopcy wyszli na ląd, udaliśmy się tam uroczystą procesją. Pierwszy szedł Herman z flagą powiewającą na drzewcu harpuna, a następnie ja — między dwoma wodzami.

Wioska nosiła widoczne znaki handlu kopwą z Tahiti; szkuner zaopatrywał ją zarówno w deski, jak i w falistą blachę. Niektóre chatki były zbudowane w malowniczym, miejscowym stylu z krzywych konarów i palmowych plecionek, inne znów zbite z desek, jak małe, tropikalne bungalowy. Wielki, nowy budynek zbudowany z desek, stojący samotnie wśród palm, był domem zebrania we wsi. W nim mieliśmy zamieszkać. Wmaszerowaliśmy z flagą przez tylne drzwi na szeroki taras przed frontem domu. Przed nami na placu stali wszyscy, którzy mogli chodzić i raczkować: kobiety i dzieci z całej wsi, starzy i młodzi. Zebrani zachowywali grobową powagę i nawet nasi weseli przyjaciele z wyspy Kon-Tiki stali teraz sztywno wraz z innymi, udając, że nas nie poznają.

Kiedy weszliśmy na schody, wszyscy zgromadzeni jednocześnie otworzyli usta i zaśpiewali chórem... "Marsylianę". Wódz znający słowa hymnu prowadził chór; wypadło to dość dobrze, mimo że głosy kilku starych kobiet nie nadążały z taktem i wpadały w falset. Znać było, że ćwiczyli długo. Flagi,

francuska i norweska, zostały podniesione przed domem zebrań i na tym zakończyło się oficjalne przyjęcie przez wodza Teka, po czym wycofał się on spokojnie na dalszy plan. Teraz wyskoczył naprzód tęgi Tupuhoe, przejmując obowiązek mistrza ceremonii. Tupuhoe dał szybko znak, na który całe zgromadzenie zaintonowało nową pieśń. Tym razem szło im lepiej, gdyż melodia i słowa były ułożone przez nich samych, w ich rodzinnym języku, a co jak co, ale swoje własne *hula* potrafili śpiewać. Melodia była tak piękna w całej swojej wzruszającej prostocie, że czuliśmy, jak dreszcze przebiegają nam po plecach.

Południowe Morze szumiało tocząc fale w pobliżu. Kilku wyspiarzy intonowało śpiewy, a chór wtórował im. Melodia miała szereg wariacji, chociaż słowa były stale te same:

“Witajcie, Terai Mateata i Twoi ludzie, którzy przyszliście przez morze na *pae-pae* do nas na Raroia, zaprawdę, witajcie; obyście zostali długo między nami i podzielili z nami wspomnienia, tak żebyśmy zawsze mogli być razem, nawet kiedy odjedziecie w dalekie kraje.

Witajcie!"

Poprosiliśmy ich o odśpiewanie jeszcze raz tej pieśni i wszyscy, w miarę jak czuli się coraz swobodniej, ogromnie się ożywili.

Tupuhoe poprosił, żebym opowiedział jego ludziom w kilku słowach, po co przybyliśmy przez morze w *pae-pae*, bo wszyscy są tego ciekawi. Mówiłem po francusku, a Teka miał tłumaczyć moje przemówienie.

Na moje słowa czekało niewykształcone, lecz wysoce inteligentne zgromadzenie brązowych ludzi. Powiedziałem im, że byłem już przedtem między ich ziomkami na wyspach mórz południowych i usłyszałem wówczas o ich pierwszym wodzu Tiki, który przywiódł ich przodków z tajemniczego kraju leżącego nie wiadomo gdzie. W odległym państwie, zwanym Peru — mówiłem dalej — panował kiedyś potężny wódz imieniem Tiki. Lud nazywał go Kon-Tiki, czyli Słońce-Tiki, ponieważ sam mówił, że był potomkiem słońca. Tiki opuścił

swoją ojczyznę w wielkim *pae-pae*, dlatego nas sześcioro sądziło, że był to ten sam Tiki, który przybył do wysp Oceanii. Ponieważ nikt nie chciał wierzyć, żeby *pae-pae* mogło przebyć morze, my sami ruszyliśmy w drogę z Peru na *pae-pae* i znaleźliśmy się tutaj. Jest to dowodem, że tratwa może przebyć taką drogę.

Gdy moja mała mówka została przełożona przez Teka, rozplómienny Tupuhoe wyskoczył, jak w ekstazie, przed front zgromadzonych. Trajkotał on po polinezyjsku, machał

rękoma, wskazywał na niebo i na nas, a w potoku jego wymowy stale powtarzało się słowo

“Tiki”. Mówił tak szybko, że nie mogłem z tego nic zrozumieć, lecz krajowcy formalnie połykali jego słowa i byli widocznie poruszeni. Teka natomiast, próbując tłumaczyć, był

wyraźnie zmieszany.

Tupuhoe powiedział, że jego ojciec i dziad, i ojcowie przed nim opowiadali o Tiki i o tym, że Tiki



był ich pierwszym wodzem, który teraz jest w niebie. Lecz wtedy przybyli biali i zaczęli nauczać, że tradycje ich przodków są kłamstwem; Tiki nie istniał nigdy. Nie był on wcale w niebie, gdyż tam przebywał Jehowa. Tiki był pogańskim bogiem i nie trzeba już więcej

\w niego wierzyć. Lecz teraz nas sześciu przybyło z za morza w *pae-pae*. Jesteśmy pierwszymi białymi, którzy przyznali, że ich ojcowie mówili prawdę. Tiki żył, istniał naprawdę, lecz umarł i jest teraz w niebie.

Przerażony myślą, że zniweczyłem pracę misjonarzy, zacząłem wyjaśniać, że Tiki wprawdzie istniał, wiadomo też, że teraz już nie żyje, lecz czy jest on w niebie, czy w piekle, o tym wie tylko Jehowa, który jest w niebie. Tiki był zwykłym, śmiertelnym człowiekiem, lecz był zarazem wielkim wodzem, jak Teka i Tupuhoe. Może nawet jeszcze większym.

Wywołało to zadowolenie brązowych ludzi. Kiwali głowami i pomrukiwali, co wskazywało jasno, że wyjaśnienie padło na dobrą glebę. Tiki istniał — to było najważniejsze; jeżeli znajdował się on teraz w piekle, nikt z tego powodu nie cierpiał oprócz niego samego.

Zwiększało to tylko szansę ujrzenia go jeszcze w przyszłości, jak zauważył Tupuhoe.

Trzej starzy ludzie przepchnęli się naprzód do nas chcąc uścisnąć nam ręce. Nie było wątpliwości, że to oni właśnie kultywowali wśród ludności pamięć o Tiki, zwłaszcza że wódz powiedział, iż jeden z nich zna olbrzymią ilość legend i ballad historycznych z czasów przodków. Zapytałem starca, czy istnieje w tradycji jakieś nawiązanie do kierunku, z którego przybył Tiki. Nie, nikt ze starych ludzi nie słyszał nic na ten temat. Lecz po długim i głębokim namyśle najstarszy z nich powiedział, iż Tiki miał krewnego o imieniu Maui, a w balladzie o Maui mówi się, że przybył on na wyspy z kraju Pura. Słowo Pura oznacza tę stronę nieba, gdzie wschodzi słońce. Jeżeli Maui przyszedł z Pura — rzekł starzec — to niewątpliwie Tiki przyszedł z tego samego kraju; nas sześciu też przecież przybyło na *pae-pae* z Pura, to było pewne.

Powiedziałem brązowemu człowiekowi, że na samotnej wyspie niedaleko Wyspy Wielkanocnej, zwanej Mangarewa, ludność nie znała łodzi, lecz w dalszym ciągu posługiwała się na morzu wielkimi *pae-pae* aż do naszych czasów. Wprawdzie starcy nie wiedzieli o tym, ale pamiętali, że ich przodkowie również żeglowali na olbrzymich *pae-pae*, które stopniowo wyszły z użycia, a teraz nie pozostało z nich nic oprócz nazwy i tradycji. W bardzo dawnych czasach nazywano je *rongo-rongo* — powiedział najstarszy z krajowców — lecz słowo to wyszło już z użycia. Jednakże większość starożytnych legend wspomina o *rongo-rongo*.

Była to interesująca nazwa, gdyż słowo *rongo*, które wymawia się na niektórych wyspach *lono*, było kiedyś imieniem jednego z najbardziej znanych i opiewanych w pieśniach protoplastów Polinezyjczyków. Opisywano go wyraźnie jako białego i jasnowłosego człowieka. Kiedy kapitan Cook po raz pierwszy przybył na Hawaje, wyspiarze przyjęli go z otwartymi ramionami myśląc, że jest on białym rodakiem Rongo, który po nieobecności trwającej przez kilka pokoleń wraca z kraju przodków na wielkim żaglowym okręcie. Na Wyspie Wielkanocnej słowo *rongo-rongo* oznaczało zaś tajemnicze hieroglify, których sekret zginął wraz z ostatnimi "długimi uszami" znającymi pismo.

Staruszkowie chcieli z nami dyskutować o Tiki i *rongo-rongo*, a młodzi woleli posłuchać o wielorybim rekinie i podróży przez morze. Lecz jedzenie czekało, a Teka miał już dość tłumaczenia.

Teraz pozwolono całej wsi przyjść i uścisnąć nam ręce. Mruczeli *ia-ora-na* nieomal wrywając nam ręce ze stawów; dziewczęta podchodziły do nas krygując się i witały nas z mieszaniną kokieterii i zażenowania, a stare baby plotkowały i gadały bez przerwy, wskazując na nasze brody i kolor skóry. Każda twarz jaśniała przyjaźnią, tak że pomieszanie języków nie przeszkadzało nam wcale. Jeżeli powiedziano nam po polinezyjsku coś niezrozumiałego, oddawaliśmy im wet za wet, odpowiadając po norwesku, i bawiliśmy się w ten sposób wszyscy świetnie. Pierwszym słowem, którego nauczyliśmy się, było "lubię", a ponieważ można było zarazem wskazać na to, co się lubiło — licząc, że się to zaraz otrzyma — wszystko było bardzo proste. Kiedy marszczyło się nos z grymasem, mówiąc jednocześnie "lubię", oznaczało to "nie lubię". W ten sposób można się było bardzo dobrze dogadać.

Gdy tylko przywitaliśmy stu dwudziestu siedmiu mieszkańców wsi, nakryto długi stół

dla dwóch wodzów i dla nas, a dziewczęta poczęły przynosić najwspanialsze dania. Podczas kiedy jedne nakrywały stół, inne zawieszały nam na szyi wieńce splecione z kwiatów; mniejszymi wiankami uwieczono nam głowy. Chłodne kwiaty roztaczały czarujący zapach.

W ten sposób rozpoczęła się powitalna uczta, która trwała aż do naszego wyjazdu. Oczy wyszły nam z orbit, kiedy zobaczyliśmy, że stoły uginają się pod ciężarem pieczonych prosiąt, kurcząt i kaczek, świeżych krabów, polinezyjskich dań rybnych, owoców drzewa chlebowego i mleka kokosowego. Rzuciliśmy się na te dania, gospodarze zaś uprzyjemniali nam ucztę śpiewaniem pieśni *hula*, podczas gdy młode dziewczęta tańczyły wokół stołu.

Chłopcy śmieli się i rozkoszowali życiem. Siedzieliśmy tak z powiewającymi brodami i wieńcami z kwiatów we włosach, zajadając jak głodomory, a jeden wyglądał śmieszniej od drugiego.\* Dwaj wodzowie używali życia równie niepohamowanie jak my.

Po jedzeniu urządzono na wielką skalę tańce *hula*. Wieś chciała nam pokazać miejscowe tańce ludowe. Kiedy razem z Teka i Tupuhoe zajęliśmy miejsca w łóżach, wystąpili dwaj gitarzyści, usiedli w kucki i zaczęli grać oryginalne melodie mórz południowych.

Następnie wyszły dwa szeregi tańczących mężczyzn i kobiet z chrzęszczącymi spódniczkami z włókien palmowych wokół bioder, sunąc i przewijając się przez kręgi widzów, którzy siedzieli w kucki i śpiewali. Chór prowadził żywy i ognisty śpiewak, pęczniejący od tłuszczu, z ramieniem odgryzionym przez rekina. Na początku tancerze zachowywali się nieco teatralnie i nerwowo, lecz kiedy spostrzegli, że biali ludzie z *pae-pae* nie kręcą nosem na ludowe obyczaje ich dziadów, taniec stawał się coraz bardziej pełny życia. Przyłączyli się także niektórzy ze starszych ludzi; mieli zadziwiające poczucie rytmu i znali zapomniane już dziś tańce. W miarę jak słońce zanurzało się w Pacyfiku, tańce pod palmami stawały się coraz żwawsze, a aplauz widzów coraz bardziej spontaniczny. Zapomnieli o tym, że patrzy na nich sześciu cudzoziemców; należeliśmy już do nich i bawiliśmy się wraz z nimi.

Repertuar nie miał końca; jedno fascynujące przedstawienie następowało po drugim. Po jakimś

czasie gromada młodych chłopców usiadła ciasnym pierścieniem przed naszymi nogami i na sygnał dany przez Tupuhoe poczęła rytmicznie wybijać takt dłońmi o ziemię.

Najpierw powolny, później coraz szybszy rytm stawał się skomplikowany, zwłaszcza gdy przyłączył się do chłopców dobosz, bijąc dwiema palcami w suchy, wydrażony kłoc drzewny, który wydawał ostry, intensywny dźwięk. Kiedy rytm osiągnął pożądaną szybkość i nabrał ognia, zaczął się śpiew i nagle wskoczyła do koła tancerka z wieńcem wokół szyi i kwiatem za uchem. Stąpała w rytm muzyki bosymi stopami, uginając nogi w kolanach, kołysząc się rytmicznie w biodrach i powiewając zgiętymi rękoma nad głową. Tańczyła wspaniale. Wkrótce wszyscy zebrani zaczęli wybijać takt rękoma o ziemię. Do koła wbiegła druga dziewczyna, a później jeszcze jedna. Poruszały się one z nieprawdopodobną gracją, w doskonałym rytmie sunąc jedna wokół drugiej w tańcu, jak pełne wdzięku cienie. Głuche uderzenia rąk o ziemię, śpiew i dźwięki bębna zwiększały tymczasem tempo. Taniec stawał się coraz dzikszy —

widzowie pokrzykiwali i klaskali w dłonie.

To było życie mórz południowych, takie, jakie kwitło w dawnych czasach. Gwiazdy mrugały, palmy chwiały się, noc była długa, łagodna, pełna zapachu kwiatów i śpiewu cykad.

Tupuhoe uśmiechnął się słonecznie i uderzył mnie po plecach.

— *Maitai?* — zapytał.

— *Eh, maitai!* — odpowiedziałem.

— *Maitai?* — zapytał innych.

— *Maitai* — odpowiedzieli mu wszyscy entuzjastycznie i z przekonaniem.

— *Maitai* — potwierdził Tupuhoe wskazując na siebie samego; on także rozkoszował się tym wszystkim.

Teka również był zdania, że zabawa udała się. Po raz pierwszy biali ludzie brali udział w ich tańcach na Raroia, powiedział.

Coraz szybciej waliły pałeczki bębnow i ręce wybijające takt o ziemię, coraz większego tempa nabierał taniec i śpiew. Teraz jedna z tańczących dziewcząt zaczęła krążyć wzdłuż koła widzów, po czym zatrzymała się tańcząc w oszalamiającym rytmie i falując ramionami wyciągniętymi w stronę Hermana, który uśmiechał się tylko spoza swej brody, nie bardzo wiedząc, co robić.

— Nie psuj zabawy — szepnąłem rnu — tańczysz przecież dobrze.

Ku niezmiernej radości . gromady Herman skoczył w koło i ugiawszy nogi w kolanach pokonywał wszystkie zawiłe figury *hula*. Wybuchł szalony entuzjazm. Wkrótce Bengt i Torstein przyłączyli się do tańców i uwijali się tak, że aż pot spływał im z czoła. Starali się utrzymać w tempie, które

wzrastało z szaloną szybkością. Wreszcie pozostał już sam drgający dźwięk bębnów wydających jeden nieprzerwany grzmot. Trzy tancerki *hula*, drżały w rytm jak liście osiki, aż bicie bębnów urwało się nagle i dziewczęta upadły na ziemię.

Staliśmy się bohaterami wieczoru. Wybuchom radości nie było końca.

Następnym numerem programu był taniec ptaków należący do najstarszych ceremonii na Raroia. Mężczyźni i kobiety skakali w dwóch szeregach sunąc w rytmicznym tańcu naśladowującym stado ptaków prowadzonych przez przodownika. Wodzirej nosił tytuł wodza ptaków i wykonywał dziwaczne ruchy, nie biorąc udziału w samym tańcu. Kiedy taniec zakończył się, Tupuhoe wyjaśnił, że wykonano go na cześć tratwy i że teraz powtórzy się go pod moim przewodnictwem. Główne zajęcie przodownika w tym tańcu polegało — jak mi się wydawało — na wydawaniu dzikich okrzyków, skakaniu wokół w kucki, kołysaniu się w biodrach i machaniu rękoma nad głową. Nasunąłem więc mocno na głowę wieniec kwiatów i wszedłem na arenę. Wyginając się w tańcu widziałem, że stary Tupuhoe zaśmiewał się tak, iż o mało nie spadł ze stołka, a muzyka przycichała stopniowo, ponieważ muzykanci i chór poszli za jego przykładem.

Teraz już wszyscy chcieli tańczyć, zarówno starzy, jak i młodzież, i wkrótce dobosz oraz wybijający takt muzykanci znowu prowadzili ognisty taniec *hula-hula*. Najpierw wskoczyły w koło tancerki i zaczęły nadawać coraz szybsze i dziksze tempo, później zapraszano po kolei do tańca nas, a coraz więcej ludzi szło za naszym przykładem, tupiąc i przewijając się w koło — z każdą chwilą szybciej i szybciej.

Tylko Erika nie można było ruszyć z miejsca. Wiatr i wilgoć na pokładzie tratwy odnowiły jego stare lumbago. Siedział więc jak stary szyper, sztywny i brodaty, kurząc swoją fajkę. Tancerki *hula* próbowały zwabić go na arenę, lecz na próżno. Miał na sobie szerokie futrzane spodnie, które nocami nosił na tratwie w najzimniejszych regionach Prądu Humboldta, i siedząc tak pod palmami ze swoją długą brodą, nagi do pasa i w spodniach z baraniego kozucha, był wierną kopią Robinsona Crusoe. Jedna piękna dziewczyna za drugą starała mu się przypodobać, lecz daremnie. Pykając fajkę siedział poważnie z wieńcem kwiatów we włosach.

Wówczas weszła na arenę dobrze rozwinięta matrona o potężnych mięśniach.

Wykonała ona kilka mniej lub więcej wdzięcznych pas i podeszła zdecydowanie do Erika.

Wyglądał na strwożonego, lecz tancerka z uśmiechem słodkim jak miód złapała go rezolutnie za ramię i ściągnęła ze stołka. Komiczne spodnie Erika miały futro po wewnętrznej stronie, a skórę po zewnętrznej; z tyłu była dziura, przez którą kłak białej wełny wystawał jak zajęczy ogon. Erik szedł za tancerką opornie i wskoczył w koło z fajką w rękę. Drugą ręką trzymał się za miejsce, gdzie mu dokuczało lumbago. Kiedy próbował skakać dokoła, musiał puścić spodnie, żeby poprawić na głowie wieniec grożący upadkiem, a z wieńcem przekrzywionym na jeden bok musiał znów podtrzymywać opadające spodnie. Tęga dama kręcąca się przed nim w tańcu *hula* była równie zabawna, jak on, więc ze śmiechu łzy ściekały nam po brodach. Zaraz też wszyscy inni w kole zatrzymali się i salwy śmiechu potoczyły się przez palmowe gaje, podczas gdy *hula-Erik* i kobiecy *champion* ciężkiej wagi zataczali wdzięczne koła. W końcu musieli i oni przerwać taniec, gdyż zarówno śpiewacy, jak i muzykanci ledwo mogli pozbierać się ze śmiechu.

Zabawa trwała do białego ranka. Wreszcie pozwolono nam na małą przerwę i stu dwudziestu siedmiu mieszkańców wsi uścisnęło nam ręce. \*

Witaliśmy się z każdym z osobna każdego ranka i wieczoru przez cały czas pobytu na wyspie. Zebrano sześć łóżek ze wszystkich chat we wsi i postawiono je obok siebie przy ścianie w domu zebrania. Spaliśmy w nich jak siedmiu krasnoludków w bajce, ze słodko pachnącymi wieńcami kwiatów wiszącymi nad naszymi głowami.

Następnego dnia pogorszył się stan zdrowia sześciolatniego chłopca, który miał wrzód na głowie. Temperatura wzrosła do 42°, a wrzód na czubku głowy, wielki jak męska pięść, nabrzmiwał coraz bardziej.

Teka powiedział, że w ten sposób zginęło wiele dzieci i jeżeli nikt z nas nie umie leczyć, to dni chłopca są policzone. Mieliśmy parę flakonów penicyliny w tabletkach, lecz nie wiedzieliśmy, jaką dawkę należy stosować dla małego dziecka. Gdyby dziecko zmarło w czasie kuracji, mogłoby to mieć dla nas poważne następstwa.

Knut i Torstein wzięli się znowu za swój aparat radiowy i rozciągnęli antenę między najwyższymi palmami kokosowymi. Gdy nadszedł wieczór, udało im się połączyć z naszymi niewidzialnymi przyjaciółmi, Halem i Frankiem, siedzącymi w swoich pokojach w Los Angeles. Frank połączył się telefonicznie z lekarzem. Nadaliśmy kluczem Morsego wszystkie objawy choroby chłopca i listę leków, które mieliśmy w naszej apteczce. Frank przekazał nam odpowiedź doktora i tej nocy poszliśmy do chatki, gdzie mały Haumata rzucał się w gorączce, podczas gdy pół wsi płakało i martwiło się o niego.

Herman i Knut mieli przeprowadzić zabieg, a inni zajmowali się niedopuszczaniem do chatki mieszkańców wsi. Matka chłopca zaczęła histeryzować, kiedy przyszliśmy z ostrym nożem, żądając gorącej wody. Ogoliliśmy wszystkie włosy na głowie chłopca i otworzyliśmy wrzód. Ropa trysnęła niemal do sufitu. Wielu krajowców wdarło się siłą do chatki; musieliśmy ich wyrzucić za drzwi. To nie były żarty. Kiedy wrzód został oczyszczony i odkażony, obandażowaliśmy całą głowę i rozpoczęliśmy kurację penicylinową. Przez dwie doby chłopiec dostawał penicylinę co cztery godziny; temperatura była nadal wysoka, a wrzód pozostawał

otwarty. Każdego wieczora konsultowaliśmy się z lekarzem w Los Angeles. Później temperatura gwałtownie opadła i zamiast ropy zjawilo się osocze, które leczyło ranę. Chłopiec zaczął się uśmiechać i zapragnął obejrzeć obrazki z dziwnego świata białych ludzi, gdzie były samochody, krowy i wielopiętrowe domy.

W tydzień później Haumata bawił się na plaży razem z innymi dziećmi, z głową owiniętą bandażami, które wkrótce pozwoliliśmy mu zdjąć.

Kiedy kuracja udała się, nie było końca chorobom we wsi. Bóle zębów i zaburzenia żołądka pojawiały się wszędzie, a starzy i młodzi mieli wrzody w różnych miejscach.

Przekazywaliśmy pacjentów doktorowi Knutowi lub doktorowi Hermanowi, którzy przepisywali dietę i ogalać naszą apteczkę z pigułek i maści. Niektórych pacjentów wyleczono, żadnemu nie

pogorszyło się, a kiedy apteczka była pusta, gotowaliśmy kakao i owsiankę cieszące się wielką popularnością wśród histerycznych bab.

Po paru dniach nasi brązowi wielbiciele urządzili nowe, wspaniałe uroczystości.

Mieliśmy otrzymać obywatelstwo Raroia i po-linezyjskie imiona. Postanowiono, że nie będę już dłużej nazywać się Terai Mateata — to było dobre na Tahiti, lecz nie tu, pośród nich.

Postawiono dla nas pośrodku placu sześć stołów i ludzie stawili się wcześniej, żeby zająć dobre miejsca w kole. Teką siedział poważnie pomiędzy nimi; był wprawdzie wodzem, ale nie wtedy, kiedy chodziło o stare, miejscowe rytuały. Wtedy kierownictwo obejmował

Tupuhoe.

Wszyscy czekali cicho i poważnie, gdy tłusty Tupuhoe zbliżał się zwolna i uroczyście ze swoją wielką, sękatą pałką. Widać było, że jest świadomy powagi chwili. Kiedy nadchodził

pogrążony w rozmyślaniach i zajął miejsce przed naszą szóstką, oczy wszystkich były zwrócone na niego. Tupuhoe był urodzonym wodzem, wspaniałym mówcą i aktorem.

Zwrócił się do głównych śpiewaków, doboszy i tancerzy, wskazał na nich po kolei pałką i niskim głosem wydał krótkie rozkazy. Wtedy obrócił się znowu do nas, otwierając nagle szeroko swoje wielkie oczy, aż białka zalśniły w jego wyrazistej, miedziano-brązowej twarzy.

Uniósł laskę i słowa posypały się z jego ust, jak groch z worka. Recytował stare, rytualne formułki w dawnym, zapomnianym dialekcie zrozumiałym tylko dla najstarszych mieszkańców wsi.

Następnie oznajmił nam — przez Tekę jako tłumacza — że pierwszy król, który panował na tej wyspie, nazywał się Tikaroa, Panował on nad całym atolem, od południa do północy, od wschodu do zachodu, i aż do nieba ponad głowami ludzi.

Kiedy cały chór wtórował starej balladzie o królu Tikaroa, Tupuhoe położył swoją wielką rękę na mojej piersi i zwracając się do zebranych rzekł, że nadaje mi imię Varoa Tikaroa, czyli Duch Tikaroa.

Gdy śpiew zamarł, nastąpiła kolej na Hermana i Bengta. Teraz im położył po kolei brązową rękę na piersi i nadał imiona; pierwszemu Tupuhoe — Itetahua, a drugiemu Topakinó.

Były to imiona dwóch starodawnych herosów, którzy stanęli do walki z potworem morskim i zabili go przy wejściu do rafy Raroia.

Bębny wydały gwałtowny warkot, a dwaj krzepcy mężczyźni odziani w przepaski na biodrach, wyskoczyli z długimi oszczepami w rękę. Rozpoczęli oni szybki marsz w miejscu unosząc kolana do piersi z oszczepami skierowanymi naprzód, obracając głowy to w jedną stronę, to w drugą. Na nowy warkot bębnów podskoczyli w górę i w doskonałym rytmie rozpoczęli walkę w najczystszej, baletowym stylu. Przedstawienie było krótkie i szybkie, wyobrażało walkę bohaterów z potworem morskim. Potem z pieśniami i ceremoniami ochrzczono Torsteina; nazwano go Maroake, na cześć

zmarłego króla wsi, a Erik i Knut otrzymali imiona Tane-Matarau i Tefaunui, po dwóch zmarłych żeglarzach i bohaterach morza.

Długie, monotonne recytacje, towarzyszące nadawaniu tych imion, były wypowiedane z karkołomną szybkością, imponującą i zabawną jednocześnie.

Ceremonia skończyła się. Wśród ludu polinezyjskiego na Raroia znowu byli biali wodzowie. Pojawili się liczni tancerze i tancerki w koszulach uplecionych z trawy, z powiewającymi koronami na głowie. Tańcząc przenieśli oni korony ze swoich głów na nasze.

Okręciliśmy szeleszczące spódnice z trawy dokoła bioder i uroczystość trwała dalej.

Pewnej nocy nasi ukwieceni radiotelegrafiści nawiązali kontakt z krótkofalowcem w Rarotonga, który przekazał nam depeszę z Tahiti. Było to serdeczne powitanie przesłane przez gubernatora francuskich kolonii na Oceanie Spokojnym.

Po otrzymaniu instrukcji z Paryża wysłał on rządowy szkuner "Tamara", żeby nas zabrać na Tahiti, tak że nie musieliśmy czekać na niepewną wizytę szkunera zabierającego koprę. Tahiti była węzłowym punktem francuskich kolonii i jedyną wyspą, która w ogóle miała kontakt ze światem. Musieliśmy udać się na Tahiti, żeby dostać się liniowym statkiem do domu, do naszego starego świata.

Uroczystości na Raroia trwały w dalszym ciągu. Pewnej nocy usłyszano z morza jakieś dziwne odgłosy, a obserwatorzy zeszli ze szczytów palm i zameldowali, że przy wejściu do laguny znajduje się statek. Pobiegliśmy przez lasek palmowy w stronę plaży na podwietrznej stronie wyspy. Spojrzeliśmy stąd na morze. Na tej stronie, leżącej pod osłoną całego atolu i rafy, przybój był o wiele mniejszy.

Tuż przy wejściu do laguny ujrzeliśmy światła statku. Było jasno. Świeciły gwiazdy i widać było zarysy szeroko zbudowanego szkunera o dwu masztach. Czyżby to był statek gubernatora przychodzący po nas? Czemu nie wchodził do laguny?

Krajowcy denerwowali się coraz bardziej. Teraz i my widzieliśmy już, że statek ma silny przechył i grozi mu przewrócenie się. Tkwił on na mieliźnie, na niewidzialnej, podwodnej koralowej rafie. Torstein złapał latarkę i nadał sygnał:

— *Quel bateau?* — Jaki statek?

— "Maoae" — odpowiedziano mu błyskami.

"Maoae" żeglował między wyspami i przewoził koprę. Był w drodze do Raroia. Na statku znajdował się polinezyjski kapitan i załoga, która na pamięć znała wejście do zatoki. Ale w ciemności działał zdradziecko prąd. Na szczęście szkuner utkwiał na podwietrznej stronie wysepki, a pogoda była spokojna; niebezpieczeństwo groziło tylko ze strony prądu płynącego z laguny. Przechył "Maoae" stawał się *coraz* większy i załoga spuściła łódź ratunkową. Do szczytów masztów przytwierdzono mocne liny i powiosłowano na ląd, gdzie krajowcy zamocowali liny do palm kokosowych, żeby

powstrzymać szkuner od przewrócenia się. Załoga czekała z innymi linami w szalupie przy wejściu do laguny w nadziei wyciągnięcia "Maoae" na holu za szalupą, z prądem przyływu wychodzącego z laguny. Mieszkańcy wsi spuścili na wodę wszystkie swoje czółna i wyszli w morze dla ratowania ładunku kopry. Statek miał na pokładzie 90 ton tego cennego towaru. Worek za workiem przenoszono z przewracającego się szkunera i przewożono na suchy ląd.

W czasie przyływu "Maoae" jeszcze siedział na mieliźnie waląc i grzmocąc o korale, dopóki nie zaczął przeciekać. Kiedy nastał dzień, zagłowiec leżał na rafie w jeszcze gorszej sytuacji. Załoga nie mogła nic zrobić. Ściągnięcie z rafy ciężkiego stu-pięćdziesięcotonowego statku za pomocą własnej szalupy /i czółen nie miało żadnych widoków powodzenia. Jeżeli statek w dalszym ciągu będzie leżał na rafie, to waląc o nią roztrzaska się wkrótce na kawałki.

Jeśli zaś pogoda zmieni się, statek zostanie uniesiony przez odbite fale i ulegnie całkowitej awarii, rozbijając się w kipieli o atol.

"Maoae" nie miał radiostacji, ale mieliśmy ją my. Jednakże nadejście z Tahiti ratowniczego statku w tak krótkim czasie, by szkuner nie zdążył się rozbić, było niemożliwe.

Lecz rafa Raroia po raz drugi tego miesiąca utraciła swoją zdobycz. Około południa tego samego dnia ujrzeliśmy szkuner "Tamara" nadchodzący, z zachodu. Wysłano go dla zabrania nas z Raroia i załoga statku była zdumiona, kiedy zobaczyła na rafie zamiast tratwy dwumasztowy szkuner leżący i kołyszący się bezradnie.

Na pokładzie "Tamary" przybył francuski administrator wysp Tuamotu i Tubuai, *monsieur* Frederic Ahnne, wysłany przez gubernatora Tahiti na nasze spotkanie. Znajdował się tam również francuski operator filmowy i francuski telegrafista. Kapitan i załoga byli Polinezyjczykami. *Monsieur* Ahnne, Francuz urodzony na Tahiti, był doskonałym żeglarzem.

Za zgodą poline-zyjskiego kapitana, który rad był pozbyć się odpowiedzialności na tych niebezpiecznych wodach, objął on dowództwo statku. Omijając miliardy podwodnych raf i wirów połączono oba szku-ner-y silnymi holami i *monsieur zaccai* wykonywać zręczne i niebezpieczne manewry, prąd opływowy groził zniesieniem obu statków na tę samą koralową ławicę.

Podczas dużego przyływu "Maoae" uniósł się z rafy, a "Tamara" wyholowała go na głęboką wodę. Lecz teraz woda lała się do kadłuba "Maoae" i należało go szybko przeholować na mieliznę w lagunie, żeby nie dać statkowi zatonać. Przez trzy dni "Maoae" leżał koło wsi grożąc zatonięciem; wszystkie pompy pracowały dzień i noc. Najlepsi poławiacze pereł

spośród naszych przyjaciół nurkowali z ołowianymi płytami i gwoździami i uszczelniali najgorsze przecieki, tak aby "Tamara" mogła odprowadzić "Maoae" — z pracującymi pompami — do stoczni na Tahiti.

Kiedy "Maoae" był już przygotowany do odholowania, *monsieur* Ahnne wprowadził

"Tamarę" między koralowe ławice na lagunie i podszedł do Wyspy Kon-Tiki. Szkuner wziął



naszą tratwę na hol i położył się na kurs prowadzący do wyjścia z atolu, ciągnąc "Maoae" tuż za sobą, żeby można było uratować załogę, gdyby nie dało się na morzu opanować przeciekania.

Nasze pożegnanie Raroia było bardziej niż smutne. Wszyscy, którzy umieli chodzić lub raczkować, wylegli na koralowe molo i kiedy szalupa okrętowa zabierała nas na "Tamarę", grali i śpiewali nasze ulubione melodie.

Tupuhoe górował w tłumie pośrodku, trzymając za rękę małego Haumata. Chłopiec płakał; łzy ciekły również po policzkach potężnego wodza. Ani jedno oko nie było suche, a muzyka i śpiew brzmiały tak długo, dopóki szum przy bój u z rafy nie zagłuszył wszystkich innych dźwięków.

Staliśmy w milczeniu za nadburciem "Tamary", aż molo skryło się za palmami, a palmy skryły się za horyzontem. Żegnaliśmy stu dwudziestu siedmiu przyjaciół. Ciągłe jeszcze dźwięczała w naszych uszach niezwykła muzyka:

"...i dzielić z nami wspomnienia, tak żebyśmy zawsze byli razem, nawet jeżeli odjedziecie do dalekiego kraju. Żegnajcie".

W cztery dni później wyspa Tahiti wynurzyła się z morza nie jako naszyjnik z pereł

ozdobiony pióropuszcami palm, lecz jako dzikie, sine, poszarpane góry wznoszące ku niebu szczyty uwieńczone kłębami chmur.

W miarę zbliżania się błękitne góry ukazywały zbocza. Zielona, wspaniała roślinność południa zwisała z rdzawoczerwonych skał i wierzchołków zbiegających w dół w głębokie wąwozy i doliny otwierające się ku morzu. Kiedy wybrzeże podeszło bliżej, ujrzeliśmy smukłe palmy stłoczone we wszystkich dolinach wzdłuż wybrzeża, za złotą plażą. Wyspa Tahiti została wyniesiona przez wulkany. Teraz były one wygasłe, a polipy koralowe wysunęły swoje opiekuńcze rafy wokół wyspy, tak że morze nie mogło jej rozkruszyć.

Wczesnym rankiem wplynęliśmy przez wejście w rafie do portu Papeete. Przed nami widniały wieże kościelne i domy kryte czerwoną dachówką, na wpół skryte pod listowiem olbrzymich drzew i palm. Papeete było stolicą Tahiti i jedynym miastem we francuskiej Oceanii. Było to miasto rozrywek, siedziba rządu i centrum komunikacji na wschodnim Pacyfiku.

Kiedy weszliśmy do portu, ludność Tahiti czekała już stłoczona jak jaskrawo ubarwiony, żywy mur. Nowiny rozchodzą się jak ogień na Tahiti, a każdy chciał zobaczyć *pae-pae*, które przyszło z Ameryki.

Kon-Tiki otrzymał honorowe miejsce koło nadbrzeżnej promenady. Witał nas burmistrz Papeete, a mała polinezyjska dziewczynka przyniosła nam w imieniu Towarzystwa Polinezyjskiego olbrzymi wieniec z leśnych kwiatów. Potem wystąpiły młode dziewczęta i zawiesiły na naszych szyjach słodko pachnące, białe wianki jako znak powitania na Tahiti, perle mórz południowych. Szukałem w tłumie dobrze znanej twarzy mego starego "przy-branego ojca" z Tahiti, wodza Teriieroo, głowy siedemnastu tubylczych wodzów na wyspie.

Znalazłem go w końcu. Wielki i tęgi, wesoły i żywy jak dawniej, wysunął się z tłumu wołając na mnie: "Terai Mateata" i uśmiechając się całą swoją szeroką twarzą. Zestarzał się, lecz zachował tę samą imponującą postawę wodza. "

— Wracasz późno — rzekł śmiejąc się — lecz wracasz z dobrą nowiną. Twoją *pae-pae* naprawdę przyniosło błękitne niebo (*terai mateata*) do Tahiti, teraz wiemy już, skąd przybyli nasi ojcowie.

W pałacyku gubernatora urządzono przyjęcie, a na ratuszu festyn. Zaproszenia sypały się ze wszystkich stron gościnnej wyspy.

Jak za dawnych, dobrych czasów, wódz Teriieroo wyprawił ucztę w dolinie Papeno w swoim domu, który znałem tak dobrze, a ponieważ Raroia to nie Tahiti, urządzono nowe uroczystości i ci, co nie mieli jeszcze tahityjskich imion, otrzymali je teraz.

Były to beztroskie dni spędzone w słońcu, pod pędzącymi obłokami. Kapaliśmy się w lagunie, wspinaliśmy się na góry i tańczyliśmy hula na trawie pod palmami. Dnie mijały, zmieniały się w tygodnie. Wydawało się, że zanim nadejdzie statek i zabierze nas do domu, upłyną miesiące.

Wreszcie nadeszła z Norwegii wiadomość, że armator Lars Christensen skierował

4000-tonowy statek "Thor I" z Samoa do Tahiti w celu zabrania wyprawy do Ameryki.

Wczesnym rankiem wielki norweski parowiec wpłynął do portu Papeete. Kon-Tiki został wyholowany przez francuski

wojenny okręt i postawiony obok swego wielkiego rodaka. Ten obrócił duże, żelazne ramię i podniósł małego ziomka na pokład. Głośne wycia syreny niosły się echem ponad pokrytą palmami wyspą. Brązowi i biali zatłoczyli kamienne nabrzeże Papeete i wtargnęli na pokład z pożegnalnymi prezentami i wieńcami kwiatów. Staliśmy przy nadburciu wyciągając szyje jak żyrafy, aby wydobyć brody z rosnącej gromady kwiatów.

— Jeśli pragniecie powrotu na Tahiti — wołał wódz Te-riieroo, gdy gwizdek zabrzmiał

ponad wyspą po raz ostatni — musicie rzucić wieniec do laguny, kiedy statek ruszy!

Cumy były rzucone, maszyny huczały, śruba chłostała zieloną wodę — i odeszliśmy od nabrzeża.

Wkrótce czerwone dachy znikły za palmami, a palmy pochłonał błękit gór, które zanurzały się jak cienie w Oceanie Spokojnym.

Na błękitnym morzu szumiały fale. Nie mogliśmy już dotykać ich z bliska. Białe obłoki pasatowe sunęły przez pogodne nieba. Nie podróżowaliśmy już razem z nimi w tę samą stronę.

Skończyło się nasze obcowanie z naturą. Znajdowaliśmy się w drodze do dwudziestego stulecia, które leżało daleko, daleko od nas.

W lagunie Tahiti pozostało sześć samotnych białych wieńców omywanych przez fale na skraju plaży.